

SCENA LUDOWA

Jasnie Wielmożnemu Panu Hrabie
Władysławowi Zamoyoskiemu,
Dobroczyncy Ludu Polskiego,
Godnemu Spadkobiercy Imienia
Zamoyoskich,

składa niniejszą skromną pracę
jako wyraz czci i wdzięczności,

Józef Chociński.

Gniezno

d. 15-X-1900.

Scena Ludowa.

Zbiór łatwych dramacików, komedyjek,
krotochwil, fraszek scenicznych, monologów, dyalogów
i wierszy, stósownych na przedstawienia domowe
podezas wesół, imienin,
wieńców itp. uroczystości rodzinnych, oraz dla teatrów
amatorskich.

Ułożył i zebrał

Józef Chociszewski.

Niechaj inni sięją solą,
Ja posieję makiem.

Gniezno 1900.

Nakładem J. Chociszewskiego.

Czcionkami J. B. Langiego.

Przedruk wzbroniony.

Sztuki ze „Sceny Ludowej“ i z innych moich dziełek wolno grać w teatrach amatorskich i stałych tylko za pozwoleniem J. Chociszewskiego. Bliższe warunki podane na 12 stronie.



19346

rzedmowa.

Niechaj inni sieją solą, ja posieję makiem.

Najstraszniejszą klęską ludzkości jest pijaństwo, które podkopuje dobrobyt, niszczy zdrowie ludzi, skraca życie i stawia dzieci Boga na równi ze zwierzętami. Podobno żaden naród na kuli ziemskiej nie doznał takich strasznych skutków tego brzydkiego nałogu, jak naród polski, gdyż głównie z powodu pijaństwa nie tylko utraciliśmy niepodległość, ale także do tego stopnia zubożeliśmy, że na 100 Polaków należy dziś 80 do proletaryatu, tj. biedaków. Od trzeciego rozbioru Polski do dnia dzisiejszego najmniej 25 miliardów marek polskich pieniędzy z powodu pijaństwa zbogaciło obcych, a mianowicie Żydów. Nie potrzeba zapewne dowodzić, że Żydzi są zaciętymi wrogami wiary katolickiej i polskiej narodowości. Dopiero wtedy dźwignie się polski przemysł i polskie kupiectwo, skoro złamany będzie przemożny wpływ żydostwa.

Znakomici i sławni mężowie w naszym narodzie, jak Kościuszko, Staszyc, Jan Śniadecki, Mickiewicz, dr. Karol Marcinkowski, X. Antoniewicz, Józef Łukasiewicz i wielu innych, wskazywali, że pijaństwo nas niszczy, że trzeba wykorzenić ten nałóg, ale słowa ich były głosem wołającego na puszczy, gdyż dotychczas co rok 300 milionów marek wydają Polacy na wódkę, wino i piwo, a z tych pieniędzy przechodzi najmniej $\frac{1}{3}$ części do kieszonki naszych przeciwników.

Z pomocą kilku mych przyjaciół, a mianowicie śp. Franciszka Wojciechowskiego, *) który umyślnie z Norwegii przybył do Poznania, aby wykorzeniać pijaństwo i karciarstwo w naszym narodzie, udało mi się na początku 1890 r. założyć Towarzystwo wstrzemięźliwości pod nazwą „Jutrzenka“, które dotychczas w Poznaniu istnieje.

W celu skutecznej walki przeciw pijaństwu i karciarstwu zaczęliśmy urządzać przedstawienia teatralne, które się cieszyły wielkiem powodzeniem. Ponieważ brakło ła wych sztuczek, a mianowicie takich, któreby potępiały pijaństwo i karciarstwo, przeto ułożyłem kilka odpowiednich komedijek. Wtedy przekonałem się, że zaprowadzenie teatrzyków domowych mogłoby wywołać błogie skutki dla sprawy narodowej, dlatego pisałem dalej utwory sceniczne dla ludu i młodzieży, tak że z czasem przeszło 100 sztuk się zebrało. W r. 1897 jeden z mych dyalogów był odegrany w obecności Najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa Stablewskiego w Gnieźnie.

Od trzech lat starałem się napróżno wydać drukiem choćby część mych prac teatralnych, gdyż brak środków materyalnych stawał na przeszkodzie, a żaden księgarz nie chciał się podjąć nakładu. Nakoniec za pomocą p. Klemensa Kosickiego i pewnego młodego kapłana z Prus Zachodnich mogłem oddać rękopis do druku.

„Scena Ludowa“ na pozór nie ma wielkiej doniosłości; jednakże zaliczam to dziełko w szeregu mych licznych dla ludu i młodzieży wydanych książek do naj-

*) Franciszek Wojciechowski, urodzony w Płońsku, opuścił kraj z powodu powstania 1863 r. i udał się z bratem Eustachym do Norwegii, gdzie w pocie czoła na chleb pracowali. Poznawszy w Norwegii błogie skutki trzeźwości, postanowili w ojczystym kraju wytepić pijaństwo. W tym celu osiadł śp. Franciszek stale w Poznaniu. Niechęć do pijaństwa posuwał on do fanatyzmu. Chorował nieraz, gdy widział pijaków. Wyjednał sobie taką powagę w Poznaniu i okolicy, że dość było krzyknąć: „Wojciechowski idzie“, a pijacy w knajpach się kryli i uciekali. Śp. Franciszek odbywał podróże, aby zaprowadzać ruch wstrzemięźliwości, pisywał artykuły do gazet, wydał osobne dziełko o szkodliwości piwa — wogóle na każdym kroku walczył przeciw pijaństwu. Zakończył życie w Chrystyanii 1890 r. Zwykł on być mawiać: „Dopiero wtedy się Polska odrodzi, gdy Polacy porzucą pijaństwo.“ Cześć jego pamięci!

ważniejszych. Jest to iskierka, która rozdmuchana, może wywołać dobroczynny ogień i światło pośród ciemnej i mroźnej nocy niewoli, od przeszło stu lat nas otaczającej.

Do tej pracy szlachetnej, tj. do zaprowadzania teatrzyków domowych dla ludu i dzieci, wzywam Rodaków i Rodaczki, a mianowicie Czcigodne Duchowieństwo i wogóle wykształcone osoby, a zaręczam, że plony będą obfite.

Sztuki moje teatralne mają głównie na względzie teatrzyki domowe, dlatego są krótkie z małą liczbą osób. Życzę sobie przecież, aby także teatry amatorskie odgrywały moje utwory, gdyż przez to upowszechniłoby się urządzanie przedstawień domowych.

W końcu słówko o godle: „Niechaj inni sieją solą, ja posieję makiem“ — które położyłem na czele „Sceny Ludowej“. Sól, aczkolwiek jest bardzo pożyteczna, oznacza zburzenie, gdyż dawnymi czasy solą posypywano te miejsca, na których zniszczono i zaorano ludzkie mieszkania. Gdzie się nasypie obficie soli, tam nic nie rośnie. Mak oznacza plenność, obfitość. Niechże i ta skromna książeczka, która pragnie podać ludowi polskiemu zabawę po ciężkiej pracy, na wzór drobnego maku wyda najobfitsze plony dla dobra naszego nieszczęśliwego narodu!

Józef Chociszewski.



Orły Piastowskie w katedrze gnieźnieńskiej

Słó w k o

o urządzaniu domowych teatrów dla ludu i młodzieży.

Na lud i młodzież możnaby potężny wpływ wywierać przez zaprowadzenie domowych teatrów, a właściwie teatrzyków. Ważna ta sprawa jest dotychczas u nas niewyzyskana, a nawet nietknięta. Lud i młodzież pragnie po pracy rozrywki. Przypatrzmy się, jak się bawią nasi włościanie, rzemieślnicy i robotnicy w dni świąteczne, a mianowicie podczas wesół, chrzcin, wieńców i podobnych uroczystości.

Nie powiem nic nowego, że w niedziele i święta większa część ludności wiejskiej i miejskiej odbywa niejako procesye do karczem, restauracyi i wogóle do takich miejsc, gdzie się sprzedają napoje alkoholiczne. W karczmach bawi się młodsza część ludności tańcem, który, jeżeli nie jest dozorowany przez doświadczone starsze osoby, prowadzi do rozpusty i staje się grobem niewinności u młodych osób. To też miała zupełną słuszość pewna matka, gdy się tak odezwała do córki: „Wolałabym cię widzieć na marach, aniżeli uczęszczającą na tańce do karczmy“.

Odbywają się chrzciny. Kumotrowie zanoszą niemowlę do kościoła, gdzie składają przyrzeczenie, że dziecko spełniać będzie przepisy wiary chrześcijańskiej. W domu odbywa się zabawa, która bez wódki i podobnych napojów jest niezwykle rzadkością. Zdarza się nieraz, że kumotrowie z dzieckiem wprost z kościoła udają się do karczmy. Bywały przykłady, że wracając do domu, gubili dzieci niedawno ochrzczone. Nawet położnicę

zmuszają do picia wódki, chociaż jest słabą, i napoje alkoholiczne bardzo jej szkodzą. Niejedna kobieta przypłaciła ten nieszczęsny zwyczaj chorobą lub życiem.

Czy zaręczyny i wesoła odbywają się bez gorzałki i likieru? Może jedno wesele na tysiąc obchodzi się bez wódki. W niektórych ziemiach polskich zwią się zaręczyny „zapoinami“, gdyż pije się rozpalające napoje bez miary. Młodzi państwo nie powinni w dzień ślubu brać do ust ani kropki wina, piwa lub wódki z powodu uszanowania Sakramentu św. i dla innych ważnych powodów, o których ksiądz i lekarz mogą pouczyć. Tymczasem nowożeńcowie są często na weselu najwięcej do picia zagnani.

Nawet pogrzeby kończą się często pijatyką. Dawnemi czasy kładziono umarłym do trumny butelkę z wódką. Zwyczaj ten, jak nas zapewniały poważne osoby, podobno nie jest jeszcze wykorzeniony do szczeru w niektórych okolicach.

Zabytkiem z czasów starosłowiańskich są dożynki, zażynki, okrężne i wieniec. Jak Polska długa i szeroka, brzmi starożytna śpiewka:

Plon niesiemy plon,
Jegomości w dom;
Bodaj zboże plonowało,
Po sto korcy z miedla dało.
Plon niesiemy plon,
Jegomości w dom.

Piosnkę tę śpiewają także polscy Mazurzy, protestanci, którzy zamieszkują Prusy Wschodnie.

Wódka i piwo leją się potokiem podczas uroczystości wieńcowej, dlatego też śpiewają wieśniacy:

U naszego jegomości dobry rozsądek,
Wystawił nam beczkę piwa i wódki sądek.

O ile wiem, tylko we wsi Markowicach na Kujawach odbywają się wieńce bez wódki. Właścicielem jest p. Willamowitz-Moellendorf, do niedawna prezes naczelny W. Ks. Poznańskiego. Może istnieje także szczupła garstka polskich właścicieli, którzy wykluczają wódkę z zabawy wieńcowej, jednakże nie wie o nich szersza publiczność.

Jakżeż z majówkami, które tak się w niektórych większych miastach upowszechniły, że nieomal co nie-

działę jest podobna zabawa? Każdy to przyzna niezawodnie, że na majówkach pije się zawiele rozpalających napojów, dlatego powstają nieraz burdy i bijatyki.

Wódka i jeszcze raz wódka jest niejako podstawą i osią każdej prawie zabawy i uroczystości rodzinnej.

Oprócz wielu innych środków zalecałoby się przede wszystkim zaprowadzenie teatrów domowych, któreby nie tylko dostarczyły ludowi miłej i taniej rozrywki, ale także mogłyby nieco zmniejszyć pijaństwo podczas imienin, chrzcin, wieńców, a mianowicie podczas uroczystości weselnych. Trzeba na początek starać się usilnie, aby przynajmniej na każdym weselu odgrywano sztuczki teatralne.

Jestem przygotowany na zarzut, że u nas po wsiach i miasteczkach są mieszkania za szczupłe, aby urządzać scenę. Podobny zarzut nie jest wcale uzasadniony. Gdzie jest miejsce na tańce, znajdzie się też miejsce na domowy teatrzyk. Raz w kilku latach a choćby co rok można powystawiać sprzęty z największej izby. Chętnie się przecież ponosi znaczną nawet niedogodność, aby sprawić przyjemność znajomym, krewnym i gościom. Nieraz też można urządzić scenę w stodole, na podwórzu, w ogrodzie lub w próżnem mieszkaniu. Widzowie mogą się przypatrywać z okien, z sieni i z izb sąsiednich.

Więcej trudności sprawia wybór sztuk dla domowych teatrów, gdyż nasi pisarze dramatyczni układają komedye, dramaty, tragedye i opery dla stałych, a już co najwyżej dla amatorskich teatrów, nie uwzględniając sceny domowej, dla której potrzeba łatwych sztuczek z małą liczbą grających osób. Piśmiennictwo polskie posiada około 3000 tomów, zawierających utwory dramatyczne, a nie ma ani jednego obszerniejszego tomu, któryby zawierał łatwe sztuki ludowe dla domowych teatrzyków. Tej istotnej potrzebie ma choć w części zaradzić „Scena Ludowa“, podająca kilkadziesiąt sztuczek teatralnych, stosownych mianowicie na przedstawienia domowe.

Jedną zatem z ważniejszych przeszkód jest załatwiona; niech zatem przyjaciele ludu i wogóle wykształceni rodacy zechcą dołożyć nieco starania, aby myśl urządzania teatrów domowych w czyn zamienić. Wyniknęłyby ztąd wielkie korzyści duchowe i materyalne. Wymienimy choć niektóre.

Przedewszystkiem teatrzyki ludowe mogą dostarczyć niewinnej i taniej rozrywki. Trzeba pamiętać, że ludzie po wsiach, którzy nigdy nie widzieli widowiska teatralnego, nie są wybredni, zatem chętnie wybaczą różne usterki. Nie trudno też wyszukać po wsiach odpowiednie osoby do występowania w teatrzykach. Wszakżeż prawie wszyscy skrzypkowie nie uczyli się gry na skrzypcach i nut nie znają, a umieją wygrać każdą melodyą.

Ludowe przedstawienia przyczyniłyby się niemało do czystości języka. Strach pomyśleć, ile to obcych wyrazów wciska się do naszej mowy. W niektórych okolicach mniej wykształceni używają prawie tyle niemieckich, ile polskich wyrazów. Niestety! i wyższe stany grzeszą w tym względzie dziwną obojętnością.

Za pomocą teatrzyków ludowych możnaby walczyć skutecznie przeciw zastarzałym wadom i przesądom ludu naszego, do jakich np. należą: pijaństwo, karciarstwo, lenistwo, pociąg do kradzieży, pieniactwo, a mianowicie plotkarstwo. Szczególnie tę ostatnią wadę dałoby się znacznie przez teatrzyki zmniejszyć, gdyż widzowie mieliby o czem mówić. Z drugiej strony byłby to dzielny środek, aby wzywać do życia religijnego, do spełniania uczynków miłosiernych itd. W mych utworach scenicznych staram się mianowicie zachęcić do wypełniania czwartego Bożego przykazania, oraz do pracy, nauki, trzeźwości, oszczędności, zgody, a nade wszystko do popierania swoich.

Znajomość dziejów narodowych jest skutkiem naszego nieszczęsnego położenia i naszej obojętności wielce niedostateczną. Teatrzyki ludowe mogłyby w tym kierunku zdziałać wiele dobrego. Karol Libelt, potężny myśliciel i wielki patriota, już 1843 r. wzywał do pisania dla dzieci małych dramatów historycznych *) aby je odgrywać w domach prywatnych. — „Dawniej po szkołach publicznych“, są słowa Libelta „wyprawiano dyalogi, w których młodzież przez dramatyczne wystawienie pojmowała nawet najgłębsze tajemnice wiary. Historii daleko łatwiej uczyć na teatrze. Nie masz wątpliwości,

*) Artykuł w tej sprawie pióra K. Libelta umieścił „Dziennik Domowy“ z 1843 r. z d 29 Marca.

że jest wysokiem zagadnieniem poetów wystawianie dramatów ściśle historycznych, ale dla dzieci można ułożyć w ten sposób sztuki historyczne, aby im się podobały i żeby znajdowały w nich zabawę“. Piękna ta i zabawna myśl Libelta nie znalazła w ówczesnem społeczeństwie oddźwięku, a później głównie z powodu wypadków politycznych zupełnie o niej zapomniano. Zdanie zasłużonego pisarza wielkopolskiego niech posłuży za dowód, że myśl urządzania teatrzyków dla ludu i dzieci jest wielkiej doniosłości.

W „Scenie Ludowej“ nie mogłem umieścić dramatów na tle polskich dziejów (oprócz dyalogu: „Jan Kiliński w Gnieźnie“) chociaż ułożyłem ich kilkanaście. Napisy wymieniam w innem miejscu.

Przedstawienia łatwych sztuk teatralnych przyczyniłyby się niezawodnie do ożywienia posiedzeń Towarzystwa. Co prawda, w tym względzie panują u nas smutne stosunki. Nie wszyscy członkowie przybywają regularnie na zebrania, a z obecnych wynoszą się niejedni do bufetu, gdzie im lepiej przy szklance piwa, aniżeli w gronie towarzyszy. Gdyby się raz po raz urządziło przedstawienie na początku lub w końcu posiedzenia, możeby niejednen członek chętniej brał udział w zebraniach.

Pomysł zaprowadzenia teatrzyków ludowych ma wielką doniosłość dla naszych rodaków w Niemczech, którzyby niejedną chwilę przyjemnie spędzili i odetchnęliby niejako powietrzem ojczystem, gdyby się upowszechniły domowe przedstawienia sceniczne. Towarzystwa polskie na obczyźnie urządzają wprawdzie raz po raz teatry amatorskie, ale odbywa się to rzadko i tylko w niektórych miejscowościach, a przytem policya stawia często wielkie trudności. Do odgrywania w domu teatralnych sztuczek nie potrzeba policyjnego pozwolenia.

Byłoby dobrze założyć osobne Towarzystwo, któreby się zajmowało urządzaniem teatrzyków ludowych. W tym celu podaję projekt ustaw dla Towarzystwa, któreby tę myśl w czyn zamieniło. Jeżeli się zgłosi choć 20 osób, będzie można założyć to pożyteczne stowarzyszenie.

Projekt [do ustaw „Sceny Ludowej w Gnieźnie”.

§ 1. Siedzibą „Towarzystwa Sceny Ludowej” jest Gniezno.

§ 2. Celem Towarzystwa jest dostarczanie ludowi przyzwoitej i taniej zabawy.

§ 3 Środki do osiągnięcia tego celu są następujące:

- a) wydawnictwo i rozszerzanie stosownych sztuk teatralnych dla ludu i młodzieży;
- b) urządzenie tanich wieczornic ludowych, w których zakres wchodzi: przedstawienia łatwych sztuk scenicznych, deklamacje, odczyty, śpiew, gędźba, (muzyka) i żywe obrazy;
- c) zachęta i niesienie pomocy w celu urządzania teatrzyków domowych podczas uroczystości weselnych, imienin, wieńców, majówek itp. zabaw;
- d) założenie ksiąznicy (biblioteki), w której się mają znajdować książki i rękopisy sztuk, odpowiednich na sceniczne przedstawienia ludowe i dla młodzieży;
- e) jeżeli pozwolą środki pieniężne, urządzać się będą teatrzyki lątkowe czyli maryonетки.

§ 4. Urzędowym językiem Towarzystwa jest język polski. Wszelkie wydawnictwa Towarzystwa mają się odznaczać czystością języka. Nie wolno używać obcego wyrazu, jeżeli go można zastąpić polskim. Na zebraniach i przedstawieniach ma się ile możności unikać obcych wyrazów.

§ 5. Przedstawiać się mają przede wszystkim te utwory sceniczne, które występują przeciw socyalnej demokracji, pijaństwu, karciarstwu i innym wadom ludu. O ile można, trzeba uwzględniać w sztukach ludowych czwarte Boże przykazanie, oraz zachęcać do zamiłowania pracy, oszczędności, cnoty, nauki i zgody. Nie wolno nic drukować, ani przedstawiać, coby się sprzeciwiało religii katolickiej.

§ 6. Członkami mogą być mężczyźni i kobiety bez względu na miejsce zamieszkania.

Składka roczna wynosi najmniej dwie marki. Towarzystwa i zakłady za jednorazowem złożeniem 25 marek lub w kilku ratach nabywają praw członków.

Kto złoży 50 marek jednorazowo lub w pięciu półrocznych ratach, staje się dobroczyńcą Towarzystwa i przyczynia się dla dostarczania ludowi szlachetnej rozrywki.

§ 7. Każdy członek bierze na siebie obowiązek dołożenia starań, aby zabawy ludowe, a mianowicie wesola, chrzciny, wieńce, majówki i wszelkie uroczystości odbywały się ile możności bez pijatyki i plotkarstwa, do czego się mają przyczyniać łatwe sztuki sceniczne, żywe obrazy i deklamacje. Każdy członek ma także obowiązek przestrzegania czystości języka.

Jeżeli Towarzystwo ogłosi drukiem sztuki teatralne ludowe, podręczniki do urządzania wieczornic ludowych itp. wydawnictwa, odbierają takowe członkowie bezpłatnie lub za zniżoną cenę.

§ 8. Władzą wykonawczą jest zarząd, wybierany przez walne zebranie na trzy lata. W skład zarządu wchodzi: przewodniczący,

zastępcą, pisarz, skarbnik i bibliotekarz. W razie rozszerzania zakresu działań Towarzystwa można powiększyć liczbę członków zarządu i utworzyć Radę nadzorczą. Walnemu zebraniu przysługuje prawo złożenia z urzędu całego zarządu lub pojedynczych członków.

§ 9. Do zakresu walnego zebrania, które jest najwyższą władzą Towarzystwa, należy przede wszystkim zmiana ustaw i wyjaśnienie tychże w razie wątpliwości, wybór członków zarządu i do Rady nadzorczej, skoroby ją zaprowadzono, oraz wysłuchanie rocznego sprawozdania z czynności zarządu. Walne zebranie odbywa się co rok w Gnieźnie lub w innych miastach. W razie potrzeby można je częściej zwoływać. Do prawomocności potrzeba najmniej obecności 20 członków. Uchwały zapadają większością głosów; do zmiany jednakże ustaw potrzeba 3 głosów obecnych członków walnego zebrania.

§ 10. Sprawy polityczne są stanowczo wykluczone z zakresu działań Towarzystwa.

§ 11. Towarzystwo starać się będzie o pozyskanie wpływowej osoby, jako patrona, tj. opiekuna i głównego krzewiciela celem urządzania wieczornic ludowych z scenicznymi przedstawieniami

§ 12. Walne zebranie rozporządza majątkiem Towarzystwa w razie rozwiązania. Wyraźnie się zastrzega, że nie wolno go dzielić pomiędzy członków, tylko należy przeznaczyć na pokrewne cele Towarzystwa lub na dzieła dobroczynne.

Zgłoszenia na członków przyjmuje wnioskodawca pod adresem: J. Chociszewski — Gniezno.

Niech to każdy przeczyta, kto chce przedstawiać moje sztuki.

Przed dwoma laty wydałem drukiem „Genowefę“, obraz dramatyczny ludowy, przerobiony ze znanej powieści X Kanonika Schmida. Sztuka ta miała niezwykle powodzenie, gdyż mimo bardzo ostrej i niesprawiedliwej oceny w „Kuryerze Poznańskim“, grano ją może ze 40 razy w teatrach amatorskich z takim powodzeniem, że prawie wszędzie nie mogły sale pomieścić widzów. Dochód w niektórych miejscach wynosił około 1000 marek.

Powodzenie to zawdzięcza „Genowefa“ głównie pięknym pieśniom Seweryny Duchińskiej i melodjom p. K. Gorzelnińskiego, dyrygenta chóru katedralnego w Gnieźnie. *)

*) Niech mi będzie wolno na tem miejscu złożyć podziękowanie p. Kl. Kosickiemu, który z rzadką bezinteresownością urządził w Gnieźnie 1898 r. dwa przedstawienia „Genowefy“, odegrawszy po mistrzowski rolę Gołona. „Genowefę“ oddał z wdziękiem zupełnie poprawnie panna Stanisława Gieburowska. Także inni amatorzy wywiązali się dobrze z swego zadania. Chór końcowy pod umiejętną dyrekcją p. Gorzelnińskiego wywołał zapal, który trudno opisać.

W myśl siódmego Bożego przykazania i prawnych przepisów należy się autorom dramatycznym pewien zysk (zwykle dziesiąty grosz czyli 10 procent) od ogólnego zbioru. Chociaż zaraz na czele dziełka umieszczona wzmianka, że „Genowefę wolno grać tylko za zezwoleniem autora“, zaszły w licznych razach, mówiąc łagodnie, omyłki i przekroczenia. Zdziwiłem się niemało, gdy się przekonałem, że Towarzystwa Polskie, które powinny świecić dobrym przykładem, nie posiadają jasnych pojęć o duchowej własności.

Pewne Towarzystwo, którego nie wymienię, napisało mi, że mi nie może udzielić żadnego honorarium, gdyż dochodu za przedstawienie „Genowefy“ użyto na odnowienie Bożej Męki. Coby powiedzieli ci panowie, gdyby im kto wyjął pieniądze z kieszeni i obrócił na cel dobroczynny. Nie godzi się „odzierać kościoła, aby pobijać dzwonnice“. Cudzą własnością nie wolno rozporządzać.

Niektóre Towarzystwa, a mianowicie w Niemczech, gdy się upominał o słusznie mi się należące honorarium, oburzyły się, a oburzenie to wyraziły w nader dosadnych wyrazach.

Z drugiej strony chętnie przyznaję, że Towarzystwa i Rodacy w Gnieźnie, w Brusach (na Kaszubach) w Kruświcy, Grodzisku, Kostrzynie, Szubinie, Bydgoszczy i w kilku innych miejscach, dopełniły zobowiązań, za co im składam podziękowanie.

Nadmieniam wyraźnie, że wszelkie sztuki dramatyczne wolno grać bezpłatnie dopiero w 30 lat po śmierci autora; zatem utwory np. Bogusławskiego, Fredry, Korzeniowskiego, Niemcewicza, itd. można przedstawiać bez pozwolenia. Przez 30 lat po zgonie twórcy służy własność duchowa spadkobiercom.

Prawo świeckie karze bardzo surowo nieprawne (tj. bez pozwolenia autora) odgrywanie sztuk teatralnych, gdyż kara pieniężna może dochodzić do 6000 marek, lub pół roku więzienia.

Oświadczam wyraźnie, że moje sztuki ze „Sceny Ludowej“ i z innych dziełek, (patrz 14 str.) wolno odgrywać bezpłatnie tylko w domach prywatnych, gdzie się nie pobiera wstępnego. Amatorskim i stałym teatrom wolno przedstawiać moje utwory tylko za mojem pozwoleniem, którego się udziela za złożeniem umiarkowanego honorarium.

Zwracam uwagę, że Towarzystwom lub pojedynczym osobom udzielam pod nader dogodnymi warunkami raz na zawsze prawa do odgrywania mych sztuk teatralnych. Dotychczas nabyły to prawo Towarzystwa berlińskie, zjednoczone w Komitecie polskich stowarzyszeń, oraz „Lutnia“ Towarzystwo śpiewu w Gdańsku.

Oczywista rzecz, że wiersze ze „Sceny Domowej“, umieszczone w I i II części Sceny Domowej, jako też dyalogi: Złote ziarnko, Młodzieniec i dziadek, Zchwycenie, Kowal i młynarz i Rozmowa Pana z Michałem, wolno deklamować i przedstawiać bez pozwolenia. Wszelkie inne sztuki, chociaż nie mojego pióra, są moją własnością, (oprócz „Krzyżyka na drogie“ 178 str.)

Sądzę, że po tem wyjaśnieniu Towarzystwa Polskie zechcą uwzględnić położenie twórcy, który po 40 latach pracy piśmienniczej tylko z prac literackich posiada nader skromny dochód. Kto pisze z niemieckich stron, niech dodaje obok polskiej nazwy Gniezno (Gnesen). Listy dochodzą do mnie pod adresem:

J. Chociszewski — Gniezno.

Prace sceniczne Józefa Chociszewskiego dla ludu i dzieci.

I. Drukowane.

Genowefa. Obraz dramatyczny ludowy w 6-ciu odsłonach z pieśniami Seweryny Duchńskiej, do których melodye dorobił K. Gorzelniński, dyrektor chóru katedralnego w Gnieźnie. Cena 1 m 50f. Nadmienia się wyraźnie, że sztukę tę wolno przedstawiać tylko za pozwoleniem autora.

Miła zabawa dla dzieci po nauce. Zbiór łatwych sztuk teatralnych i rozmów do odegrania podczas imienin, świąt i różnych uroczystości rodzinnych. Cena 60 fen., z oprawą 80 fen., na przesyłkę dopłaca się 10 f-n

Znajduje się tu 26 sztuk teatralnych i 14 wierszy.

Cztery dramaciki na tle przeszłości czesko-morawskiej. I. Ostatnie napomnienie Światopłuka (4 męskie role). II. Dzielne Morawianki (4 męskie i 3 żeńskie role). III. Bożena, córka kmiecia, na czeskim tronie. IV. Sąd Spitygniewa. Cena 75 f., z przesyłką 80 fen.

Rozrywka po pracy w dni świąteczne. Dziełko to zawiera 1. Sąd Skarbnika. 2. Wyrok Księżny Cieszyńskiej. 3. Rysy z życia Ś. Jadwigi w 2 częściach. 4. Śpiące wojsko Ś. Jadwigi. 5. Dziad górnoślązki i dziad wielkopolski w Trzebnicy. 6. Obrona Głogowa. Cena 60 fen., z przesyłką 70 fen.

Dwie komedyjki dla dzieci. I. Oszczędne dzieci. II. Dlaczego Jasiowi i Wosiowi urosły rogi na głowie? Cena z oprawą 50 fen., z przesyłką 60 fen.

Jak Kuba oduczył Kasię lenistwa. Wesoła komedyjka umieszczona w kalendarzu „Piaście“ na rok 1900. Cena 50 fen., z przesyłką 60 fen.

Żyd się w szkło zamienił. Humoreska sceniczna, umieszczona w „Piaście“ na rok 1898. Cena 50 fen., z przesyłką 60 fen.

Przemówienia przy uroczystościach weselnych i chrzciniach. Zbiór wierszy, toastów, przemówień i życzeń dla uprzyjemnienia godów weselnych, z uwzględnieniem uroczystości złotego i srebrnego wesela. Cena 50 fen., z przesyłką 60 fen.

Znajdują się w tem dziełku dwie bardzo wesołe komedyjki.

Bukiet Powinszowań dla dzieci i młodzieży, zawierający powinszowania wierszem na Boże Narodzenie, Nowy Rok, na imieniny, z dodatkiem listów prozą, kilku wierszyków i czterech komedyjek. Cena 50 fen., z oprawą 75 fen., na przesyłkę dopłaca się 10 fen.

Deklamator Polski. Zbiór poezji religijnych, narodowych i historycznych, stosownych do wygłaszania podczas uroczystości patriotycznych, rodzinnych, oraz wycieczek letnich, z dodaniem dyalogów i sztuczek teatralnych. Cena 1 mk., z oprawą 1 mk. 50 fen.

Znajdują się w tej książce następujące utwory teatralne: 1. Wschód słońca. Osoby: młody mąż, żona i służąca. Bardzo zajmująca i wesoła sztuka. 2. Trafiła kosa na kamień. (1 męzka i żeńska rola). 3. Batożek. Komedyjka na tle życia Kościuszki przez A. Korzeniowskiego. (7 dzieci). 4. Cyganki. Komedyjka P. z L. Wilkońskiej (9 osób). 5. Gawęda o Ameryce (2 męzkie role). Tylko ostatnia jest mego pióra, inne przezemnie poprawione i przerobione.

II. Wyjdą niedługo drukiem.

Koszyk kwiatów, czyli historia o Marynce, posądzonej niewinnie o kradzież pierścienia. Igra w 4 odsłonach. Cena z przesyłką 1 mk. 50 fen.

Jeżeli się podobała „Genowefa“, którą już przeszło 40 razy przedstawiono, niezawodnie i „Koszyk kwiatów“ zdobędzie sobie uznanie.

Czarodziejski Stolik i zaczarowane kije w miechu. Igra dla ludu i młodzieży w dwóch odsłonach, przerobiona z powieści gminnej przez Józefa Chociszewskiego. Z dodaniem komedyjki: „Stróż ze Swarzędza w Kostrzynie“. Cena 1 mk., z przesyłką 1 mk. 10 fen.

Osoby w „Czarodziejskim Stoliku“: Maciek Gapa, włościanin. — Kachna, jego żona. — Waloś i Marysia, ich dzieci — Żyd Szmul, karczmarz. — Karzeł. — Chłopczyk i dziewczynka — Dwóch parobków. Wogóle 10 osób.

Trudno zapewne o sztukę ludową, któraby była weselejszą. Oprócz tego „Czarodziejski Stolik“ zawiera głębokie myśli i poważne rady na pożytek w naszym dzisiejszym smutnem położeniu. Przedstawienie tej gry nie jest połączone z trudnościami.

Gwiazdka i Gwiazdór. Zbiór wierszy, dramacików, komedijek, widowisk szopkowych, dyalogów, piosenek, przemówień, powinszowań na gwiazdkę i koledę. Ułożył i zebrał Józef Chociszewski. Cena 1 mk., z przesyłką 1 mk. 10 fen., w pięknej oprawie 1 mk. 50 fen.

Dziełko to zawierać będzie pomiędzy innemi: Święty Józef w Betlejem. Widowisko szopkowe. — Historia o królu Herodzie, przepisana z starożytnego rękopisu. — Trzej królowie. — Szopka przez Sewerynę Duchińską. — Gwiazdka na obczyźnie. — Willa Bożego Narodzenia w trzech odsłonach i t. d.

III. Niektóre sztuki w rękopisie.

Zabawa w karczenie podczas nabożeństwa. Obrazek z życia obieżyśasów. 9 mężczyzn, 1 kobieta.

Bartek w sieni piekielnej i w rajskim przedsionku (5 m., 1 k.)

Kto grywa w karty, ten ma leć obdarty. (3 męzkie i 2 żeńskie role, oprócz tego 2 nieme role).

Modry Poniedziałek. (5 m. i 2 żeń.) Rzecz dzieje się w Poznaniu. Są tu oddane wiernie stosunki poznańskie i w innych miastach. Osoby: Tomasz Wiórkowski, stolarz. Dyonizy, czeladnik stolarski. Regina, jego żona. Polusia, ich córka. Gerwazy, zbankrutowany krawiec. Błażej, czeladnik szewski. Sobota, szynkarz.

Co robić, kiedy się biją pijane kobiety. (2 m 3 kob.)

Próba przyjaźni kieliszkowej. (5 m. 2 kob.)

Powyższe igry są wymierzone przeciw pijaństwu i karciarstwu.

Król polski podaje włościańskie dziecko do chrztu. (4 m. i 3 żeńskie role) Jest tu opisany wypadek z życia Kazimierza Wielkiego.

Jan III. Sobieski, król polski, w Jaworowie, czyli: Król swatem. (8 mężczyzn i 3 żeńskie role).

Krzyżacy w Powidzu 1331 r. (7 m. i 2 żeńskie role).

Mały Kościuszko. (3 m., 1 żeńska rola i dzieci).

Odpust Ś. Małgorzaty, czyli: Rozyna, dobra córka. (1 m. i 2 żeńskie role). Stósowna to bardzo igra na wesoła, zaręczyny itd.

Złoty Wróbel. (2 m i 1 żeńska rola.)

Mikołaj Jemioła i jego żona Agata, poczciwi ludzie, ale niezaradni, przyjęli gościnnie Joachima Maciejewskiego, żołnierza polskiego z powstania 1831 r. przed którym się użalają, że ich gospodarstwo podupada. Żołnierz ich pociesza, że będzie lepiej, skoro zobaczą złotego wróbla. Dowcipny wiarus podaje przepisy, co trzeba czynić, aby to złote ptaszę zobaczyć. Należy w tym celu rano wstawać, w każdy kąt zajrzeć, pracować i nie chodzić do karczmy. Po roku Jemiosłowie dziękują żołnierzowi polskiemu, gdyż z powodu złotego wróbla zaczęło im się dobrze powodzić. Fraszka ta stósowna jest także dla Kótek rolniczych.

Jak się wypęda biedę. Powieść ludowa przerobiona na scenę. Osoby: Król, królowa, królewicz, kowal, kowalka, ekonom, dziad. Bardzo zabawna i wesoła komedyjka.

Kopciuszek. Igra z powieści ludowej. Seweryna Duchńska, najslawniejsza polska poetka, ułożyła do tej sztuki kilka pięknych pieśni.

Mazur i żyd. Nie ma pewnie człowieka, któryby na widok tej sztuki mógł się utrzymać od śmiechu. Mazur przemawia narzeczem mazowieckiem.

Bieda. Igra podług powieści ludowej przerobiona na scenę. Osoby: Hilary, bogaty gospodarz. Tekla, jego córka. Stanisław, jego brat. Antonina, żona Stanisława. Michaś i Jadwisia ich dzieci. Bieda, widmo w postaci niewieściej.

Krzyżak bursztynowy za kwartę jagód. Treść do tej igry wzięta z życia Franciszka Karpińskiego.

Garnek z popiołem. Igra przerobiona z legendy X. Hołowińskiego. Osoby: Węglicka, wdowa. — Zosia, jej córka. — Zebrak. — Żyd Aronsohn

Przebierała, przebierała, aż dostała Sowizdrzała. (2 m. i 2 żeńskie role)

Skuteczne lekarstwo na brak apetytu. (4 m. role).

Oprócz tego wiele innych. Komedyjki te przesyłają się na życzenie w rękopisie podług osobnej umowy.

I.

Prologi, dyalogi i sztuczki treści poważnej, łatwe do odegrania.

1. SZCZĘŚĆ BOŻE!

Gdy rólник pracą użyźnionej glebie
Powierza ziarno, wzywa, Panie, Ciebie,
W domu uradzi, pilnie zagon orze —
Szczęście mu, Boże!

Niechaj rzemieślnik, wierny starej wierze,
Szuka oświaty a pracuje szczerze,
Zna statek w wszystkim, a słownym się stanie,
Szczęść mu w tem, Panie!

Handel, rólnictwo, rzemiosła popiera!
Niech kupiec mądrze a po Bogu zbiera, —
Siebie z narodem z bogacić tem może,
Szczęście mu, Boże!

Nauczycielom dodawaj wytrwania;
Nauka zdrowa niech przesąd wygania,
Niechaj się przez nich prawe światło wzmoże —
O szczęść im, Boże!

Szczęść nade wszystko Twoim Namiestnikom,
Kapłanom, naszej duszy stróżownikom,
Niech wiara ojców czystą w nas zostanie —
Szczęść, możny Panie!

Wszyscyśmy, Panie, żądni Twojej pomocy,
Wszyscy w nałogów pogrążeni nocy,
Dodaj nam siły, — niech nas praca wzmoże:
Szczęść, ojców Boże!

I matkom, żonom, gospodyniom, Panie.
Wielkie a święte zwierzyłeś zadanie:
Cnotę, obyczaj, dobytek niech mnożą, —

Daj łaskę Bożą!

Dziatkiś ukochał, dziatkiś błogosławił,
Dziatkiś na przykład dla świata postawił; —
W pilności, w pracy, w cnotach dzieci hoże
Błogosław, Boże!

Uwaga. Powyższy wiersz jest bardzo stósowny na rozpoczęcie teatrzyku domowego lub teatru amatorskiego, gdyż zawiera piękne myśli i odnosi się do wszystkich widzów.

2. Prolog

wyłoszony na przedstawieniu amatorskiem w Gnieźnie,
urządzonem na dochód dobroczynnych zakładów.

Jest pieśń na harfie wieków wydzwoniona —
Pieśń, której echo do duszy się wciska,
Gra w naszych myślach, zagłębia do łona,
Żarzy się iskrą u wspomnień ogniska.
Sercem i myślom ruch nadaje młody,
Pieśń ta gorąca jest pieśnią swobody.

Gdzie ona śpiewa — tam się iza nie rodzi,
Tam się weselić nie wzdrygają młodzi,
Tam włos przed czasem szronem nie porasta,
Tam się nie zgina pod krzyżem niewiasta,
Tam myśl i zapal w lo! idą w zawody,
Pieśń ta ożywcza jest pieśnią swobody.

Z tem echem na pół zamarłem
Z więzów twardego łańcucha
Nie rozpaczajmy — bo karłem,
Kto nie zna swobody ducha.
Choć przodków nie wstaną kości,
Ni przeszłość z mar się ocuci,
Zaklęta słowem miłości
Wróci swobody pieśń — wróci!

Wróci, ach wróci! przed ognisk popioły
Zaklęta siły narodowej głosem.
Ale ją widok spotka nie wesły —
Wszystko tu ostrym zwarzone pokosem,
I głód i nędza i żal bez pociechy
Patrzą, jak widma z pod rodzinnej strzechy.

A wtedy lekko jak skrzydła motyla,
Co łono kwiatu z miłością rozchyła,

Do serc nam sięgnie — i po strunach lutni
 Uderzy dźwiękiem, to żywiej, to smutniej,
 Próbuje uczuć narodowych skali.
 Gdy iskra jeszcze, wnet duch się zapali.
 Więc iskieł strzedz nam potrzeba,
 Z nich z czasem ogień wybucha.
 Dziełem dzisiejszych rycerzy —
 Jest, bronić iskieł dla ducha.
 Ku temu wszystkie ich czyny,
 Wszystkie się piętrzą budowy;
 I nieźle pracują syny,
 Walcząc nie mieczem, lecz słowy.

Słów tych, co więcej zdziałają niż miecze,
 Czytamy wiele w słów gorących zbiorze;
 Jedno wprost pada na serca człowiecze,
 Zwie się: ofiarność, wielkie słowo Boże!
 Z niego na bóle, cierpienia i głody,
 Leje się balsam — jak z pieśni swobody.

Ofiarność bratnia, uścisk bratniej dłoni,
 Co od rozpaczki biednego zasłoni,
 Łezka współczucia do walki zachęta,
 To moc — co wszystkie rozwiązuje pęta.
 To ziarno, plonom dające rozkwicie,
 To dział człowieka — to narodów życie!

Cześć więc tym, co tu przybyli
 I na ołtarz ofiarności
 Dar serdeczny położyli.
 Czy to ziarneczko miłości,
 Czy grosz, czy dobre życzenie,
 Czy myśl chętną szczerzej braci.
 Niechaj za to wspomóżenie,
 Dobrym ludziora Bóg zapłaci!

M. Kierska.

3. Prolog

wyłoszony przed rozpoczęciem teatru amatorskiego
 w Gnieźnie.

Przez X. Kanteckiego.

Nierówną dłonią łaskawe nieba
 Pomiedzy ludzkość dary rozdały;
 Jednemu dały obfitość chleba,
 Drugi dostatek wziął okazały;
 Trzeci zaledwie przez życia szlaki
 Przebić się zdoła — reszta — biedaki.

Tak rozporządził Bóg na tym świecie,
 Że obok bogactw i znośnej doli,
 Połowę ludzi niedola gniecie,
 A ten jest pono cel Bożej woli,
 Aby bogaty biednym w ofierze
 Składał grosz zbytni chętnie i szczerze.

Na nasz gród Lecha Pan Bóg łaskawy,
 Za dawnych wieków zlał wiele sławy;
 Męczeński Biskup, Patron tej ziemi,
 Dawno go zdobi kośćmi swojemi.
 Prymasów wielkich poczet niemały
 Przyczynia miastu chluby i chwały.

Dzisiaj niestety! gród nasz przestary,
 Choć w dawnej Polsce środkiem był wiary,
 Choć białych orłów gnieździł gromady,
 Zatracił dawnej wielkości ślady;
 A zbywszy dawnych książąt purpury,
 Przedstawia obraz nędzy ponury.

Co pokazniejsze domy i mienia
 Dzierżą obcego ludzie plemienia!
 A nasza bieda o polskiej mowie
 Siedzi w Słomiance lub na Grzybowie;
 Kcyńska ulica, stare Cierpięgi
 Mieszczą wytarte polskie siermięgi.

Lecz w tej niedoli i poniewierce
 Pomimo strasznych losu kolei
 Zostało — polskie uczciwe serce,
 Co się nie umie wyrzec nadziei.
 I zawsze hasłom ojczystym wierne
 Dla ludzkiej nędzy jest miłosierne.

Mężę, niewiasty i dziewic grono
 Pod Wincentego sztandary spieszą,
 By z gorliwością działać zdwojoną,
 Aby się dzielić z ubogich rzeszą
 Groszem i sercem — słowem pociechy,
 Które zanoszą pod biedne strzechy.

O cześć im za to! że w Imię Boga,
 Do ubogiego zdążają proga,
 Że biedą ludu nie pogardziły,
 Że swój choć nędzarz zawsze im miły.

A wam, co grosz swój chętnie i szczerze
 Niesiecie biedzie naszej w ofierze,
 Niech Bóg Wszechmocny hojnie zapłaci,
 Że macie serce dla polskiej braci!

Uwaga. Powyższe dwa prologi były wygłoszone w Gnieźnie. Pięknego wiersza Maryi Kierskiej można użyć bez zmiany, jeżeli się urządza przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny. Prolog X. Kanteckiego ma wprowadzić cechę wybitną miejscowo-gnieźnieńską, jednakże może posłużyć

za wzór, jak układać podobne przemówienia wstępne (tj. prologi) wierszem lub prozą. W Poznaniu np. zamiast Grzybowa, Cierpię itd. można wspomnieć o Śródcie i Chwaliszewie, w Inowrocławiu o Sybryi itd. Wiersz X. Kanteckiego jest cenną pamiątką po kapłanie, który popierał słowem i czynem wszelkie religijne i narodowe przedsięwzięcia, do których należą także przedstawienia teatralne.

4. Chwała Boża i chwała królewska,

czyli:

Ciekawa historia o królu i o dwóch dziadach.

Fraszka sceniczna.

OSOBY:

Król Ćwieczek I.

Szczudło } żebracy.

Kostel }

Dworzanin (*niema rola*).

Rzecz dzieje się przed kościołem.

SCENA I.

(*Z kościoła dolatuje odgłos pobożnej pieśni*).

Szczudło, Kostel.

Kostel.

Przestań się modlić, kolego, nieszpory jeszcze się nie zaczęły, możemy zatem trochę pogawędzić.

Szczudło.

Mnie się zdaje, że przez to dajemy ludziom zgorzienie; oni nam dają jałmużnę, abyśmy się modlili, zatem, dopóki jesteśmy przed kościołem, wypada mówić pacierze.

Kostel.

Jakiś ty mi skrupulat. Tybyś się jeno wciąż modlił.

Szczudło.

Sądzę, że to jest świętym obowiązkiem nas dziadów. Ja też najszcześliwszy jestem, skoro klękę sobie w kątku, gdzie się mogę modlić bez przeszkody.

Kostel.

To wcale nie po dziadowsku. Główna rzecz u dziada, aby wiele i głośno krzyczał, aby się zawsze znajdował na widoku i aby schlebiał ludziom.

Szczudło.

Do tego nie jestem stworzony, dla mnie dosyć, gdy dbam o chwałę Bożą; o względy ludzkie nie stoję.

Kostel.

To też jesteś chudeusz — bieda u ciebie aż smród, nie na starość nie odłożyłeś, a nieraz głodu przymierasz.

Szczudło.

Wszystko to czynię dla chwały Bożej. Starzy ludzie powiadają, że: „Kto z Bogiem, to i Bóg z nim“. Ufam zatem, że mnie Pan Bóg nie opuści, a jeżeli tu na ziemi będzie mnie wciąż bieda trapiła, przyjmę to z pokorą, gdyż wiem, że odbiorę wieczną zapłatę w niebie.

Kostel.

Niby mówisz mądrze, ale to głupia mowa. Używać świata póki służą lata — taka u mnie reguła. Ty się troszczysz o chwałę Bożą, a ja się trzymam króla i jego chwałę głoszę. Kiedym wczoraj krzyknął: „Najjaśniejszy, niezwyciężony królu i panie, cesarzu, zastępcu Boga na ziemi, majestacie chwały, śliczny jak słońce“, tak zaraz rzucił mi monarcha dukata. Idzie jakiś półpanek, a ja krzyczę: „Najjaśniejszy książe, panie miłościwy, zlituj się nad kaleką“. Szlachciura się ogląda i rzuca złotówkę, talara, a czasem i dukata. Idzie brzydka baba, a ja wołam: „Cudna panienko, kwiecie różany, nie opuszczaj biedaka, a modlić się będę o ładnego męża“ i co powiesz, przyjacielu, złotówka lub dwie pewne.

Szczudło.

Nie mam sumienia, aby tak kłamać beczelnie.

Kostel.

Bezczelnie lub niebezczelnie — zobaczymy, kto dalej zajdzie. Nacierpisz się biedy i kwita, a co się tyczy nieba, do którego wzdychasz, moje zdanie jest takie:

„Wiemy, jak mamy, ale nie wiemy, jak będziemy mieli“
Trzymam się króla i możnych panów, a ty trzymaj się Boga

Szczudło.

Kostelu, Kostelu! oby cię Bóg nie ukarał za takie
błuznierstwo. Więcej znaczy Bóg, niż król lub naj-
potężniejszy cesarz.

Kostel.

A ja mówię, że król najważniejszy. Chwyć się ty
klamki królewskiej, a zobaczysz, że ci się wnet polepszy.

Szczudło.

Niech się ze mną robi co chce, ja będę wciąż
się starał o pomnożenie chwały Bożej. Wnijdźmy do
kruchty, bo już się zaczęły nieszpory.

Kostel.

Wolałbym tu siedzieć i gawędzić, a nawet wypilo-
by się wódeczki, ale cóż robić, kiedy nie ma. Pójdę do
kruchty, aby się przespać, bo tu nie można. (*Odchodzi*)

SCENA II.

Król Ćwieczek.

A tom się nasłuchał ładnych rzeczy. Szczudło
myśli tylko o Bogu, niech go też Pan Bóg ma w swojej
opiece. Kostel stara się o moją chwałę, zatem trzeba
mu okazać łaskę królewską. Niech pozna żebrak, że
umiem ocenić jego zaufanie do króla. Bóg w niebie,
a ja na ziemi panem. Niech wszystko drży przede mną.
Żal mi ciebie nieboraku Szczudło; za to ty pochlebiaczu
Kostelu cieszyć się będziesz, jak na śmierć skazany,
który uzyskuje królewskie ulaskawienie. Ja tu królem
i panem, potęga moja jest wielka, a kto jej nie uzna,
temu biada!

SCENA III.

Kostel.

Już po nieszporych, ludzie się rozeszli, jałmużny
już pewnie nikt nie udzieli, zatem pogawędźmy trochę.
O czem było kazanie? bo ja co prawda zdrzemnąłem
się trochę.

Szczudło.

Ogniście krzychał ksiądz na zatwardziałych grzeszników, którzy się Boga nie boją, a ludzi się nie wstydzą. Mówił, że tacy grzesznicy po wszystkie czasy ponosić będą w piekle męki niesłychane.

Kostel.

Czy ty wierzysz wszystkiemu, co ksiądz na kazaniu głosi?

Szczudło.

Przecieżem katolik, a więc wierzę.

Kostel.

I jam katolik, ale nie wszystkiemu daję wiarę.

Szczudło.

Źle czynisz, Kostelu, że mówisz takie rzeczy. To grzech ciężki, którego się trzeba spowiadać.

Kostel.

Musiałbym kilka godzin spowiedź odprawiać, gdybym miał wszystkie takie drobnostki księdzu opowiadać.

Szczudło.

Nie miotaj takich bluźnierstw, Kostelu. Obrażasz ciężko Boga i gotujesz sobie wieczne potępienie. Ale już dosyć tej gadaniny, bo wiem, że ciebie nie nawrócę. Pomodłę się jeszcze trochę tu w kącie, gdyż niebieska radość wchodzi w me serce, gdy westchnę do Boga. (*Szczudło odchodzi o kilka kroków, klęka i modli się szczerze*).

Kostel.

Co ja widzę? — wszakże sam król w koronie i z berłem tu idzie — przed nim niesie dworzanin złotą tacę i dwa chleby, jeden jak śnieg biały, a drugi czarny jak ziemia. Przebóg! wszakże cały orszak tu idzie. Przecież nie do mnie?

SCENA IV.

Ciż i król.

Król.

Czy tu jest żebrak Kostel?

Kostel.

Najjaśniejszy i najpotężniejszy monarcho, cesarzu całego świata, którego chwale nie wyrównać nie może, oto ja podnózek waszej królewskiej i cesarskiej mości, jam jest Kostel, uniżony sługa królewski.

Król.

Słyszałem, że ty szerzysz chwałę królewską.

Kostel.

U mnie król na pierwszym miejscu, a Bóg na drugim.

Król.

Jeżeli tak, wynagrodzę cię po królewsku. Oto masz bochenek chleba. (*Bierze czarny chleb z tacy i podaje Kostelowi*). A gdzież ten drugi dziad, co tylko o Boską chwałę się stara?

Kostel.

Tam się modli na boku.

Król.

I jemu damy podarunek. (*Zdejmuje bochenek białego chleba i podaje Szczudło, a gdy tenże zatopiony w modlitwie, nie widzi tego, kładzie przy nim chleb na ziemi*).

Król (na stronie).

Ciekawym co te dwa dziady mówić będą, gdy chleby rozłamią. *Odchodzi z dworzaninem*).

SCENA V.

Kostel, Szczudło.

Kostel.

A spisał się król, spisał. Mnie chwalcę królewskiemu dać mały bochenek czarnego niewypieczonego chleba, a temu drugiemu dał chleb jasny jak słońce. To niesprawiedliwość i upokorzenie. Taki to nasz król Ówieczek! A niech go choroba trzaśnie! Dobra myśl mi przychodzi. Szczudło rozmodlony nie wie co się naokół niego dzieje. Weźmy mu smaczny chleb biały, a położmy nasz czarny i niewypieczony, który się ledwie kupy trzyma. (*Skrada się po cichu na palcach i zamienia bochenki*).

Kostel (łamie bochenek).

To mi chlebaszek — pięknie wypieczony, biały, a jaki smaczny? Znać zaraz, że pochodzi z królewskiej kuchni. Co królewskie, to królewskie. Ciekawym, jak Szczudło ugryzie swój chleb twardy jak kamień. On prawie już nie ma zębów. Co mi tam, pójdę teraz do gościńca pod „Złotą butelką“ tam będą tańce i muzyka. Dziady i baby się zbiorą; upieczemy sobie dziadowski bankuch, godzien królewskiej buzi, potem tańce; wybiorę sobie do tańca młodą Reginę. A Szczudlisko wciąż się jeszcze modli. (*Odechodzi*).

Szczudło.

Błogo mi na sercu. Modlitwa dziwnie pokrzepia, a jakże nie ma pokrzepiać, kiedy jest to rozmowa z samym Bogiem. Nie ma już Kostela. Zdaje mi się, że tu był król i rozdawał chleby. A prawda, leży tu na ziemi bochenek. Coś ciężki i twardy, nie wiem jak pogryzę, aleć za wszystko trzeba Bogu dziękować. Ojciec niebieski, składam Ci dzięki za ten podarek, zesłany mi przez pośrednictwo króla. (*Szczudło łamie chleb, z którego się sypią dukaty*).

Szczudło.

Boże, co ja widzę? Pełno dukatów w chlebie. Co to ma być? Pewnie jaka omyłka. Pójdę zaraz do zamku i oddam dukaty królowi. Nie chcę brudzić mych rąk kradzieżą. Jeżeli mnie oczy nie mylą, król tu idzie.

Król (na stronie).

Idę się osobiście przekonać, jakie wrażenie uczyniły na dziadów owe dwa chleby. Kostela już nie ma. (Głośno). A cóż, jesteś zadowolniony z tego chleba?

Szczudło.

Najjaśniejszy panie! stało się tu coś niezwykłego. Gdym wstał od modlitwy, wziąłem chleb do ręki, łamie go, a tu się sypią dukaty. Stała się zapewne omyłka, przeto oddaję skarb na ręce Waszej Królewskiej Mości.

Król.

Zkąd ty przychodzisz do tego bochenka? Przecież ja czarny chleb z dukatami dałem Kostelowi, aby go

wynagrodzić za wysławianie króla, a tobie dałem chleb biały, bo głosisz chwałę Bożą.

Szczudło.

Nie wiem nic, co się tu działo, zdaje mi się tylko, że Kostel bardzo wyrzekał i zbliżył się do mnie po cichu, ale nie mogę twierdzić: czy to on zamienił chleby.

Król.

Pojmuję, co się stało. Kostel, nie wiedząc o dukatach, pogardził czarnym chlebem, położył go zatem Szczudle, zabierając chleb biały. Pomieniał się stryjek, dostał za siekierkę kijek. Oj będzie narzekał, jak się dowie.

Szczudło (podając worek z dukatami).

Tu oto są dukaty.

Król (uroczystym głosem.)

Dukaty są twoje, ja ich nie przyjmuję. Przekonałem się naocznie, że chwała Boża znaczy więcej, aniżeli chwała królewska. Korzę się przed tym wyraźnym znakiem Boskiej Opatrzności. Bóg jest potężnym, a my ziemscy królowie nędznym prochem wobec Jego wspaniałości.

Szczudło.

Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości przeznaczę ten skarb na chwałę Bożą, to jest na zbudowanie kościoła. Jeżeli będzie brakło, dobrzy ludzie złożą ofiary.

Król (na stronie).

Jakże mnie ten dziad w łachmanach zawstydzą? Jest to czysta i szlachetna dusza. (*Głośno*). Buduj kościół, nie mam nic przeciw temu.

Kostel (wpada bez szczudła).

Moje dukaty, moje dukaty, gdzie są moje dukaty? Przecież ja dostałem chleb czarny z dukatami. Szczudło, oddaj zaraz, bo cię na śmierć ubiję.

Król.

Czyś zwaryował, obrzydły żebraku! Wszakże ci wręczyłem osobiście za to, żeś mnie wychwalał, chleb z dukatami, a tyś pogardził darem królewskim i położyłeś

obok Szczudły, porywając mu chleb biały. Popełniłeś kradzież. Będiesz teraz za karę zamknięty w więzieniu, gdzie ci sypną na powitanie 50 batogów, a potem będziesz wyprowadzony za granicę kraju. Ty oszukujesz. Chodziłeś na szczudłach, a teraz przybieżałeś bez podpory?

Kostel.

Bo nie mogłem znaleźć szczudeł w prędkości. O moje dukaty, dukaty, dukaty! Oj, ciężko mnie Pan Bóg skarał.

Szczudło (kłęka).

Daruj, Najjaśniejszy Panie, winę memu koledze.

Król.

Jestem nieublagany. Oszusta trzeba ukarać. Niech się przekona na własnej skórze, że większa jest chwała Boża, aniżeli chwała królewska.

(Zastona spada).

Uwaga. Powyższa fraszka dramatyczna jest przerobiona z wiersza Syrokomli. Bar'zo łatwo ją przedstawić, gdyż nie trudno wystarać się o trzy osoby. Mogą odgrywać tę sztuczkę chłopcy albo dorośli. Król może mieć płaszcz na sobie, pałasz u boku, na głowie koronę, w ręku berło. Kiedy zanoszą chleby żebrakom, niech mu towarzyszy choć jeden dworzanin, przecież nie jest to koniecznem. Nic łatwiejszego, jak wystarać się o dziadowskie łachmany, sakwy, szczudła itd. Sztuka ta nadaje się do odgrywania na zebraniach towarzystw a mianowicie czeladzi katolickiej, robotników i terminatorów

5. CZCIJMY KSIEŻY!

D y a l o g d l a d o m o w y c h t e a t r z y k ó w .

OSOBY:

Kowal. — Szymek, gospodarz. — Jędrzej, staruszek

SCENA I.

Kowal (przed kuźnią z kleszczami w ręku). Czekam na Szymka, a nie przychodzi; pewnie poszedł do karczmy, bo taki jego zwyczaj. Dobrze to człowieczysko, ale cóż,

kiedy pije za wiele wódki. Ciężka to klęska dla ludu polskiego — to pijaństwo. Żydz się z tego panoszą, a my ubożjemy. Piłem i ja dawniej gorzałę, ale dzięki Bogu po ostatniej misyi zaprzestałem. Widzę, że wcale nie jest trudno obywać się bez pijatyki. Najgorzej zacząć. Idzie Jędrzej. Pogawędzimy trochę, bo nie mogę rozpocząć roboty, dopóki Szymek nie przyjdzie.

SCENA II.

Kowal — Jędrzej.

Jędrzej. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kowal. Na wieki wieków. Amen. Witajcie, pocziwy Jędrzeju. W komin zapisać, żeście mnie odwiedzili.

Jędrzej. Człowiek już stary, więc się nie chce z domu wychodzić, a potem zawsze jest robota. Przyszedłem tu gwoli Szymka, bo miał iść do kuźni względem pługa, co mu się popsuł. Jest to mój daleki krewniak, dlatego chciałem go upomnieć, aby nie pił i nie wygadywał na księdza.

Kowal. Nie chce mi się wierzyć, aby Szymek był takim, bo kto się na księdza gniewa, to jakby się gniewał na rodzzonego ojca.

Jędrzej. Takie teraz nastały czasy, że ludzie księży nie chcą słuchać, a jeszcze na nich wygadują, jeżeli im prawdę powiedzą.

Kowal. To źle, bardzo źle. Pójdziemy wszyscy z torbami, jeżeli nie będziemy słuchali głosu naszych kapłanów.

Jędrzej. Niejeden już z takich mądrali wyszedł na dziada. I Szymkowi na to przyjdzie, jeżeli się nie poprawi. Widzę, że z karczmy wychodzi Szymek. Schowam się tymczasem do kuźni, bo on gotów tu nie przyjść, gdyby mnie zobaczył. *(Odchodzi).*

SCENA III.

Kowal — Szymek.

Szymek. Dzień dobry, panie majsterku.

Kowal. Na wieki wieków. Amen. Zapomnieliście, Szymku, naszego staropolskiego pozdrowienia.

Szymek. Bo to nastała już inna moda. Nauczyciel każe nawet mówić: Gut Morgen.

Kowal. Daliście długo na siebie czekać.

Szymek. Trochę się w karczmie zabawiłem, a że było kilku znajomych, więc się gawędziło.

Kowal. A o czym, jeżeli wolno zapytać.

Szymek. A o czymżeby, jeżeli nie o naszym księdzu. Jestem bardzo na niego markotny.

Kowal. A z jakiej przyczyny? Czy [wam] [zrobił] co złego?

Szymek. Nie zrobił mi nic, ale choćby mnie kijem wywalił, nie byłbym taki zły, jak za to, że mi daje przytyki na kazaniu.

Kowal. Jakie przytyki?

Szymek. Powiem wam wszystko od początku, może mi to ulży na sercu. Byłem [przed] miesiącem na targu w Wrześni.

Kowal. Pewnie się tam wypilo trochę za wiele.

Szymek. Wypiłem, ale niewiele. Inni pili więcej. Jednakże szumiało mi trochę w głowie. Wracalem do domu z Kamyszkim, który się przezwiał Kamińskim. Jakoś ni ztąd ni zowąd zaczęliśmy się kłócić, aż tu on mnie w łeb, a ja mu poprawiłem. On mi oddał, ale tak mocno kropnął, że upadłem w rów i krew mi ciekła z głowy. Zaskarżyłem do sądu Kamyszka.

Kowal. Grubo was ten proces kosztował, bo wiem, że przegraliście.

Szymek. Przegrałem, bo sąd niesprawiedliwy. Jestem potem w kościele, słucham kazania, a tu ksiądz zaczyna opowiadać, jak to Pana Jezusa wodzono po sądach od Annasza do Kajfasza i od Piłata do Heroda. Żydzi przemocą Zbawiciela prowadzili, a my dobrowolnie, mówił ksiądz, włączymy się po sądach o byle jaką drobnostkę. Całe kazanie, jakby było do mnie wymierzone, że zaczepiam ludzi, że jestem proceśnik, że marnuję czas na terminach, zamiast pilnować gospodarstwa i że mi sądy majątek zjedzą.

Kowal. Ksiądz mówił świętą prawdę. A czy was wymienił po imieniu i nazwisku?

Szymek. Jużci nie powiedział, że się to odnosi do mnie, do Szymona Brząkały, ale duch mi powiedział, że to na mnie. Kiedym wyszedł z kościoła, zaczęły się szepty i śmiechy, a ludzie na mnie palcem wskazywali. Co księdzu do tego, że się procesuję — a czy mi to nie wolno?

Kowal. Wolno wam i we wodę wskoczyć, ale to grzech. I cóż więcej macie na księdza?

Szymek. Druga rzecz była taka. Orałem na polu, woły szły mi nierówno, szarpały się na lewo i na prawo i tak niechcący worałem się w rolę sąsiadowi. Aż tu wkrótce słyszę w kościele na kazaniu, żeby jedni drugim krzywdy nie robili. Na to zgoda, bo nie chcę, żeby mnie krzywdzono. Aż tu zaczyna ksiądz mówić o rozrzucaniu kopców, o worywaniu się w pole, że to grzech itd. Mnie się zaczęło gorąco robić, gdyż wszyscy na mnie spoglądali.

Kowal. A wieleście się worali sąsiadowi?

Szymek. Najwyżej pół zagona, ale powiadam wyraźnie, że to było nieumyślnie.

Kowal. Macie bardzo mądre woły, że się tak na kśóbkę targały, żeby przyorać więcej roli. Dziwna rzecz, że się nie skierowały na odsiebkę, aby sąsiadowi przyorać choćby jedną skibę.

Szymek. Zwyczajnie i zwierzę ma swój instynkt i stara się, aby było więcej paszy. Cóż ja temu winien? Nie godzi się za to zniesławiać niewinnego człowieka z ambony. Ja tego nie daruję, zaskarżę księdza do sądu, albo co gorszego zrobię.

SCENA IV.

Ciż i Jędrzej.

Jędrzej (wychodząc z kuźni). Co ty tak, Szymku, wykrzykujesz na księdza? Nie wiesz ty, że popełniasz przez to grzech ciężki? Przecież dobrze wiesz, że niesłusznie zaskarżyłeś Kamyszką, bo on cię rąbnął po pijanemu, a ty go uderzyłeś nie trzeźwy. A sąsiadowi urwałeś kawałek roli, jak cię zaskarży, pójdiesz do

więzienia i zapłacisz wielkie kosztu sądowe. A może jeszcze masz jakie użalenie na księdza. Mów śmiało.

Szymek. Jest jeszcze trzecia sprawa. Byłem na targu w Czerniejewie ze żytem. Żona też ze mną pojechała. Nieszczęście chciało, że zapruszyłem sobie nieźle głowę, a że nie jadłem obiadu, przeto mdło mi się zrobiło. Taki byłem słaby, że mnie na wóz włożono, jak barana, a żona powoziła.

Kowal. Biedna żona!

Szymek. Ciemno było na dworze, że, jak to powiadają, można w twarz trzasnąć, a nie wiadomo, kto trzasnął. Kobieta w bek, bo nie widziała drogi; ja chcąc ją pocieszyć, zacząłem śpiewać. Konie wystraszyły się mego śpiewu.....

Jędrzej. Wierzę, wierzę, że się wystraszyły.

Szymek. A może nie przestraszył mój śpiew koni, ale to prawda, że się nagle porwały i wpadły w rów, przez co się oś złamała i dyszel, a ja buch we wodę. Wtedy wytrzeźwiałem.

Kowal. Taka zimna kąpiel nieraz pomoże.

Szymek. Niedługo po tem wypadku jestem w kościele, a tu znowu ksiądz na kazaniu we mnie zadziera. Mówił, że jesteśmy próżniacy, że się bez potrzeby włóczymy po targach i jarmarkach, że siedzimy w żydowskiej karczmie, a konie głodne stoją na ulicy i ziębną, że nie umiemy potem znaleźć drogi w nocy, łamiemy wozy i po błocie jak zwierzęta się tarzamy. Całe kazanie było na mnie. Wychodzę z kościoła, a tu wszyscy wołają: „Szymku, to się odnosi do ciebie.“ Strasznie byłem rozgniewany. Od tego czasu nie chodzę do naszego kościoła, wolę iść milę dalej, żeby nie słuchać morałów. I cóż powiecie. moi ludzie, że i w sąsiednim kościele kapłan gromi pijaków, procesowników i próżniaków. A zawsze do mnie przymówka. Taki byłem zły, że chciałem oskarżyć naszego proboszcza, że pożycza książek polskich parafianom, ale dałem pokój.

Kowal. Widać, że was ostrzegł Stróż-Aniół. Księdzu nieby nie zrobili, gdyż pożycza tylko takie książki, w których nie ma nic zakazanego. Ale dla was byłby wstyd a nawet hańba.

Szymek. Niech mi ksiądz da pokój, a ja mu też dam pokój. Woła na nas o każdą drobnostkę, a sam nie jest świętym.

Jędrzej. Prawda, że nie jest świętym, bo nie jest aniołem, ale ułomnym człowiekiem. Karci nas i upomina, aleć do tego ma nietylko prawo, lecz jest to także jego obowiązkiem. Powiedz mi, Szymku, czyś ty widział kiedy księdza, aby się bił z kim po drogach?

Szymek. Tak nie przymierzając, jak ja z Kamyszkim. Co prawda, nie widziałem nigdy księdza, aby się bił i wyzywał z innymi ludźmi.

Jędrzej. A widziałeś, żeby po szynkowniach siedział?

Szymek. Nie.

Kował. A widziałeś, żeby komu kawał roli przyorał?

Szymek. Coś takiego żaden ksiądz nie robi.

Jędrzej. A czyś słyszał, żeby kapłani na ambonach chwalili ludzkie grzechy?

Szymek. Nie słyszałem.

Jędrzej. Mój kochany Szymku, widać, że ci gorzała na dobre rozum przyćmiła, kiedy się gniewasz o prawdę. Nie ty sam pijesz, nie ty sam się procesujesz, a jak ksiądz poruszy na kazaniu te grzechy, wtedy stosujesz wyłącznie do siebie, choć cię po nazwisku nie wymieni.

Kował. Jędrzeju, mówicie do serca. Myślę, że Szymek się skruszy i poprawi. Jutro pójdziemy wszyscy trzej do proboszcza, aby go Szymek przeprosił, potem pójdzie do spowiedzi i wyrzecz się wódki. Wszakżeż to uczynisz, kochany Szymonie?

Szymek. Tak mnie przejęła wasza mowa, że chętnie przeproszę naszego kochanego księdza proboszcza, odprowadzę spowiedź i wyrzeknę się wódki. Tak mi Panie Boże dopomóż!

Jędrzej. Sprawisz, miły Szymku, wielką pociechę księdzu proboszczowi. Niechże mi będzie wolno zwrócić się do was, widzowie. Szanujmy księży, bo oni nas jedną z Bogiem, głoszą nam słowo Boże i prowadzą do cnotliwego życia. Urodzisz się, ksiądz cię ochrzci, potem przyjmuje do pierwszej Spowiedzi św., później ślub ci daje, w chorobie opatrzy świętymi Sakramentami, a w razie śmierci towarzyszy ci na smętarz. A cóż po-

wiedzieć o ofierze Mszy świętej? Lud polski zawsze czcił kapłanów — niechże i tak nadal pozostanie. Czytałem w starej kronice, że nasz pierwszy król polski, Bolesław Wielki, tak uszanował kapłanów, iż ich nazwał księżmi, to jest księciami, gdyż dawniej ksiądz a książe jedno znaczyło. Naśladowmy wielkiego naszego króla. Czcijmy księży, a na dowód, że ta myśl nas tu wszystkich ożywia, wykrzyknijmy: „Niech żyją nasi kochani księża!”

(Zastona spada).

Uwaga. Powyższy dyalog jest stosowny na przedstawienie, aby uczcić kapłana w dzień imienin lub jakiej innej uroczystości, w której ksiądz lub księża biorą udział. Oczywiście rzecz, że można w końcu złożyć życzenia lub wogóle Szymek, kowal i Jędrzej mogą przemówić serdecznie do kapłana lub kapłanów.

6. ZŁOTE ZIARNKA.

Drobnostka sceniczna napisana przez Sewerynę Duchińską.

Janinka.

Czemuś, Helenko, tak zadumana?

Helenka.

Alboż nie zgadłaś z jakiej przyczyny?
Drogiej Mamuni dziś imieniny!
Jakby ją uczcić? myślę od rana
I nic się jakoś nie klei w głowie.

Janinka.

Idź do Babuni, ona ci powie;
Ja umyśliłam zapytać Dziadzi.

Helenka.

Wszak od Babuni powracam przecież!

Janinka.

I cóż, Helenko, jakże ci radzi?

Helenka.

Babunia rzekła: „Kochane dziecię!
Cóżbym ci mogła szepnąć do uszka,
I mnie Mamunia jak tobie drogą,
Ale w tem rady nie nie pomogą,
Lepiej własnego spytaj serduszka;

Co ci odpowie, miłem być musi
Dla ukochanej waszej Mamusi.
Gdy czuje serce, gdy myśli główka,
To z ust się same potoczą słówka“.

Janinka.

Pewno i Dziadzia tak mi odpowie.
Oj te Babunie! Oj ci Dziadkowie!
Im łatwo myśleć i mówić łatwo,
Żadne liłości nie ma nad dziatwą!

Helenka.

Że nas kochają, nie wątpić o tem,
Wszak my jedynym dla nich klejnotem?
Lecz im kochanie oczu nie ślepi,
Skoro tak czynią, musi być lepiej.
Trzeba pomyśleć... jedyna rada

Janinka.

Tyś przecież starsza, wymyśl początek.

Helenka.

Coś w mojej głowie już się układa,
Chciałabym tylko pochwycić wątek!
Wiem! wiem! jak uczcić Matunię drogą!
Będzie to pewnie rzecz bardzo mała,
Ale dziecieczki dają co mogą.

Janinka.

I cóż?

Helenka

Mateczka tyle nam dała,
Tak się nad nami codzień mozoli,
Skarby nauki składa powoli
Do główek naszych, jak złote ziarnka,
Już się ich spora zebrała miarka;
Idźmy więc do niej razem, — i śmiało
Przed nią tę miarkę wysypmy całą.

Janinka.

Jak to rozumiesz?

Helenka

Powtórzmy oto
Co pozostało w pamięci naszej
Z jej wszystkich nauk.

Janinka.

Pójdę z ochotą,
Ale rzecz jedna bardzo mnie straszy.

Helenka.

Czego się lękasz?

Janinka.

Umiemy tyle,
By to powtórzyć trzeba dni kilka.
Czyż na to jedna wystarczy chwilka?

Helenka

Czekaj... tę trudność łatwo uchylę —
Między nauki wybierzmy temi
Jedyną tylko: o Polskiej ziemi!

Janinka.

O Polskiej ziemi! co nam tak droga,
Za nią się codzień modlim do Boga.
O niej Mamunia mówi nam dziwy
I nieraz łezka tryśnie jej z oka.
O! bo ta ziemia długa, szeroka,
Niegdyś przesławna, ten raj prawdziwy,
Dziś jak sierota, sama na świecie.
Obcy ją przybysz stopami gniecie,
Wydarł jej skarby, okuł ją w pęta,
Sto lat już twardą siecze ją chłosta.

Helenka.

A ona przecież stoi niezgięta,
Oczyrna w słońce pogląda prosto
I coraz nowe szeregi synów
Do bohaterskich sposobi czynów.
O tej Ojczyźnie, dziś nam nieznanej,
Wszak cuda prawi Mamunia nasza.
Choć na trzy części kraj rozszarpany,
Przyszłość nas Polski nie nie przestrasza,
Ona się własną odrodzi siłą,
Słońce nie zgasło, lecz się przyćmiło —
To naszej drogiej Mateczki słowa;
Dziś je powtórzę, rozwinę kartę,
Ukażę na niej Gopło i Wartę,
I białą Wisłę, co jak królowa
U stóp Wawelu pysznie się toczy,
Wstęga Warszawie błyska przed oczy,
Okręża miasta i wsie bez liku,
Zaczem utonie na dnie Bałtyku.
Ztąd ja powiodę na Wschód oczyma,
Ukażę Niemen, jak szumno płynie
Po czarodziejskiej Kowna dolinie,
Sławny na wieki w pieśniach olbrzyma!
I Dniepr ukażę, co stare grody
Z pluskiem oblewa sinemi wody,
Pogwarza raźniej, to znów boleśniej
W takt ukraińskiej Bohdana pieśni, —

A gdy w mogiły spojrzę junacze,
 Ze skał na skały jak jeleni skacze,
 Aż zmordowany po cichu tonie
 W Czarnego morza głębokiem łonie!
 Wskażę Mateczce mej ukochanej
 Dniestr, co się wiję podolskim jarem,
 I niezmierzone pszenicy łany
 Tam, kędy wrzały boje z Tatarem.
 Potem halickie ukażę miasta:
 Nasz Lwów i Przemyśl, i one góry,
 Których wierzchołki spowite w chmury
 Strzegły od wieków dziedziny Piasta.

Janinka

Dość już, Helenko, wzięłaś mi całą
 Polskę od morza po drugie morze.
 Lecz i mnie jeszcze coś pozostało.
 I ja Mamuni mój datek złożę:
 Powiem o Wandzie sławnej tak długo,
 Bo wziąć nie chciała Niemca za męża.
 I o Krakusie, co swą maczugą
 Krwi niesytego smoka zwycięża
 Powiem o Piaście, jak on z pokorą
 Z pługiem na rolę prowadzi woły,
 Jak mu Bóg z nieba zesłał Anioły,
 Jak go Lechici na króla biorą.
 Powiem o Mieszku, jak u stóp krzyża
 Głowę książęcą z miłością zniża,
 Jak Bóg w nagrodę dobrego czynu
 Pobłogosławił mu w Chrobrym synu.
 A tego naród w czci wielkiej chowa,
 On miecz wyszczerbił w bramach Kijowa,
 I złote trąby zatopił w Dnieprze,
 Aby zagrzmiały na czasy lepsze!
 Potem o pięknej powiem Jadwidze
 Co jak jutrzienka nad Polską świeci...

Helenka.

Stój! to za długo będzie, jak widzę,
 Droga Mateczka przyjmie od dzieci
 Ten mały datek; — pochwali może?...
 Resztę na później zostawić trzeba.
 Ja dodam tylko: Dzięki Ci, Boże,
 Ty nam zesłałeś Anioła z nieba,
 Co nas otacza skrzydły białemi,
 Składa nam w serca plon tak bogaty,
 Daje nam poznać na polskiej ziemi
 Twą ręką siane kłosa i kwiaty!

Janinka

O Boże dobry, co mieszkasz w niebie,
 A ziemię karmisz słońcem i rosą,
 My wyciągamy ręce do Ciebie!
 Niechaj Anieli Stróże poniosą
 Do tronu Twego dziątek błaganie:
 Naszej Matuchnie, błogosław' Panie!
 Niechże nam będzie przewodnią gwiazdą,
 Uczy nas chodzić drogi Twojemi,
 A dla wygnańców uściel znów gniazdo
 W pięknej, szczęśliwej praojców ziemi.



7. Młodzieniec i dziadek.

Przez Kazimierza Brodzińskiego.

Młodzieniec

Dziadku! gdzież tu dostać chleba?

Dziadek.

O! po chleb rano wstać trzeba,
 Bo droga przykra i długa;
 Najlepiej ująć się pługą.
 Za pługiem będzie chleb znojny,
 Ale zdrowy i spokojny.

Młodzieniec.

Gdzie tu są dziadku zabawy?

Dziadek.

Sześć dni drogi do nich będzie:
 Sześć dni obchódz twoje sprawy,
 Dom i przyszłość miej na względzie,
 Zysk obrachuj; potem śmieje
 Hasaj sobie przez niedzielę.

Młodzieniec.

A gdzie też tu szkoła będzie?

Dziadek

Szkół i mędrków jest dokoła.
 Lecz, w kółko chodząc, czas stracisz,
 Zawrotem głowy przypłacisz.
 Ale jest na niebie karta,
 Dzieciom ziemi wciąż otwarta;
 Jest i książka ziemi matki,
 Z której uczy wszystkie dziatki;

Jest i serce, są i ludzie:
 W zyskach, stratach; w fraszkach, trudzie
 Jedni drugich uczą sami.
 Czule, czynnie, puść się w drogę;
 Ucz się własnymi błędami;
 Nie leń się szukać, a znajdziesz;
 Nie wiele pytaj, a zajdziesz.

Młodzieniec.

Gdzież tu znaleźć przyjaciela?

Dziadek

Tego tylko los udziela;
 Nie złowisz go wędą złotą,
 Ni talentem, ani cnotą.
 Kto w czas zyskał przyjaciela,
 Pociech i troski spółnika,
 Niech z pełni serca wykrzyka;
 Bo jako powietrza ciała,
 Tak duszy trzeba udziału.
 Kto będzie w słowa oszczędny,
 Tobie otwarty, a względny;
 Jeżeli, nie wiedzieć czemu,
 Tęskno ci będzie ku niemu;
 Gdy, i mileząc, tobą władnie,
 Skryty twój smutek odgadnie;
 Kiedy złe i dobre swoje,
 Z tobą rad święcić lżą tajną;
 Jeżeli poświęcenie twoje
 Przyjmie, jako rzecz zwyczajną:
 Wykrzyknij, pełen wesela,
 Że znalazłeś przyjaciela!

Młodzieniec.

A gdzie też tu miłość mieszka?

Dziadek.

Gdzie rożana wiedzie ścieżka,
 Tam chódź, próżnuj i myśl o niej;
 A wnet cię przedmiot dogoni,
 Jaki sam sobie wymarzysz.
 Będzie też to dusza zacna,
 Mądra, czuła i wesola;
 I coś jeszcze nad anioła.
 Ale to nie twój towarzysz.
 To jest bańka twego technienia;
 Bóstwo, które tworzysz sobie,
 Nie wcielone, umrze w tobie.
 Gdyś stworzony, syn Adama,
 Szukaj, tak jak ty, stworzenia;

Nie trać czasu na ofiary,
 Dla utworu własnej maryl;
 Tam, gdzie w gospodarnej chatce,
 Widać kwiaty u podwórka;
 Gdzie, pomocna swojej matce,
 Nie zbyt głośna mieszka córka;
 Tam bądź wesoły, a grzeczny,
 Mniej natrętny, a stateczny;
 Szczery bądź mową i okiem,
 Nic nie dodaj, nie ukrywaj!
 Ni własnych marzeń, urokiem
 Zalet lubej nie odziewaj;
 Jej nie zawódź, ani siebie.
 Bo, jak ogień błyszczy w niebie,
 Tak miłość sama się zdobi;
 Sama, lepszymi was robi.

Gdy litość sercem jej włada,
 A cení męskie przymioty;
 Gdy nad strój, czystość przekłada;
 Kiedy wesołej jest cnoty;
 Gdy boleść sercem zrozumie,
 Ale zagadać ją umie;
 Jeżeli dbała, bez porady.
 O porządek w domu matki;
 Jeżeli lubi, bez przesady,
 Dzieci, tańce, śpiewy, kwiatki:
 Szalej za nią! — to twa żona,
 Z Opatrzności naznaczona.

Młodzieniec

Gdzie też tu mieszka wesele?

Dziadek.

Dawno o niem nie słyzałem,
 Mało ci o niem kto powie.
 Kiedyś w młodości je znałem:
 Ojcem jego było zdrowie,
 Miało niewinność za żonę;
 Potem, z zasługą złączone,
 Dorobiło się dóbr wiele.
 Dziś podupadłe, w niedoli,
 Chyba gdzie z dziećmi swawoli.

Młodzieniec.

A gdzie też tu mieszka cnota?

Dziadek.

Skryła się za swoje wrota;
 Od dawna samotnie żyje;
 Obdarli ją ludzie podli:
 Z żalem przed światem się kryje,
 Tajnie za wszystkich się modli.

Byłaby nagrodą sobie,
Spokojna czystem swem tchnieniem;
Lecz teraz żyje w żalobie,
Bo ludzkim cierpi cierpieniem

Młodzieniec.

A gdzież tutaj szczęście bę lzie?

Dziadek

Nie tędy do niego droga.
Pytają o niego wszędzie,
Ale nieznane nikomu.
Odszedłś go w ojców domu,
A nie znajdziesz aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnych czynach szukaj wytchnienia;
Zresztą zapytaj sumienia:
Umie po polsku, toć powie.

Młodzieniec

A gdzie też tu wiara mieszka?

Dziadek

Jeżeli nie wiesz od matki,
To ci pokażą ją dziatki;
Najprościejsza do niej ścieżka,
Nie pytaj o nią szczęśliwych
Ani mędrców tego świata;
Szukaj jej w miłości brata,
W czynach i uczuciach tkliwych.
A kiedy cię wszystko zdradzi,
Ona, w nieszczęśliwym stanie,
Sama wyjdzie na spotkanie;
Do domu cię zaprowadzi.

8. KWIAT ŻYCIA.

Przez J. Kalinowskiego.

Starzec

Ty lubisz kwiaty, miłe ich wonie,
Lubisz ich barwy świeże, uroczę,
Jakże w nich często oko twe tonie,
Jak je zrywają dłonie ochocze!
Miło cię widzieć mała Celino!
Kiedy urywasz rozwite kwiatki,
W nich masz dla siebie rozkosz jedyną,
Z nich to równiankę wijesz dla matki.

O! bo te kwiaty — to życie twoje,
Tak świeże, czyste, skromne, niewinne,
Jak myśli twoje, jak słowa twoje,
Jak twe uczucia — szczere — dziecinne.

O baw się niemi, miła Celino!
Póki wiosenne służą ci latka,
W nich twoja rozkosz — baw się dziecino,
Póki innego nie poznasz kwiatka.

Kiedy niejedna wiosna przeminie,
Skoro upłynie kilka już latek,
Wtenczas nadobnej pięknej Celinie
Zakwitnie dotąd niezuany kwiatek.

Celina

Ach! jak to miło, jakże się cieszę,
Wiesz? moja mama tak lubi kwiatki,
Powiedz gdzie rośnie, zerwać pospieszę,
By nim przystroić okienko chatki.

Jakiż to kwiatek? gdzież rośnie przecie?
Jest pewnie pięknym, jak sobie wnoszę;
Jakiż ma kolor, jak go zowiecie?
Ach powiedz zaraz, — wszak o to proszę.

Starzec

Chociaż jest piękny, chociaż uroczy,
Jednak ma obce barwy i wonie;
Ludzkie nie mogą ujrzeć go oczy,
Bo on nie kwitnie — lecz żarem płonie.

Celina.

Kiedy nie pachnie, nie ma koloru,
O taki kwiatek nie bardzo stoję!
Zapewne rośnie gdzie w jakim boru,
A ja do lasu chodzić się boję.

Starzec.

O nie Celino! nie tam on rośnie.
Rośnie on w sercu u młodych ludzi,
Wtenczas zakwita, gdy w życia wiosnie,
Każde uczucie silniej się budzi.

Kwiat naszych marzeń, kwiat to jest życia,
Wszczepiony w serce odwieczną wolą,
Tam go żywimy jeszcze z powicia,
On naszym szczęściem — naszą niedolą.

O! ten szczęśliwy, komu ten kwiatek,
Zakwitnąć zdoła w szczęsnej godzinie,
Temu przyniesie szczęścia zadatek,
I blaski, wonie, przed nim rozwinie.

Lecz ten nieszczęsny, komu w złą rolę,
Upadną świętych uczuć nasiona,
Kto namiętnościom podda swą wolę,
Wśród hańby, wstydu, życia dokona.

Zanim Celino kwiatek ten wzrośnie,
Wiedzieć powinnaś o tem niezbędnie:
Masz być ostróżną w życia twej wiosnie,
Bo kwiat ten — raz kwitnie, raz więdnie.

Celina.

Jestem na dobre już niecierpliwa,
Jakże się kwiat ów piękny nazywa?

Starzec.

Jest to szczęścia na ziemi zadatek,
Miłością zwiemy ów piękny kwiatek.

Uwaga. Dyalogi pod nr. 7 i 8 może także jedna osoba deklamować. Zamiast starca w dyalogu „Kwiat życia“ może wystąpić w razie potrzeby staruszka lub babunia.

9. Złota i srebrna siekiera.

Drobnostka sceniczna.

OSOBY:

Kazimierz Czajkowski, ubogi wyrobnik,
Filip Kolecki, były gospodarz.
Czarodziej.

SCENA I.

Kazimierz (rąbać drzewo, potem się przeciąga i mówi:)

Niedługo skończy się praca. Oj, ciężka to robota
rąbać przez cały dzień sążnie drzewa. Wy panicze
i ładne panienki z miasta nie macie o tem wyobrażenia.
Spocilem się jak mysz. Trzeba sobie choć chwilkę
odpocząć i zaśpiewać. Posłuchajcie moi państwo:

Chłopek ci ja, chłopek,
W polu dobrze orzę;
Wszystko mi się dobrze dzieje,
Chwała Tobie, Boże.

Mam koników parę,
Cztery wołki w pługu,
Chałupeczkę malusieńką
Bez żadnego długu.

Z pracy nie choruję,
 Lenistwem się brzydzę,
 Żadnej ja się też roboty,
 Żadnej nie powstydzę.

Rozlega się w polu
 Wołanie oraczy,
 Co niema, to niema
 Bez pracy kołaczy.

Oj prawda, święta prawda, że praca daje choć nie kołacz, ale chleb przynajmniej. Odpocząłem sobie trochę. Dalej siekiero kochana, weźmy się znowu do roboty. Tyś moją towarzyszką, przyjaciółką i żywicielką. Znamy się od lat wielu. Trzeba porąbać ten kloc ogromny. *(Wali kilka razy siekierą, która wylatuje mu z ręki i wpada w poblizkie j zioło.)*

Ha! do stu Maćków wypadła mi z ręki siekiera i wpadła w wodę, a tam strasznie głęboko. O ja biedny nieszczęśliwy człowiek! Co teraz pocznę bez siekiery? Biednemu zawsze wiatr w oczy i na ubogiego zawsze kapie. Utonęłaś siekiero pocziwa na dnie jeziora i tam na wieki spoczywać będziesz, a ja chyba ręką będę rąbał drzewo.

(Krzyczy rozpaczliwie). Siekiero, siekiero, wypłynę z wody, bo ja, żona i moje dzieciśczka z głodu pomrzemy. Biedaż mi bieda! Oj, oj, co ja pocznę, co ja pocznę nieszczęsny sierota? Czyby się nie utopić? Ha! pewnie najlepiej się utopić. bo raz się skończą moje utrapienia. A żona i dzieci? A Bóg? Dostałbym się do piekła. O mój Boże. o mój Boże, któż mnie poratuje?

Starzy ludzie powiadają, że w tym lesie mieszka czarodziej, który już niejednemu dopomógł. Gdyby chciał zlitować się nade mną? *(Krzyczy).* Czarodzieju, dobrodzieju; przybywaj na pomoc nieszczęśliwemu człowiekowi!

SCENA II.

Kazimierz — Czarodziej.

Czarodziej. Co tak wrzeszczysz, Kazimierzu, że w całym lesie aż się trzęsą listki na drzewach! Czy ci się stała krzywda?

Kazimierz. O la Boga co ja widzę! A toć to czarodziej, przepraszam, wielmożny pan czarodziej; oj, oj, ciarki mnie przechodzą.

Czarodziej. Nie obawiaj się, pocziwy człowieku! Nie uczynię ci nic złego. Dobrym, pracowitym ludziom chętnie dopomagam. Powiedz, co ci się stało?

Kazimierz. Panie czarodzieju, jasnie wielmożny panie dobrodzieju.....

Czarodziej. Daj pokój wielmożnościom, bo z tego sobie nic nie robię. Ze mną po prostu z mostu, z góry na pazury. Mów krótko a węzłowato, co ci dolega.

Kazimierz. A to i powiem. Otóż dopraszam się łaski pana czarodzieja, wpadła mi siekiera do wody, tak może pięć kroków w jezioro, a tam bardzo głęboko. A bez tej siekiery chyba mnie, żonie i dzieciom z głodu zginąć.

Czarodziej. Poczekaj trochę, pójdę szukać siekiery. *(Wychodzi).*

Kazimierz (puka się w czoło). Pójdzie szukać siekiery, ale czy ją znajdzie? Prawda, że to czarodziej. — Czarodziej? — żeby to czasem nie był duch nieczysty. Aleć mu dobrze z oczu patrzy. Przecież nie wyrwie mi duszy z ciała. Aleś bardzo ciekawy, czy się znajdzie siekiera? *(Wchodzi czarodziej z srebrną siekierą).*

Czarodziej. Udało mi się wydobyć twoją siekierę. Wszakżeż to ta sama? Przypatrz jej się dobrze.

Kazimierz (ogląda, kręci głową i mówi ze smutkiem:) Ładna siekiera, ani słowa, zdaje mi się, jakoby była ze srebra, ale cóż — kiedy nie moja. Ja tam cudzego nie pragnę, a kłamstwem się brzydzę. Wściecie sobie, panie czarodzieju, tę siekierę, bo doprawdy nie moja.

Czarodziej. Spróbuję jeszcze raz, może się uda. Poczekaj chwileczkę. *(Wychodzi).*

Kazimierz. A to ciekawa historia? Czarownik czaruje. Siekiera piękna i ciężka, aleć moja była żelazna, a ta nowiuśka i z czystego srebra. Jużbym ja wolał moją siekiereczkę. Wszak to powiadają, że cudze nie grzeje. *(Wchodzi czarodziej z złotą siekierą).*

Czarodziej. Teraz to już z pewnością jest twoja siekiera. *(Kazimierz ogląda ciekawie, potem kręci głowę).*

Kazimierz. Toć to czyste złoto, ale cóż z tego, kiedy siekiera nie moja. Słuchajcie, panie czarodzieju, moja siekiera była z żelaza, a nie wiem, jakim sposobem zamieniła się nagle w złotą. Nie, nie, to nie moja.

Czarodziej (na stronie). A to pocziwy człowiek jak rzadko. Takich potrzeba więcej. (*Głośno*). Jeżeli to nie twoja siekiera, szukać będziemy do trzeciego razu. (*Wychodzi*).

Kazimierz. Widzicie moi państwo, że ów czarodziej znalazł złotą siekierę. Aż mi się serce zaśmiało do niej, ale odpędziłem pokusę. Niech będzie i dyamentowa, co mi po niej; ja tylko pragnę odzyskać moją żelazną siekierę. (*Wchodzi czarodziej z żelazną siekierą*).

Czarodziej. A co Kazimierzu, nie jest to czasem twoja siekiera?

Kazimierz. A toć moja, — zupełnie ta sama, tylko że mokra. Dziękuję wam, panie czarodzieju, dziękuję z całego serca.

Czarodziej (uroczystym głosem). Słuchaj, pocziwy Kazimierzu, słów moich. Jesteś pobożnym, pracowitym człowiekiem. Nie chodzisz do karczmy, żonę szanujesz, dzieci dobrze chowasz, nie jesteś chciwy na bogactwa, przeto w nagrodę twej pocziwości daruję ci nie tylko srebrną, ale i złotą siekierę. (*Oddaje mu obiedwie siekiery*). Ale pamiętaj, abyś i nadal żył cnotliwie i pracował jak dotychczas. Sprzedaj siekiery, a pieniędzy używaj oszczędnie i roztropnie. Żegnam cię, Kazimierzu, bądź zawsze szczęśliwym. (*Odchodzi*).

SCENA III.

Kazimierz. Sen to, czy prawda? A więc mam moją żelazną siekierę i oprócz tego złotą i srebrną. (*Ogląda siekiery*). Jakim ja szczęśliwy! Trzeba przede wszystkim podziękować Bogu. (*Kłęka i modli się*). Co teraz począć? Sprzedam te dwie siekiery i kupię gospodarstwo po Koleckim, które właśnie idzie na sprzedaż. Ośmdziesiąt mórg dobrej roli, ładna łąka, dwa konie, bydło, pasieka — wszystko to będzie moje. Skończyła się raz przecież bieda. Ale pracować i oszczę-

dzać będę i dzieci będę zachęcał ze wszystkich sił do pracy i oszczędności. Któż tam się wynurza z lasu? Ach! to Filip KołECKI. któremu mają sprzedać gospodarstwo. Odebrał on ładną posiadłość bez długu i do tego trzos bitych talarów, ale z powodu próżniactwa i pijaństwa utracił ojcowiznę. Szkoda tego człowieka. Trzeba będzie schować siekiery przed Filipem. (*Odchodzi*).

SCENA IV.

Filip (z siekierą na ramieniu). Niech jasne pioruny trzasną takie życie. Bieda, że i siekierą nie uciąć. Nie ma kawałka chleba. Mniejsza o chleb, ale gorsza sprawa, że nie ma ani kropli wódki. Wystawcie sobie, moi państwo, że ja dzisiaj jeszcze nie wypilem ani kieliszka gorzałki, bo nie ma grosza w kieszeni, a żyd szelma nie chce dać na kredyt. Kiedym miał gospodarstwo, wtedy mi nadskakiwał, pożyczzał, poił, a wciąż dopisywał, aż po czterech latach podał moje gospodarstwo na sprzedaż. Wszystko mi zabrali ci.... już nie powiem, boby mnie wsadzili do kozy. Trudna rada, musiałem się urządzać za parobka. Zamożny gospodarz parobkiem! Słyszał świat coś podobnego? Teraz mam w lesie rąbać drzewo. Tu rąbał niedawno Kaźmierz Czajkowski. Co on tam robi w krzakach? Błysnęło coś białego i złotego. Co widzę? — to złota i srebrna siekiera. Zkąd ten chudeusz przyszedł do takich kosztowności? Musi mi się przyznać do wszystkiego. Hej, hej, Kazimierzu! Pójdźcie tu do mnie z siekierami.

SCENA V.

Filip, — Kazimierz, (*z zawiniętymi siekierami*).

Kazimierz. Czegóż chcesz ode mnie, Filipie?

Filip. Słuchajcie, Kazimierzu, widziałem u was złotą i srebrną siekierę. Powiedzcie mi zaraz, zkąd je macie, bo was oddam na policję.

Kazimierz. Kiedyś zobaczył, to powiem, bo kłamać nie będę. Rąbałem tu drzewo, a wtem wpadła mi siekiera do wody. Zacząłem okropnie wyrzekać.

Filip. Nie dziwię się temu.

Kazimierz. Wtem przychodzi czarodziej, a gdy mu opowiedziałem mój wypadek, wyjął z wody najprzód srebrną a potem złotą siekierę i pytał się, czy do mnie należą. Powiedziałem, że nie. Nareszcie wydobył moją żelazną, a potem darował mi złotą i srebrną siekierę.

Filip. Wierzę wam, bo wy zawsze mówicie prawdę, Kazimierzu.

Kazimierz. Pójdę do domu; zostań z Bogiem.

Filip. Idźcie z Bogiem.

SCENA VI.

Filip. Kazimierz mówi niezawodnie prawdę. Spróbuję i ja szczęścia. Wrzucę siekierę, a może głupi czarodziej choć jedną mi daruje. (*Wrzuca siekierę do wody*). A teraz trzeba wyrzekać. Do stu siarczystych piorunów! wpadła mi siekiera do wody. Teraz umrę z głodu, bo czemże zarobię na kawałek chleba. Jakie nieszczęście! Siekiero, siekiero, coś ty najgorszego zrobiła. Rozpacz mnie chwyta. Gotówem się utopić. Hej panie czarodzieju, przybywaj na pomoc, błagam cię, ja Filip KołECKI, człowiek nieszczęśliwy. (*Wchodzi czarodziej*).

SCENA VII.

Filip, — Czarodziej.

Czarodziej. Czego ty Filipie tak krzyczysz?

Filip (ciągnie go w rękę). Stało się straszne nieszczęście — wpadła mi siekiera do wody.

Czarodziej. Poszukam twej zguby, może mi się uda. Zaczekaj trochę, a wnet wrócę. (*Odchodzi*).

Filip. A to jakiś potulny i głupi czarodziej. Mniejsza o to — złota i srebrna siekiera to grunt. Jak je dostanę, zaraz sprzedam, a potem będę hulał. (*Wchodzi czarodziej z złotą siekierą, ale Filip go nie widzi*). Już nie będę pił prostej wódki, ale likier i wino, jak to panowie pijają. Widziałem to nieraz w mieście, a nie tylko widziałem, ale i sam piłem. Robić nic nie będę — a na co mi robota? Może się ożenię, bo jak

człowiek ma pieniądze, dostanie ładną żonę. A możeby która z pięknych panienek, co tu siedzą, mnie chciała? Przecież będę miał złotą siekierę, a taka siekiera kosztuje parę tysięcy marek. Jestem szczęśliwy, szkoda że nie ma wódki. Ale coś długo nie widać czarodzieja. (*Obraca się*). A to pan czarodziej! (*Na stronie*). Co widzę? Ma złotą siekierę w ręku, dobra nasza.

Czarodziej (pokazuje złotą siekierę). Filipie, czy to twoja siekiera?

Filip. Moja, moja, wielmożny czarodzieju. Sprawiedliwie że moja, dziękuję wam, żeście odszukali moją zgubę. Dajcie czem prędzej siekierę. (*Wyciąga ręce*).

Czarodziej (groźnym głosem). O ty niegodziwy człowieku, kłamco, próżniaku obrzydły, pijaku nienasycony! Nie dostaniesz ani złotej, ani srebrnej, ani nawet żelaznej siekiery.

Filip (płacze). Panie czarodzieju, zmiłujcie się nademną i dajcie tę złotą siekierę; bardzo o to proszę, ja się już poprawię.

Czarodziej. Chyba z pieca na łeb. Gdybyś dostał tę złotą siekierę, zaniósłbyś ją zaraz do żyda Mośka, a w kilka dni nie byłoby ani grosza. Tyś gotów co dzień przechulać nie jedną, ale dwie złote siekiery. Popraw się, próżniaku, bo jak się nie poprawisz, zginiesz marnie. Nie pij wódki, pracuj, oszczędzaj. Bądź zdrow! (*Odchodzi*).

SCENA VIII.

Filip, później Kazimierz.

Filip. A to dopiero nieszczęście! To bydlę ten czarodziej. Przecież to strasza niesprawiedliwość. Kazimierz dostał srebrną i złotą siekierę, a ja nic. Co teraz pocznę? Będzie trzeba pić wodę, a ja wody niezwycajny. Ale kto wie, może też i słusza kara. Po co ja kłamałem? Powiedział mi czarodziej, że jestem próżniak i pijak. Pewnie że tak będzie; wszakżeż zmarnowałem ładne gospodarstwo. Trzeba się będzie poprawić. (*Wchodzi Kazimierz*).

Kazimierz. A gdzież wasza siekiera?

Filip. Poszła Maćku krowa, niech idzie i cielę.
Złotej siekiery nie dostałem, a żelazną utraciłem.

Kazimierz. Filipie, zastanówcie się nad waszem położeniem. Przepiliście gospodarstwo, robić wam się nie chce. Poprawcie się, a Bóg wam będzie błogosławił.

Filip. Jabym się i poprawił, ale pewnie już za późno.

Kazimierz. Nigdy nie jest za późno, jeżeli kto się chce poprawić. Ja ci pomogę, Filipie. Możesz u mnie pracować, a jak będziesz pilnym i wyrzekniesz się wódki, chętnie ci pomogę większą pożyczką. Czy chcesz się poprawić?

Filip. Oj, chcę i poprawię się, bo widzę, że próżniactwo i pijatyka prowadzą do upadku i biedy.

Kazimierz. Chwała Bogu, że swój błąd uznajesz. Jeżeli będziemy pracowici, oświeceni i oszczędni, jeżeli będziemy unikali jak ognia próżniactwa, karciarstwa i pijaństwa, wtedy zawita trwałe szczęście do naszego kraju. Niech żyje praca, nauka i oszczędność!

(Zasłona spada.)

Uwaga. Powyższa sztuka należy do bardzo łatwych do odegrania, gdyż występują na scenie tylko zawsze dwie lub jedna osoba. Kazimierz powinien być lepiej ubranym, aniżeli Filip. Zamiast piosenki „Chłopek, ci ja chłopek“, może być inna stósowna. Grano tę komedijkę w Gnieźnie, a liczne oklaski były dowodem, że się podobała.

10. On i ona.

Śpiew na nutę krakowiaka.

Przez Narcyzę Żmichowską.

On.

Wemę świecę i latarnię i głównię z komina,
Pójdę szukać: czy jest w świecie pocziwa dziewczyna?

Ona.

Wemę księżyc, wemę gwiazdy, wemę jasne słońce,
Może znajdzie w którym chłopcu serce kochające.

On.

Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tem,
Że nie znajdzie najpocziwszej, kto nie brzęknie złotem.

Ona.

Toć patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,
 Że z nich każdy czule kocha, lecz siebie samego.

On.

Już znalazłem najpocziwszą, znalazłem kochaną,
 Piękną, cichą, ale w sklepie.... lalkę malowaną.

Ona.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie,
 Piękny, dzielny, wojak młody.... na starym portrecie.

On.

Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
 To może wojak z portretu na konika skoczy.

Ona.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,
 Może w lalce malowanej serce zakolata.

Uwaga. Na pewnem weselu odśpiewała powyższego krakowiaka dorodna para, ubrana w strój krakowski. Śpiew tak się podobał, że trzeba go było dwa razy powtórzyć na powszechnie żądanie gości. Jest to wprawdzie wiersz krótki, ale nieraz wypada coś na prędce wygłosić. Oczywiście rzecz, że można także ten piękny utwór deklamować.

11. Rzeźnik i szewc, czyli

Jan Kiliński w Gnieźnie.

Dyalog dla teatrów domowych.

OSOBY:

Antoni Morawski, dawny konfederat barski.

Jan Kiliński, czeladnik szewski.

Rzecz dzieje się w Gnieźnie na Grzybowie, w mieszkaniu Morawskiego około 1782 r., kiedy Gniezno należało jeszcze do Polski.

SCENA I.

Kiliński. Tu więc mieszka ów sławny Antoni Morawski, dzielny konfederat barski, niegdyś postrach

Moskali. Zasłużony to mąż dla naszej Ojczyzny. Niedawno opowiadał mi o jego czynach Andrzej Żuba, stary mieszczanin poznański, który znał osobiście Morawskiego, gdyż nawet wojował w jego oddziale. Moskale taką mieli przed Antonim obawę, że skoro krzyknął na nich ostro, już uciekali. Pod Łądem napadli go, a pewien kozak zranił go lancą i zabrał mu czapkę. Pochwalił się przed jenerałem Apraksynem, że ubił Morawskiego. Dostał za to nagrodę, a czapkę posłano sztafetą do Warszawy, jako dowód pokonania mężnego powstańca. Odetchnęli Moskale, aż tu w dwa tygodnie napada Morawski na oddział moskiewski i znosi do szczętu. Kozak, który się pochwalił ubiciem, dostał 300 batogów. Gniezno mogłoby wiele o jego męztwie opowiadać. Sam jeden napadł tu w nocy na wartę moskiewską i dwóch żołnierzy rozplatał, armatę zagwoździł i wrzucił do sklepu. Odżyła we mnie polska dusza, gdym słyszał opowiadanie o nieustraszonem męztwie gnieźnieńskiego rzeźnika, dla tego też postanowiłem odwiedzić zacnego patryotę.

S C E N A II.

Morawski, — Kiliński.

Morawski. Czego sobie życzysz, młodzieńcze?

Kiliński. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Zapewne mam honor mówienia z panem Morawskim.

Morawski. Na wieki wieków. Amen. Jam Antoni Morawski, rzeźnik w Gnieźnie.

Kiliński. Jestem Jan Kiliński, czeladnik szewski z Poznania. Wybrałem się na wędrowkę. Idę do Warszawy. Poprzednio pragnę odwiedzić Trzemeszno, gdzie się rodziłem, a przechodząc przez Gniezno, nie mogłem przenieść na sobie, aby nie złożyć uszanowania panu Morawskiemu, który podczas konfederacyi barskiej tak dzielnie trzepał Moskali. Jestem młodym i niedoświadczonym czeladnikiem szewskim, ale kocham gorąco Ojczyznę Polskę i tych bohaterów, którzy nie szczędzili dla jej obrony zdrowia i życia. Witam cię, chlubo polskich rzeźników i zaszczycie miasta Gniezna! Cześć ci, znakomity wojowniku, któryś cierpiał głód, nędzę,

kajdany i wygnanie dla naszej biednej Polski! (*Całuje rękę Morawskiego*).

Morawski. Młodzieńcze, rozrzewnia mnie twoja miłość dla Polski. Gdyby wszystka młodzież polska, a szczególnie rzemieślnicza, była tobie podobna, nie byłoby potrzeby mieć obawę o przyszłość naszego kraju. Siadaj, mój kochany Janie. Twój zapal niech mi doda nowej nadziei, gdyż przyznam się, że nieraz zwątpienie mnie ogarnia, gdy pomyślę o naszym smutnem położeniu.

Kiliński. Nigdy nie trzeba tracić nadziei, gdyż przysłowie polskie powiada, że w najgorszej przygodzie stoi Pan Bóg w odwodzie.

Morawski. Masz słuszość. Jesteś młody, ale mówisz, jak mąż zahartowany życiem.

Kiliński. Przeszedłem też ciężką szkołę. Rychło utraciłem ojca; matce było ciężko nas wychować, oddała mnie więc w naukę szewską. Cztery lata się mozoliłem jako uczeń, a dwa jeszcze pracowałem w Poznaniu jako czeladnik. Postanowiłem zwiedzić Warszawę, stolicę Polski.

Morawski. Bardzo ci to chwalę, mój Janie. W Warszawie możesz się wyćwiczyć w swem rzemiośle i przyjść do majątku.

Kiliński. Trudno się dorobić majątku dziesięciu palcami.

Morawski. W nagrodę twego do mnie przywiązania dam ci radę, dobra zaś rada lepsza niż złoto. Jesteś młody, przystojny, a więc będziesz się podobał kobietom. Rób wyłącznie a przynajmniej przeważnie damskie obuwie. Skoro będziesz brał miarę, pochwal zawsze nóżkę, a chwal tem więcej, jeżeli noga gruba i niekształtna. Powiedz zawsze jaki miły dowcip; bądź ugrzecznionym, a zobaczysz, że będą ci się sypały zamówienia. Unikaj szynków, kart i miłostek. Staraj się jak najprędzej zacząć na swoje. Jak założysz warsztat, miej zarazem kramik. Ożeń się wcześniej, gdyż powiadają, że rychłego wstania, wczesnego zasiewu i ożenku za młodu nikt nie żałował. Nie patrz, czy żona posiada majątek, ale uważaj, czy jest pracowita, oszczędna, zaradna i czy będziesz miał z niej pomoc w handlu. Spełnij mą radę, a dorobisz się majątku.

Kiliński. Mnie się zdaje, że sam majątek nie daje szczęścia.

Morawski. Masz słuszość, ale majątek jest podstawą, na której gruntuje się powodzenie. Trzeba pracować nie tylko dla siebie, ale także dla dobra braci i narodu. Jeżeli jednakże nie będziesz posiadał majątkowej podstawy, nie wywrzesz pożądanego skutku. W Warszawie są liczni rzemieślnicy, a najwięcej szewców; gdy sobie ich pozyskasz, możesz w danym razie zasłużyć się dobrze Ojczyźnie.

Kiliński. O zacny panie Morawski, złote są wasze słowa! Majątku nie stawiam na pierwszym miejscu. Oprócz Boga kocham najwięcej Polskę, dla niej chcę żyć, działać i umierać.

Morawski (*klepiąc Kilińskiego po ramieniu*). Podobasz mi się, młodzieńcze. Duch mój powiada mi, że cię Bóg powołał do wielkich rzeczy; ty będziesz chlubą polskich szewców. Nazwisko twoje późne polskie pokolenia z czcią wspominać będą.

Kiliński. Nie dbam o sławę, nie dbam o majątek, chcę służyć narodowi polskiemu — oto cel mego życia.

Morawski. Słuchaj. Zbliża się czas, że mieszczaństwo i lud wiejski bronić będą Ojczyzny, gdyż szlachta nie zdoła sama ocalić Polski od zguby. Stań na czele polskiego mieszczaństwa. W Warszawie otworzy ci się pole działania. Gdy sobie pozyskasz rzemieślników, gdy będą gotowi iść na twoje skinienie, możesz oddać wielką przysługę narodowi. Ten zaszczytny cel miej zawsze przed oczyma. Nie spuszczań go nigdy z oka i pracuj wytrwale, nie zrażaj się przeciwnościami, a przyjdzie chwila, że dokonasz wielkiego dzieła.

Kiliński. Spełnię twoje rady, zasłużony wojownik. Powiedz mi szczerze, panie Morawski, dla czego się nie udała konfederacja barska?

Morawski. Nie udała się, gdyż brała w niej udział przeważnie szlachta; była to zresztą nie tylko walka pomiędzy Polską a Moskwą, ale także bratobójcza, gdyż Polacy walczyli z Polakami. Dowódcy siedzieli za granicą w Białej, Cieszynie i w Preszowie. Co prawda, większa część konfederatów myślała raczej o hulankach, aniżeli

o wojnie. Ja sam nie byłem lepszy. Zapijałem się i dla tego wzięli mnie Moskale w niewolę. Moje pojęcia wówczas o polskości były lichy. Miałem niepohamowaną chętkę do bójki; mnie zawsze świerzbiała ręka, to też, gdy się na mnie zamierzył burmistrz gnieźnieński Griesinger, uderzyłem go w twarz i poszedłem do konfederatów.

Kiliński. Łuba, mieszczanin poznański, mówił mi wiele o zasługach pana Morawskiego.

Morawski. Łuba służył w moim oddziale. Pamiętam go dobrze; odznaczał się wielką przezornością i meztwem. W moim oddziale nie było prawie szlachty, tylko sami chłopci i mieszczanie, a bili się jak lwy. Bywało, że na czele 90 ludzi rozbijałem w puch oddziały moskiewskie, wynoszące po kilku set żołnierzy.

Kiliński. Słyszałem o tem. Moskale bali się jak ognia „Mory“.

Morawski. Tak, tak, istotnie nazywali mnie Morą. Bylbym wielkich rzeczy dokonał, a możebym i Polskę ocalił, gdybym był posiadał wykształcenie i nie oddawał się pijaństwu. Nie znałem wcale historii polskiej. Dopiero w więzieniu a mianowicie podczas pobytu na Kamczatce rozbudziło się we mnie polskie uczucie.

Kiliński. To pan Morawski był na Kamczatce, która leży aż za Syberyą?

Morawski. Tak jest, byłem. Kamczatka jest to półwysep, dotykający oceanu Wielkiego i Lodowatego, odległy od nas może na jakie 1000 mil. Był też tam Beniowski, który ogłosił powstanie, wyciął w pień Moskali, opanował okręt, a objechawszy Indye i Afrykę, powrócił do Francyi. Spędziłem tam 7 lat. Jedyłą moją pociechą była książka: „Forteca monarchów polskich“. Z niej poznałem przeszłość Polski. Nie myślałem nigdy, że wrócę na ojczystą ziemię. Ocaliłem życie pewnemu Rosyaninowi, a ten z wdzięczności wystarał się dla mnie o uwolnienie. Długa niewola zmieniła mnie do niepoznania na duchu i ciele. Ów Morawski, nie lękający się nietylko Moskali, ale nawet diabła samego, zamienił się w stetryczalego starca. Kupuję skopy, bydło i sprzedaje mięso. Mam dwóch synów i córkę.

Zbytku u nas nie ma, ale mamy przynajmniej swój dach i nie idziemy spać głodno.

Kiliński. Pociesz się, dzielny wojaku, nastaną jeszcze lepsze czasy.

Morawski. Nie wątpię, że Polska nie zginie. Będą wojny, kto wie, może nawet Prusy, Moskwa i Austria zupełnie Polskę rozbiorą, ale mimo to naród nasz żyć będzie, gdyż lud polski istnieje. Trzeba w chłopach i rzemieślnikach budzić polskie uczucie.

Kiliński. Miłą mi gawędka z tak zasłużonym mężem, ale trzeba mi wyruszyć w drogę, gdyż chciałbym dziś jeszcze stanąć w Trzemesznie.

Morawski. Zostaniesz u mnie na obiedzie, a nie potrzebujesz iść pieszo, gdyż odwiozę cię wózkiem w jednego konia. W Trzemesznie jest moim wielkim dobroczyńcą i opiekunem przeznaczy ksiądz opat, Michał Kosmowski. Takich mężów potrzebuje Polska. Zbudował on wspaniały kościół, jeden z najpiękniejszych na polskiej ziemi; założył szkołę, zaprowadził porządek wielki w zarządzie dóbr klasztornych i wspiera ubóstwo. Za jego staraniem wymalował sławny malarz Smuglewicz piękny obraz ś. Augustyna do kościoła w Trzemesznie. Czcigodny X. Opat rozporządził, że mam pierwszeństwo przed żydami co do nabywania na rzeź bydła i skopów w dobrach klasztornych; dostaję też bezpłatnie drzewo z lasu. Jadę do Trzemeszna, bo chcę kupić 4 woły ze wsi klasztornej Pasiaki. Cieszę się zawsze na rozmowę z księdzem Opatem, bo od niego można się wiele nauczyć. Świątobliwy to i mądry kapłan, a Polak duszą i ciałem.

Kiliński. Pójdę i ja do niego prosić o błogosławieństwo. Znał on mego ojca, który budował kościół trzemeszeński.

Morawski. Przejdziemy się teraz po Gnieźnie; pokażę ci różne pamiątki i osobliwości. Tu przebywali pierwsi książęta i królowie polscy, tu była pierwsza stolica naszego narodu. Tu spoczywa w katedrze ś. Wojciech, Patron Polaków i Czechów. Bolesław Wielki, największy król polski i założyciel naszego narodu, w Gnieźnie się rodził i tu spędził większą część życia, pełnego sławy. Z każdej cegły gnieźnieńskich kościołów przemawia do

nas Polaków odległa przeszłość, a my niebacznai pomijamy wielkie pamiątki, bo ich prawie nie znamy. Jakież piękne są podania o trzech braciach słowiańskich: Lechu, Czechu i Rusie i o naszym kochanym białym orle, który tu w Gnieźnie, a nie gdzieindziej się gnieździł, a potem rozwinął skrzydła i wzleciał wysoko nad Polską — nad Polską, nieszczęśliwą naszą Ojczyzną. a jednak kochaną, bo to nasza Macierz, nasza Pani, nasza Królowa. O Ty, Polsko droga, za ciebie warto nosić okowy, iść na tułactwo i śmierć. Boże, Boże! zmiłuj się nad naszym narodem, zmiłuj się nad Polakami i nie daj nam marnie zginąć. (*Placze*).

Kiliński. Panie Morawski, rozrzewniłeś mnie swą mową, pełną zapału i miłości Ojczyzny. Zadrgnęła w mem sercu nieśmiertelna iskra. Przysięgam, że odtąd tylko dla Polski kochanej żyć i pracować będę. Pobłogosław mi, ojczyce Antoni — nazywam cię ojcem, gdyż żywię cześć głęboką dla ciebie, jakoby dla własnego rodzica. (*Kłeka*).

Morawski (wznosi ręce nad głowę Kilińskiego). Boże Mieczysławów, Bolesławów, Kazimierzów, Zygmuntów, Batorych, Czarnieckich i Sobieskich, błogosław temu młodzieńcowi, aby spełnił swą przysięgę i przyczynił się dla dobra naszej Ojczyzny. Niech żyje Polska, niech żyją dzielni Polacy i Polki! (*Zasłona spada*).

Uwaga Sztuka powyższa, jako tako odegrana, wywiera wielki wpływ i do łez rozrzewnia słuchaczy. Morawski i Kiliński powinni wystąpić w czamarach lub wogóle w polskim ubiorze.

12. Kowal i młynarz.

Dyalog.

Młynarz.

Dlaczego, człowieku miły,
 Starą dłoń trudzicie młotem;
 Ten osłabia mdle już siły,
 Lica wasze rosi potem.
 Źle wam się o zysku marzy,
 Lepsze rzemiosło młynarzy.

Kowal.

A któż to żyje bez pracy?
 Powiedz młynarzowi sędziwy:
 Zebrzą leniwcę, próżniacy,
 Lecz robi człowiek pocziwy.
 Nie o to chodzi, co lżejsze,
 Lecz co światu potrzebniejsze.

Młynarz.

Silnie karcisz przyjacielu:
 Każdy swą rzecz chętnie głosi;
 I najłepszem sądzi wielu
 To, co ich sławę podnosi.
 Nawet nie pozna goryczy
 W tem, co jego serca tyczy.

Kowal.

Moje rzemiosło wystawia
 Pracy obraz rajgorliwszy;
 Rólnik jego dzielność wślawia,
 Zeń ma zbiór ziarn najszcześliwszy.
 Ziemię, powietrze i morze,
 Z moją pomocą człek porze.

Młynarz.

Dawno w świecie ziarnka znano,
 Dawno się człek żywił niemi;
 Lecz, że mej sztuki nie znano,
 Nie były tak korzystnemi.
 Mądre odkrycie młynarki,
 Godne i groszy i miarki.

Kowal.

Byłaby pewna zagroda,
 W której wam miłe schronienie?...
 Wszelka ziemianów swoboda,
 Ma z kowala zapewnienie.
 Nawet kunszta i rzemiosła,
 Kowalska sztuka wyniosła.

Jakież byłyby pałace,
 Jakie zamki i ogrody?
 Wszak ciężkie kowala prace,
 Przyczyniły im wygody.
 Młyny i wiatraki głośnie,
 Czyż byłyby tak donośne?

Żelaznym mieczem zbrojeni,
 Waleczni kraju obrońcy;
 I ci, co wiecznie wślawieni,
 Gdy zobaczą ziemi końce,
 Sławna to zapewne praca,
 Która las, miasta wywraca

Ja szanuję kunszt młynarki...

Mają korzyść wszystkie stany;
Wam jest miły dochód z miarki,
A mnie grosz potem obłany.
Każda rzecz idzie szczęśliwie,
Gdy człowiek żyje pocziwie.

Ciężkie uderzenie młotem,
Gdyż nawet żelazo kruszy;
Choć okryje ciało potem,
Lecz nada spokojność duszy.
Iskry, które w oczach nikną,
Nieraz mą duszę przenikną.
A kiedy w górę podlecą,
Chęć do nieba w sercu niecą.

Ich miła krótkość istnienia,
Uczy mnie cichym sposobem,
Skromnie ponosić cierpienia,
Bom codzien bliżej nad grobem.
Jak szybko ich płomień świeci,
Tak trwałość dni mych uleci.

Młynarz.

Zgoda, przyjacielu, zgoda,
Wypijmy na wiwat razem;
Gdzie pożytek i swoboda,
Czy to drzewem, czy żelazem —
Wszystko tam pójdzie szczęśliwie,
Gdzie człowiek żyje pocziwie.

(Wyjęto z dziełka: „Myśli w samotności“ przez A. z K. W. de Routa).

13. Pijak w trumnie.

D y a l o g.

OSOBY:

Mikołaj Kuflewski. — Stróż.

Scena przedstawia pokój z łóżkiem. Około 12 w nocy wtacza się Mikołaj Kuflewski, tak pijany, że ledwie może chodzić.

Zabawiłem się dziś kapitalnie. Zeszło się nas kilku kolegów, zatem szły kolejki. Oczywiście rzecz, że ja głównie fundowałem, za co mnie koledzy na rękach

nosili. Najprzód piło się piwo, tj. prawdziwy kulmbacher tak może po 5 kufli, a że ja się nazywam Kuflewski, więc ten tego, to jest ten ten tam, mości dobrodzieju, spoglądałem z czułością na mój herb, gdyż Kuflewscy są szlachta herbu kufel z cynową pokrywką, aby w piwo nie wpadała żadna nieczystość. Nie potrzebuję dodawać, że po każdym kuflu kropnęliśmy sobie koniaczka. Potem wzięliśmy się do ponczu. Nie wiem ile, ale grzmotnęło się nie mniej jak po 10 szklanek. Jakiśmy sobie podochocili, tak powiedzieliśmy sobie... cośmy sobie powiedzieli? Trzeba się namyślić, ehe już wiem. In vino veritas. Co znaczy na polskie: „W winie jest prawda“, a że prawda jest największą doskonałością niby ten tego na ziemi, zatem trzeba łykać wino czyli prawdę. Piliśmy węgryna ale miernie, gdyż każdy kazał na stół postawić tylko jedną butelkę, a co do ostatniego gąsiorka, który zafundowałem ja Kasper Kuflewski, herbu kufel z cynową pokrywką, ten się nie liczy. Była to zabawa, była. A jaką prowadziliśmy ożywioną gawędkę. chi, chi, można się było wiele nauczyć. A więc najprzód o kobietach, gdyż temat to bardzo daleko sięgający i ważny — oj ważny, a mianowicie dla tych, którzy mają żony. Ja co prawda nie mam żony, bo człek nie miał czasu zająć się tą sprawą, a nie było się kim wyręczyć. Jestem kawaler, zatem każdego czasu do wzięcia. Opowiadaliśmy sobie tłuste i pieprzne dowcipy, których nie można powtórzyć. Potem o polityce, o Turkach, Anglikach, Afrykanach itd. Przy tej sposobności pokłóciliśmy się, gdyż jedni mówili, że będzie wojna, a drudzy mówili, że nie będzie wojny. O mały włos byłoby przyszło między nami do wojny. Zaczęliśmy utyskiwać nad losem naszego narodu, podzielonego na rozmaite partye. Obmyślaliśmy środki pomnożenia naszego dobrobytu. Zapadła jednogłośnie uchwała, aby pić tylko u swoich; kto będzie pił gdzieindziej, nie będzie w naszym gronie cierpiany. Wszakże czyni się dosyć dla ojczyzny, gdyż pije się tylko u swoich, a jednak bieda u nas i źle się dzieje w naszym kraju. A tu jeszcze na nas wymyślają, że jesteście niepoprawnymi pijakami. Kto pijak? Kto się tak spije, że leży w rowie lub na bruku. Miernie wolno

daru Bożego używać, a my piliśmy umiarkowanie i powoli, bo tylko 5 godzin spędziliśmy na pogadance. A mimo to gotów jaki pismak oczernić nas w „Jutrzence“ albo napisać do jakiej gazety, że pijaństwo wciąż kwitnie itd.; wszystko to oklepane frazesy. Potem się zaczęły pieśni, ale jakie pieśni! Ach! jaki śliczny ten kurdesz nad kurdeszami. Podobala się też piosnka o 500,000 djabłach, którzy siedzą w szampanie. Djabli! po co ich wspominać, bo chociaż piliśmy umiarkowanie, jednakże niby ten tego prawdę powiedziawszy, może się też trochę za wiele wypilo, ale ja temu nie winien, winni koledzy, a wiadoma rzecz, że dla kompanii dał się nawet cygan powiesić, a czyż mam być gorszym od cygana? Coraz więcej oczy się kleją, czuję, jak mnie Morfeusz chwyta w ramiona. Morfeusz był bóżkiem pogańskim; ja przecież jestem chrześcijanin, prawowierny katolik i Polak, a tu kaci nadali Morfeusza. Coraz więcej chce mi się spać, ale gdzie łóżko? Lampy nie będę zapalał, bo to nad moje siły. Oj, żeby odszukać łóżko! Gdzie jesteś łóżko? odezwij się. Trzeba szukać. (*Szuka*). A nareszcie znalazłem, ale teraz nowy sęk, czy posłanie znajduje się na parterze, to jest tu (*dotyka się palcem podłogi*) czy też na pierwszym piętrze, na które bodajbym się wgramolił. Ale jakże będzie z pacierzem? Siły mnie opuszczają, nawet nie będę się mógł rzeźbić. W imię Ojca i Syna.... dalej nie idzie. oj źle, oj źle, (*wchodzi z trudnością pod łóżko*). A więc jestem nareszcie w łóżku. Jakoś strasznie tu twardo, ciasno i niewygodnie, ale może mi się tylko zdaje. Oj, żeby można zmówić pacierz — ale już nie podobna zmówić.... szumi we łbie, jak w młynie. hej koniaczka, kulmbachera, ten tego, ten tam..... Kurdesz, niech żyje kurdesz, aj, aj, jestem porządnie skutą, ciasno i duszno. (*Niedługo zaczyna chrapać i rzucać się niespokojnie itd.*)

(*Po niejakej przerwie:*)

Ludzie, ludzie, ratujcie, ginę, duszę się, jestem w trumnie, brak powietrza; co tu jest u góry? ach! to wieko od trumny. Co jest pode mną? O święty Mikołaju, mój Patronie, wszakże to deska. Ha! stało się, pochowano mnie w letargu, jestem w trumnie, dla tego się

duszę, dla tego tak mi ciemno. Co ja widzę? Wszakżeż djabełki latają naokół mnie, a jest ich tak wiele, że będzie z pół miliona. Potrzebne to było śpiewać o tych szatanach? Teraz oto przyszli nieproszeni. O! gdybym był zmówił przynajmniej pacierz. Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną! Ach tak mi duszno, o przekłete pijaństwo! A więc czeka mnie śmierć w tej trumnie. Oj, oj, biją na mnie śmiertelne poty, żeby to można księdza sprowadzić. Gdybym się tu ztąd jakim cudem wydostał, już nie piłbym wódki, wina, ponczu, ale to pewnie zapóźno. Matko Boska Częstochowska, wstaw się za mną! Spróbuję, czy się będę mógł przeżegnać? W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Ciężko wprowadzie, ale udało się. Teraz Ojciec nasz (*modli się po cichu*). Och duszno, duszno! Wszyscy Święci Pańscy przyjdźcie mi na pomoc, ludzie ratujcie, otwórzcie wieko, bo się uduszę, umieram, ledwie mogę oddychać. Ratujcie, ratujcie, bo konam. (*Słychać krzyk za drzwiami*).

Kto tu w trumnie, gdzie trumna?

Kuflewski.

To ja Kasper Kuflewski, herbu..... ale nie, bo to głupstwo, ja nie szlachcic, ja nie mam herbu, ratujcie prędko, bo umrę.

(*Drzwi się otwierają, wchodzi stróż z latarnią i woła:*) Ale ja tu nie widzę trumny.

Kuflewski.

Ha! to już pewnie jestem w ziemi. O dobry, dobry człowieku, zapłacę ci sówicie, ale kop prędko.

Stróż (patrzy pod łóżko i śmieje się).

Ach, to taka jest trumna, przecież pan Kuflewski jest pod łóżkiem a nie w trumnie.

Kuflewski.

Człowieku, bój się Boga, nie kpij sobie ze mnie, bo jestem w prawdziwej trumnie. Wyciągnij mnie prędko.

Stróż.

O bodajcie z pijakami. (*Chwyta go za nogi i wyciąga z pod łóżka*). Teraz patrz pan, gdzie byłeś i gdzie jesteś?

Kuflewski (przeciera oczy).

Co to jest? Nie rozumiem, przecież tak mi było duszno i ciasno; nie mogę pojąć co się stało, przecież byłem rzeczywiście w trumnie.

Stróż.

Wyjaśnię panu całą sprawę. Tak między nami powiedziawszy, byłeś pan wczoraj urznięty, jak cztery dziewczki, a więc nie mógłś trafić do łóżka i dlatego wszedłeś pod łóżko, a że tam było ciasno, twardo, duszno, przeto śniło się niezawodnie, że paniczek jest w trumnie, a chociaż sen ustąpił, złudzenie zostało.

Kuflewski.

Czy to we śnie, czy na jawie, mnie się w każdym razie zdawało, że leżałem w trumnie. Brzydka to rzecz. Ale posłuchajcie, pocziwy stróżu, dam wam małe wynagrodzenie (*szuka w portmonetce*). Macie talara i Bóg wam zapłaci za przysługę.

Stróż.

Nie ma za co, a jakby się, broń Boże, jeszcze raz zdarzyło, jestem na usługi. Niech pan zostanie z Bogiem. Dobra noc. (*Odchodzi*).

Kuflewski.

A więc to był sen, czy przywidzenie. Gotówbym przysiąc, że się znajdowałem w trumnie. Brrr... przykre uczucie. A gdybym był istotnie się zadusił? Byłbym zeszedł ze świata bez przyjęcia ostatnich Sakramentów świętych. Straciłem wczoraj przeszło 30 marek, a ledwie zostały 3 marki dla stróża. Przepiłem zatem z kolegami 27 marek. Pewnie mi policzono tak drogo ostatni gąsiorek, a może kazałem dać dwa, czyż ja pamiętam? Dosyć tego (*uderza pięścią w stół*). Pijaństwo musi się raz u mnie skończyć. Jutro idę do spowiedzi św. Z kolegami i z knajpami zerwę wszelkie stosunki. Niech się ze mnie śmieją, niech mnie nazywają wędziskiszką, skąpcem itd. nic sobie z tego robić nie będę. (*Pada na kolana*). Boże Święty, Mocny, Nieśmiertelny, zmiłuj się nade mną wielkim grzesznikiem i pijakiem. Dziękuję ci Jezu Chryste za ostrzeżenie, jakie mi zesłałeś. Daj

łaskę i siłę do poprawy. Zmiłuj się nad naszym narodem, aby się zmniejszyło u nas pijaństwo, które nas gorzej gnębi, aniżeli głód, mór i wojna. Przysięgam, że pić już nie będę rozpalających napojów. Tak mi Panie Boże dopomóż! (*Zasłona spada*).

Uwaga. Widzów bardzo bawi, gdy Kuflewski wchodzi pod łóżko, które powinno mieć wysokie nogi, aby Kuflewskiego można dobrze widzieć i stać ma nie bokiem, ale frontem do publiczności.

14. Szanuj ubiór ojczysty!

Kujawiak.

Przez Helenę Neyman ze Środy.

On.

Obrodziła kłosy niwa
Czyste jak blask słońca:
Dolaż moja nieszczęśliwa
W tęsknocie bez końca!
Zaszło słoneczko w szkarłacie,
Gdym wrócił do domu;
Lecz ja nie mam w mojej chacie
Ucieszyć się komu.
Dziewczę moje jasnowłose
Wciąż ode mnie stroni;
Słyszę w wieczór, jak przez rosę
Jej piosenka dzwoni.
Lecz nie o mnie piosnki nuci
Hanus ukochana;
Choć się moje serce smuci,
Ona woła: dana!

Ona.

Nie przesadzaj, Stachu miły,
Wiesz, że kocham ciebie,
Ciebie kocham, ile siły,
Wie to Bóg na niebie.
Ale odkąd ty się w panka
Przebrałeś kusego,
Nie poznaje ciebie Hanka,
Nie weźmie za swego.

Ojce nasi swe sukmany
 Mieli, gdy na przedzie
 Nasz Kościuszko w krwawe tany
 Z kosami ich wiedzie.

On.

Ot, masz prawdę, dziewczę lube,
 Dziewczę ukochane!
 Odszukam ja moją zgubę,
 Gdy wdzieję sukmanę.

(Wdziewa sukmanę).

I zatańczę kujawiaka
 Z Hanusią na przedzie,
 Albow ja to jaki, taki?
 Dzielnie się powiedzie.

Oboje.

Czcijmy starą ojców wiarę,
 Pan Bóg dopomoże;
 I odwróci słuszną karę,
 A złe nas nie zmoże.

Dalej, żywo, pary w koło,
 Nuże w polskie tany!
 Niechaj idzie nam wesoło
 Kujawiak kochany!

Uwaga. Na majówkach „Jutrzenki“ w Poznaniu 1890 i 1891 r. śpiewano nieraz owego kujawiaka ku wielkiemu zadowoleniu publiczności. Jest to bardzo stósowny śpiew podczas uroczystości weselnych.



15. Po piętnastu latach na rozstajnych drogach.

D y a l o g.

OSOBY:

Tomasz Kapocki, krawiec.

Idzi Kwaterski, szewc.

Bolesławski, destylator.

Rzecz dzieje się w naszych czasach na rozstajnych drogach obok lasu.

SCENA I.

Tomasz. A więc dziś upłynęło lat 15, kiedy się w tem miejscu ostatni raz widziałem z mym przyjacielem Idzim Kwaterskim, czeladnikiem kunsztu szewskiego. Byłem wówczas czerstwy, rumiany, pełen życia i wesołości, a dziś jestem żebrakiem i przedwczesnym starcem. Kto temu winien? Wódka i karty. O, niech przepadnie na wieki w piekło przeklęte pijaństwo i karciarstwo! Spójrzycie na mnie, wy co macie pociąg do kart i kieliszka, aby was to samo nie spotkało. Smutny jest koniec każdego pijaka i karciarza. Nie widać mego przyjaciela. Może już spoczywa w grobie. Usiądę tu sobie na kamieniu pod drzewem, gdyż jestem bardzo osłabiony. (*Siada*). Tak, tak, tu przed 15-tu laty łyknęliśmy sobie raz ostatni na pożegnanie likieru, potem on poszedł na prawo, a ja na lewo, ale wprzód daliśmy sobie słowo, że po 15-tu latach tu się spotkamy. Któż tam się wlecze drogą? Jakiś pochylony żebrak. Z ruchów podobny do Idziego, chociaż trudno przypuścić, aby tak zgałganiał. Doprawdy, że to Idzi. A więc i on doznał tego samego, co ja, losu. Hej, bliżej przyjacielu!

SCENA II.

Tomasz, — Idzi.

Idzi. Któż mnie woła?

Tomasz. Swój, swój, dawny kolega, przyjaciel młodości.

Idzi. Ach, to ty Tomaszu! Witaj, witaj! (*padają sobie w objęcia*).

Tomasz. Co się z nas zrobiło. Wyszliśmy w świat przed 15-tu laty, jako krzepcy czeladnicy, a dziś jesteśmy żebrakami.

Idzi. Tak, tak, braciszku, ale ze mną pewnie gorzej, aniżeli z tobą. Lecz po co tu mamy stać pod gołym niebem? Niedaleko jest karczma, tam sobie łyknijemy gorzały, a potem zacznie się opowiadanie.

Tomasz. Nie, tego nie uczynię, kolego, tym więcej, że to żydowska karczma. Od roku nie piję wódki, a szynku unikam jak ognia.

Idzi. Żle robisz, mój Tomaszu. W naszym położeniu jedynie wódka może nas pocieszyć; wszakże się mówi: „Na frasunek dobry trunek“.

Tomasz. Ale się też mówi: „Od wódki rozum krótki, od piwa głowa siwa“. Pogadajmy tu sobie, bo ja do karczmy nie pójdę. W lesie chłodno, odpoczniemy sobie, a potem poszukamy taniego noclegu.

Idzi. Kiedym okropnie spragniony.

Tomasz. Niedaleko znajduje się źródło czystej wody.

Idzi. Woda mi nie służy, dostaję od niej bóleści w żołądku.

Tomasz. Jak widzę, jesteś zupełnie przepitą kozerą.

Idzi. Piłem, piję i pić będę wódeczkę kochaną, tylko szkoda, że nie mogę pić wiele, bo u mnie zawsze pustki w kieszeni.

Tomasz. Opowiedz mi w krótkości swoje przygody.

Idzi. Niewiele mam do opowiadania, a nic wesołego. Kiedy się z tobą przed 15-tu laty pożegnałem, poszedłem do Prus Zachodnich, gdzie osiadłem w Chełmnie nad Wisłą. Piękne to i starożytne miasto w prześlicznym położeniu. Pieniędzy miałem po rodzicach przeszło 1000 talarów. Rozpocząłem szewstwo na własną rękę, a niedługo się ożeniłem. Żona miała 600 talarów posagu. Powodziło mi się z początku bardzo dobrze. Zatrudniałem dwóch czeladników i ucznia. Na nieszczęście w pobliżu była żydowska knajpa, tj. oberża z restauracją, a że tam był bilard i wesołe towarzystwo, przeto co dzień odwie-

dzałem Dawidka Korna. Przed żoną mówiłem, że tam muszę chodzić, aby szukać kundmanów.

Tomasz. Przepraszam, nie mówi się „kundmanów“, ale odbiorców. Owo rzekome szukanie roboty po szynkach bardzo szkodzi rzemieślnikom. Dobrego majstra znajdą i poza szynkownią.

Idzi. Niechże będzie odbiorców. Trwało to trzy lata, aż się w końcu zupełnie rozpiłem. Jeszcze więcej niż wódka zaszkodziły mi karty. W końcu trzeba było warsztat zamknąć, bo żaden przyzwoity człowiek nie dał u mnie robić. Dawidek Korn, któremu byłem winien za trunki 200 talarów, kazał mnie wyfantować. Nie mogę ci opisać mego bólu, kiedy mi publicznie rzeczy sprzedawali.

Tomasz. A czy miałeś dzieci?

Idzi. Było dwoje, ale umarły, co prawda głównie z nędzy, bo jeść nie dostawały.

Tomasz. I wciąż piłeś wódkę a zapewne tylko w żydowskich knajpach.

Idzi. A gdzieżby indziej. Ja się już tak przyzwyczaiłem do żydów, że mi u chrześcianina wódka nie smakuje.

Tomasz. To bardzo złe przyzwyczajenie. Swoją swego powinien popierać. Jeżeli pijak chce zaprzedać piekło swą duszę, niech przynajmniej grosz zanoszą do chrześciańskich składów.

Idzi. A gdzie się ty zapijałeś?

Tomasz. Przecież pamiętasz zapewne, że zawsze dawałem pierwszeństwo chrześcianom, o co się nieraz sprzeczailiśmy. Powiedziałem sobie tak: „Złe robię, że piję, ale niechże mój grosz dopomaga swoim“. Tego przyrzeczenia dotrzymałem święcie. Nigdy nie wstąpiłem do szynku, jeżeli widział na godle żydowskie nazwisko.

Idzi. Ja zaś przeciwnie zawsze oddawałem pierwszeństwo żydowskim knajpom. A czy to ja bocian, abym świat oczyszczał? Przecież cały nasz naród z małymi wyjątkami zapija się u żydów i to od wieków. Żyd prawda gęsto często oszuka, niezawodnie sprzedaje też gorszą wódkę, ale jakoś przyzwyczailiśmy się do żydów, że ani rusz. Podczas mojej wędrówki zdarzyło się, że

w pewnem mieście żydowski szynkarz obmył trupa w wódce, a potem wlał tę wódkę w beczkę i sprzedawał. Rozniosło się to po mieście. Czy myślisz, że nasz polski naród przestał pić u Kunusia? Nazywał on się Kohnem, ale z Kohna zrobiono Kunusia. Gdzie tam pili po dawnemu. Mógłby był dawać jeszcze co gorszego, byle ostrego, a piliby na zabój. Kto zatem namawia do picia u swoich lub wogóle u chrześcian, to jakby groch rzucił o ścianę. Piliśmy, pijemy i pić będziemy u żydów, aż wszystko przepijemy. Żydzi będą panami, a my ich sługami. Taki nasz los, takie nasze przeznaczenie. Trudno przeciw wodzie płynąć. Niewiele w naszym kraju Tomaszów, co u swoich tylko piją i innych do tego namawiają. Myśmy tak zgałganieli, że popieramy naszych największych nieprzyjaciół wiary i narodowości.

Tomasz. Niejedno co powiedziałeś, jest niestety! aż nadto prawdziwe, ale stanowczo przeciw temu głos podnoszę, że takie już nasze przeznaczenie, abyśmy mieli wszystko przepić i zostać sługami żydów. Zapijał się prawda u nich nasz naród, ale nie wynika ztąd, aby miało być tak zawsze. Grosz zaniesiony do żyda nigdy do nas nie wraca. Żydzi nie dają nic na nasze kościoły; księży nie mają z nich żadnych dochodów. Żydzi, jak się polskim groszem z bogacą, przenoszą się z ogromnemi kapitałami do Wrocławia, Berlina i innych miast niemieckich.

Idzi. Nie przeczę, że masz trochę słuszności, ale trudno głową mur przebić.

Tomasz. Raz trzeba zrobić początek. Prawie wszyscy polscy włościanie, robotnicy, rzemieślnicy i szlachta, a mianowicie kobiety, zanoszą grosz polski do żydowskich szynków i składów, czyli po prostu dajemy ostry nóż w ręce naszych przeciwników, aby nam przerzynali gardła.

Idzi. Czy tylko sami Polacy wiele piją? W innych krajach kwitnie także pijaństwo.

Tomasz. Nie przeczę, że piją, ale po 1., mają na to, a po 2., w innych krajach wydany grosz na pijaństwo zostaje pomiędzy swymi. Jeżeli np. Niemiec utraci przez pijaństwo majątek, wtedy inny Niemiec się

dorabia. Tak samo się dzieje u innych narodów. Anglik przepije, Anglik zarobi; u nas niestety! Polak przepija, a żyd zarabia.

Idzi. Nie przekonasz o tem polskiego narodu; jesteśmy za ciemni, za głupi, abyśmy coś podobnego mogli pojąć.

Tomasz. Nie sądź tak źle o polskim narodzie, bo i w nas tchnął Bóg nieśmiertelnego ducha i my jesteśmy ulepieni z tej samej gliny co Niemcy, Francuzi, żydzi itd.

Idzi. Mówmy krótko a węzłowato. Ja przepiłem cały majątek w żydowskich knajpach, czego się nie zapieram, a ty piłeś tylko w chrześcijańskich szynkach. I jakież wyniknęły skutki? Oto ja świecę prawie nagiem ciałem, a z tobą też niewiele co lepiej.

Tomasz. Za pozwoleniem, mój przyjacielu. Ja mam przynajmniej tę pociechę, że mój grosz pozostał u swoich, że się swoi dorobili, a ty nie posiadasz nawet odrobiny tego zadowolenia. Życzyłem swoim braciom, a więc nie dotknie mnie ciężki zarzut Świętego Pawła, który pisze, że kto nie ma pieczy o swoich domownikach, zaprzął się Wiary. Naszymi domownikami są Polacy, a nie żydzi.

Idzi. Mówisz, jak ksiądz na kazalnicy; szkoda, że tego nie wiedziałem przed 15-tu laty. Ale co tam się spierać będziemy o żydów. Dokończę ci mego opowiadania. Otóż piłem wciąż wódkę bez miary, a co najgorsza po pijanemu katowałem żonę. Razu pewnego rozwścieklony oporem, że mi nie chciała dać ostatniej złotówki na gorzałę, uderzyłem ją tak silnie krzesłem, że w kilka dni życie zakończyła. Za to osadzono mnie na 5 lat w więzieniu. Gdy wyszedłem, znowu pić zacząłem, aby zagłuszyć sumienie, które mi wciąż czyniło i czyni wyrzuty, że stałem się mordercą mej żony. Była to kobieta jak anioł. Cicha, łagodna, pracowita, oszczędna, a ja obchodziłem się z nią po grubiańsku. Otóż to skutki pijaństwa!

Tomasz. Niestety! i ja się poczuwam do podobnej winy, gdyż moja żona umarła ze zgryzoty, bo piłem i próżnowałem. Straciłem w 3 lata 2500 talarów.

Biada tym żonom, których mężowie są pijakami i karciarzami! Dla tych biednych kobiet istnieje już piekło na ziemi. Niech lepiej ta dziewczyna uwiąże sobie kamień młyński u szyi i utopi się, która wychodzi za męża za pijaka.

Idzi. W przeciągu 15 lat spędziłem może 9 lat w więzieniu.

Tomasz. Braciszku, i ja byłem częstym gościem w więzieniu poznańskim, gnieźnińskim, kościańskim, a w Bojanowie znają mnie jak zły szeląg.

Idzi. Chciałem się poprawić, chciałem nawet nie pić wódki, ale nie mogłem nigdzie dostać roboty, a więc z rozpaczki piłem i piję dalej piekielną oparę. Co użebrzę, przepiję. Dla mnie już nie ma ratunku na ziemi, a po śmierci czeka mnie piekło.

Tomasz. Nie bluźnij, bo kto się chce szczerze poprawić, znajdzie zawsze sposobność. Ja już od roku wódki nie piję, a od tego czasu uważam, że mi się zdrowie polepszyło.

Idzi. Chciałbym się poprawić, ale nie wiem, jak rozpocząć poprawę.

Tomasz. Odpraw spowiedź najlepiej z całego życia i zaprzestań pijaństwa. Dopóki będziesz pił wódkę, nie może być mowy o poprawie.

Idzi. Rada twoja dobra. Niechże i tak będzie. Od tej chwili wódki pić nie będę, a jutro pójdę do kościoła i odprawię spowiedź świętą. Ktoś się tu zbliża.

SCENA III.

Ci sami i Bolesławski.

Bolesławski. Za przeproszeniem, wszakże to pan Tomasz Kapocki, mistrz krawiecki.

Tomasz. Byłem nim niegdyś, ale teraz jestem żebrakiem. Z kim mam przyjemność mówienia?

Bolesławski. Nazywam się Bolesławski i jestem destylatorem. Mego ojca znałeś pan dobrze.

Tomasz. Ojciec pański miał sławną destylacją w Bydgoszczy. Chodziłem tam często, aby pić dobre likiery, bo moją zasadą było: kiedy pić, to przynajmniej u swego.

Bolesławski. Mój ojciec wywiadywał się o pana. Jeden z pańskich dłużników złożył na ręce mego ojca 100 talarów. Umierając, polecił mi ojciec nie tylko oddać panu te 300 marek z odsetkami, ale wogóle kazał mi się zająć pańskim losem, gdyż wysoko to panu cenik, że choć piłeś, popierałeś rodaków. Chętnie dam panu zatrudnienie, jeżeli się na to zgodzisz, w mojej fabryce.

Tomasz. Serdecznie dziękuję za życzliwość, a zatrudnienie chętnie przyjmię. Jeżeli można, prosiłbym także uwzględnić mego kolegę Idziego, gdyż jest on więcej aniżeli ja nieszczęśliwym.

Bolesławski. Przyznam się, że wysłuchałem znaczną część waszej rozmowy, gdyż mówiliście o bardzo ważnej dla naszego narodu sprawie, tj. o pijaństwie i o żydach. Słuchałem tylko dlatego, aby się przekonać, czy opłaci się któremu z was dopomódz. Ponieważ pan Kapocki życzył zawsze swoim i nie pije obecnie wódki, przeto może liczyć na moje czynne poparcie. Pan Idzi przepił majątek u żydów i jeszcze dziś za nimi gardłuje, niechże więc idzie do żydów, aby mu dopomogli.

Idzi. Żaden żyd mi nie udzieli pomocy, gdyż żyd tylko żyda popiera.

Tomasz. A więc przekonujesz się nareszcie, że to nie wszystko jedno pić u żyda lub u chrześcianina. Zawsze prędzej swój pomoże, aniżeli obcy.

Bolesławski. Jestem gotów dać zatrudnienie Idziemu, ale tylko pod warunkiem, że nie będzie pił wódki.

Idzi. Dziękuję panu. Złożyłem przed chwilą przyrzeczenie, że wódki i nic upajającego pić nie będę. Przyrzeczenia tego święcie dotrzymam.

Bolesławski. Skarżymy się na biedę i słusznie, gdyż na 100 Polaków więcej niż 80-ciu należy do proletaryatu, tj. takich, którzy żyją z dnia na dzień, gdy tymczasem żydzi obfitują w dostatki, a nędzę znają tylko z posłuchu. A wiecie co jest główną przyczyną biedy w naszym narodzie? Oto pijaństwo i niepopieranie swoich. My Polacy wydajemy co rok na wódkę, wino i piwo przeszło 300 milionów marek, z tych 250 milionów przenosi się w obce, przeważnie w żydowskie kieszenie. Co cztery zatem lata tracimy miliard marek, a w stu

latach czyni ta strata kilkadziesiąt miliardów marek, jeżeliby się liczyło odsetki. Za te miliardy możnaby kupić całe Księstwo Poznańskie.

Idzi. Teraz rozumiem, dlaczego żydzi robią takie olbrzymie majątki na destylacjach i szynkowniach. Czemu Polacy zaniedbali tę ważną gałąź przemysłu?

Tomasz. Jeszcze nie wszystko stracone. Niech tylko Polacy starają się o zmniejszenie pijaństwa i o popieranie swoich, a będzie lepiej. Bracia rodacy, czyż wobec obliczenia pana Bolesławskiego będziemy popierali niechrześcijańskie handle?

Bolesławski. Amerykanie mówią: Pomagaj sam sobie. Jest to samolubne a dla nas nieodpowiednie zdanie. Naszem hasłem niech będzie: „Pomóżmy sobie!“ Bierzmy przykład z żydów, jak się popierają. Uczmy się też od hakatystów. Wszakżeż oni wydali hasło, aby Niemiec tylko Niemca popierał. Popychają nas zatem niejako przemocą, aby Polak nie kupował nic u obcych a mianowicie u żydów, którzy nam się złem za dobre odpłacają. Polski przemysł i polskie kupiectwo tylko wtenczas rozwijać się będzie, jeżeli dozna pomocy i opieki od rodaków. Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka. Z pojedynczych kropli powstały wielkie morza. Jeżeli od dnia dzisiejszego choć jeden z rodaków lub rodaczek zacznie kupować tylko u swoich, będziemy dostatecznie wynagrodzeni za nasze przedstawienie.

Tomasz. Pozwolę sobie wznieść okrzyk: Niech żyją ci Polacy i Polki, którzy popierają polski przemysł i polskie kupiectwo!

Idzi. Niech żyją! A ja dodaję: Niech żyje pan Bolesławski i jemu podobni! (*Zastona spada*).

Uwaga. Powyższy dyalog należałoby jak najczęściej przedstawiać w kółkach domowych. Niech się o to starają w własnym interesie kupcy i przemysłowcy, aby nie zastosować do nich przysłowia: „Jadłby kot ryby, ale nie chce mu się ogona zamaczać“. Na nieszczęście znaczna część polskich kupców chce wprawdzie, aby rodacy od nich kupowali, ale sami żydów popierają, a żalują kilka groszy na agitacyą przeciw żydom. Kupcom polskim brak jedności i połączenia. Młodzież polska kupiecka rzadko oszczędza a potem się skarży na brak kapitałów.

16. ZACHWYCENIE.

Przez Teofila Lenartowicza.

(Rozmowa pierwsza).

Córka:

— Matulu moja powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

Matka:

— O moje dziecię! byłam ja w raju,
Gdzie rosną drzewa, jak w naszym gaju:
Same jabłonie i wielkie grusze,
Na nich najczystsze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę,
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłym się słońcu pięknie kołyszą,
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba:
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosa,
Co się pochyła pod Boże nóżki;
Oj nie pszenica, lecz święte duszki!
Potem widziałam przedziwne kwiatki,
Te w Bożych łąkach błękitne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebie powyrastali.

Córka:

— Mateńko moja, proszę ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, najświętsza Panna?

Matka:

— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe;
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka najświętsza dla ludzkiej nędzy,
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy,
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nici babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

Córka:

— Matulu moja! czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

Matka:

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi ubogich głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.

Córka:

— Jest też jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

Matka:

— Moja dziecino: jak ci się zdaje,
Musić mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

Córka:

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

Matka:

— O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej
Na złotych skrzypkach grają anieli.

Córka:

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

Matka:

— Tam, gdzie się uczą ptaszek leśni,
I nasi ludzie, w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożej.



17.

(Rozmowa druga).

Córka:

— Matulu moja! powiedzcież przecie,
Co tam jest więcej na tamtym świecie?

Matka:

— Widziałam jeszcze strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając księgę białą otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzył na świat żalonym wzrokiem;

Bo w owej księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowiek na świecie zbroi;
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie.
Ta księga wszystko w sobie zawiera:
Czy się kto rodzi, czyli umiera;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.

Córka:

— Moiście drodzy! powiedzcie ino:
Widać tam naszą wioskę jedyną?
Naszą chałupę, bydło na smugu?
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele?
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i obie wyciąga ręce
Na małym wzgórku przy Bożej męce?

Matka:

— O widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy.
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.

Córka:

— Powiedzcież jeszcze, mateńko droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

Matka:

— Nie! moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty, jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem.
Tylko z promieni, co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie Boże.

Córka:

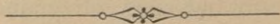
— A jak daleko, matko, do nieba,
To pewnie z miesiąc iść tamby trzeba?

Matka:

— Bogać tam miesiąc, kochane dziecię!
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,

Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasných,
I Piotr mu święty, apostoł Boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.

Uwaga. Podług podania ludu niektóre osoby wpadają w letarg czyli sen długi, a wtedy w zachwyceniu widzą nieziemskie sprawy, tj. niebo, czyściec, piekło itd. Wolno opowiadać o tem tylko małym dzieciom. Lenartowicz w poemacie „Zachwycenie“, które należy do pereł piśmienictwa polskiego, przedstawił po mistrzowsku opowiadanie matki o raju. Zamiast dziewczynki może też chłopczyk odgrywać.



II.

Monologi i krótkie wiersze
do wygłaszania podczas przedstawień,
wesół itp. uroczystości domowych.

18. Hagar na puszczy.

Przez Kornela Ujejskiego.

Od słońca pożaru szerniała mi głowa,
A w koło pustynia; do Ciebie Jehowa,
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw Panie! by niebo nade mną wychłódkło,
I skały granitu zmien, Panie, na źródło,
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrę już dolin kwiecistych Hebronu,
Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już, nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popekał na naszych sandałach,
I cierpi i płacze mój syn.

Jam, Panie, kochała i była kochaną,
 Szczęśliwą — to słusznie, że jestem karaną,
 Lecz syn mój Ismael — bez win.

Gdy wichher ogniowy po puszczy zawieje,
 I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
 Ismael opada jak kwiat;
 Ja Tobie, o Panie! natenczas się kłaniam,
 I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam,
 I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając, gdy zdrzemię na piasku,
 Przebudzam się trwożna wśród nocy i wrzasku:
 Dławionej gazeli to wrzask;
 A wkoło szakale oczyma mi świecą,
 I wyjąc uchodzą, bo myślą, że lwicą;
 Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
 Sczajona twarz ludzka źle ku nam spogląda:
 Błędnego wędrowca to trup.
 I nieraz sęp głodny zawisnie nad nami,
 A potem w mój zawój uderzy skrzydłami,
 I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O Boże!
 Ismael się zachwiał, iść dalej nie może,
 Jak trzcina przechyla się z nóg,
 I usta otworzył — o Panie! on pragnie,
 O Panie? Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
 Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada,
 I usta spalone do ust mych przykłada,
 A żar z nich wyciąga miast tchu.
 Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
 Jehowa! Jehowa! och wody, och rosy,
 Kropelki, kropelki choć dżdżu!

Uwaga. Helena Modrzejewska, najslawniejsza polska
 artystka dramatyczna, deklamowała nieraz wiersz powyższy,
 wywołując prawdziwy zachwyt pomiędzy słuchaczami. Mogą

także mężczyźni wygłaszać ten prześliczny monolog, przecież najpiękniej brzmi wypowiedziany przez kobietę. Zwracamy jednakże uwagę, że nie jest to wcale łatwy wiersz do deklamowania, gdyż można popaść w przesadę, objawiającą się krzykiem, a nie głębią uczucia i rzewną skargą nieszcześliwej matki.

19. Nie sprzedam ci ziemi.

Przez Maryą Konopnicką.

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmienne:
— Sprzedaj, chłopie, rolę,
Będziesz miał czerwieniec!
Zapłacimy chatę,
Zapłacimy pole....
Będziesz miał talarów
Na caluśkim stole!“
— „A mój Niemcze miły,
Idźże, kędy raczysz!
Ale mojej roli
Równy nie obaczysz.
Schowaj twe czerwieniec
I białe talary!
Kto sprzedaje ziemię,
Ten nie naszej wiary;
Bogatyś ty, Niemcze,
I trzosa twój chędogi, —
Ale na tę ziemię,
Jeszcześ za ubogi.
Pójdą twe talary
Za rolę, za płoty, —
A kto mi zapłaci
Ten miesięczek złoty?...
A kto mi zapłaci
Za tę jasność Bożą,
Co w moje okienko
Idzie z każdą zorzą?

Za ten dach słomiany,
 Co mi głowę strzeże?
 Za ten dzwon, co woła
 Rankiem na pacierzę?
 Za te lasów szumy,
 Za te polne kwiaty,
 Za ten krzyż pochyły,
 Co mi strzeże chaty?
 A kto mi zapłaci
 Za te jasne rosy,
 Co się srebrem sypią
 Na łąki, na wrzosi?
 Za wiosenny klekot
 Naszego bociana,
 Za tę pieśń z pod lasu —
 Oj dana! oj dana!
 A kto mi zapłaci
 Za tę modrą wodę?
 Za ciepło słoneczne,
 Za cichą pogodę?
 Za ten piasek biały,
 Gdzie się trzpiocą dzieci,
 Za tego skowronka,
 Co nad głową leci?
 Za ten wiatr co wieje?
 Za fujarki granie,
 Za tego świerszczyka
 Co tam świerka w ścianie?
 Za palmę co pęka
 W kwietniową niedzielę;
 Za gruszę tę polną,
 Co długi cień ściele?
 A kto mi zapłaci
 Za słodkość tę miodu,
 Co pszczoły ją noszą
 Do ula z ogrodu?
 Za cmentarz rozkwitły
 W głóg dziki — jak sady,
 Gdzie leżą w mogiłach
 Ojcowie i dziady?

A toćże i mnie tam
 Gospody potrzeba,
 Gdy Pan Bóg zawoła:
 „Chódź chłopie do nieba!”
 A toćby mi dzieci
 Po nocach tęskniły,
 Nie wiedząc, gdzie szukać
 Ojcowej mogiły!
 Nie sprzedam ci roli!
 Weź, Niemcze, talary!
 Kto ziemię sprzedaje,
 Nie naszej ten wiary!

Uwaga. Wiersz powyższy niech sobie ten przeczyta,
 kto chce sprzedać własność ziemską ludziom innej wiary
 lub co gorsza komisji kolonizacyjnej.

20. Psalm do Świętych Patronów Polski.

Przez Gabryelę Żmichowską.

Za ludem, który nigdy hufcami zbrojnemi,
 Dla marnych łupów obcej nie najeżdżał ziemi,
 Który choć silny — słabszych nigdy nie ciemięzył,
 A jak braci miłował tych, których zwyciężył;
 Który miodem swych lasów, chlebem swojej roli
 Sam żył i dla przechodniów miał zawsze do woli;
 Za ludem cichej cnoty i pocziwej sprawy,
 Spokojnego sumienia i chwały bezkrwawej,
 Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
 Rólników swoich niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który całą swą powieść dziejową
 Ułożył w jedną tylko wyprawę krzyżową,
 Co nie grobu Chrystusa, lecz Chrystusa wiary,
 Strzegł pilnie przed dzikimi Turki i Tatary;
 Za ludem Europy — tarczą i podporą,
 Co ginął pod Lignicą, Sokalem, Cecorą,
 Pod Chocimem i Wiedniem, co księżyc dwurogi
 Na zdeptanie dał Pannie Maryi pod nogi;
 Za ludem czynnej straży od plagi pogańskiej,
 Który walczył w obronie wiary chrześcijańskiej
 W habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy,
 Ludem możnego serca i dzielnej prawicy —
 Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
 Żołnierzy swoich niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który z piękną Dziewicą Królową
 Niósł Litwie Ewangielii wiekuiste słowo,
 Który najpierwszy w dziejach i ostatni razem,
 Nie długą pracą wieków, ni władzcy rozkazem,
 Ale chwałą zapału, wielką chwilą — cudem
 Bratnie ludy pojednał z najeźdźników ludem,
 I jak w kościele wiary Sakramentu wodą,
 Tak w kościele historyi ochrzcił praw swobodą;
 Za ludem, który krzyże wśród pogaństwa stawiał,
 Za ludem, który kochał, oświecał i zbawiał,
 Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
 Swych apostołów niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który dz siaj nie ma bryłki ziemi,
 Na przybraną ojczyznę pod stopy swojemi,
 Za ludem przez sąsiadów tylekroć szarpanym,
 Przed stu laty zgńębionym, po dziś dzień nękanym,
 Za ludem biednych ojców, nieszczęśliwych matek,
 Pomordowanej młodzi i zabranych dzieci,
 Ludem, któremu wydrzeć chcą przeszłości dzieje,
 Poznanie prawd obecnych, zbawienia nadzieję,
 I tę ostatnią nawet pociechę w złej doli:
 Cichą skargę Jeremich pieśń smutku w niedoli.
 Więc za tym krwawym cierpieniem i ciężkiego losu
 Biednym ludem, ginącym bez skargi, bez głosu,
 Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
 Swych męczenników niech Bóg ma w pamięci!
 Amen.

21. Ksiądz i sierota.

Już sygnują na wieżycy;
 Przed kościołkiem tłum się mnoży;
 Lud się zebrał z okolicy,
 By cześć oddać chwale Bożej.

Gdzie cień jodeł i darń gładka,
 Stoją młodzi, siedzą starzy,
 Tam gromadka, tu gromadka,
 Jak rój pszczołek sobie gwarzy.

Tak co mówią, to w pokorze,
 Przydawają imię święte;
 I jak grzeszny człowiek może,
 Wielbią rzeczy niepojęte.

A gdy tylko posłyszeli,
 Anioł Pański i organy,
 Wszyscy biegną: chór się dzieli,
 I śpiewają na przemiany.

I od kruchty do ołtarza,
Matki, starce, drobne dzieci,
Wszystko święty hymn powtarza,
I modlitwa w niebo leci.

Wtem głos dzwonka się rozchodzi,
Ścichli: lud się korzy, zniża,
Bo ksiądz ze mszą już wychodzi,
Do ołtarza się przybliża.

Jak gołąbek starzec siwy:
Idzie zwolna, — błogosławi.
Widok prosty, wielki, tkliwy!
Któż go pojmie a nie sławi?

Módl się ludu, módl ze łzami:
Głód, powietrze i niedola,
Nie postaną między wami,
Jeśli taka Jego wola.

Módl się ludu za twe winy;
Zdrowie, pokój i plon pola,
Spłynie na cię i twe syny;
Jeśli taka Jego wola.

Westchnij także wśród pacierza,
By owczarnia była cała,
By śmierć nagła ci pasterza,
Lub owieczki nie zabrała.

Tak się modlą, a wtem z wieży
Jęły dzwony, na gwałt biją!
Gore! gore! krzyk się szerzy,
Wszyscy z trwogi ledwo żyją.

Kwilą dzieci, płaczą matki,
I ku niebu wznosząc oczy
Uciekają, tuląc dziatki,
A lud tłumi się i tłoczy.

Płoną ściany, dach opada,
Już się wewnątrz kościół pali,
Ludzka pomoc nic nie nada,
Jeśli cud go nie ocali.

Kłęknał ludek na cmentarzu,
Hymn do Boga śle Rodzicy;
Bo ksiądz został przy ołtarzu,
I niemowlę przy chrzcielnicy.

„Matko czysta! Matko Boga!
„Użał się naszej biedocie;
„Niechaj nie szkodzi pożoga,
„Twemu słudze i sierocie.

„Żar piekła iza Twa ugasza,
 „Uproś nam, uproś u Syna!
 „O Orędowniczko nasza!
 „Niech żyje ksiądz i dziecina.“

Patrzą, otchłań się otwiera!
 I drogą w płomieni lesie,
 Ksiądz w ornacie się przedziera,
 I ochrzczone dziecię niesie.

A gdy lud zdumiony czyni
 Dzięki za cud, człowiek święty
 Znów powraca do świątyni,
 By dokończyć mszy zaczętej.

Słyszają, słyszają, Boga chwali,
 Błogosławi, jeszcze żyje;
 Wtem się kościół z posad wali,
 Księdza kupą gruzów kryje.

Umilkł święty głos pasterza,
 Tylko z ognia gołąb biały,
 Wyleciał, i w niebo zmierza,
 Tam anioły go witały.

22. Idźmy dalej!

Przez Sewerynę Duchnińską.

Czy nas zima zmrozi lodem,
 Czy skwar letni pierś przepali,
 Z dzielną wolą - z duchem młodym
 Idźmy dalej! idźmy dalej!

Choć nam nieraz bratnie słowo
 Utkwi w sercu ostrzem stali,
 W Bogu czerpiąc siłę nową,
 Idźmy dalej! idźmy dalej!

Niechaj piorun błyska w górze,
 Niech stoletnie dęby wali,
 My przez gromy i przez burze
 Idźmy dalej! idźmy dalej!

Czy świat gorzkim jadem bryźnie,
 Czy wyszydzi — czy pochwali,
 Służąc Bogu i Ojczyźnie,
 Idźmy dalej! idźmy dalej!

Gdy nad Dnieprem i nad Wisłą,
 Bracia z bólu skamieniali,
 Choćby słońce nam nie błysło,
 Idźmy dalej! idźmy dalej!

Bóg od wieków mnożył plony
 Tym, co wiecznie w służbie trwali,
 Niech On będzie pochwalony —
 Idźmy dalej! idźmy dalej!



23. Ostatni wiersz Antoniego Odyńca.

Jeszcze Polska nie zginęła,
 Póki my żyjemy;
 Póki duchem, którym tchnęła,
 I my tchnąć będziemy.
 Moc nasza z Boga,
 W Nim żywot i droga,
 Za Jego przewodem
 Znów będziemy narodem.

Jako Kościół na opoce
 Polska wiarą stała,
 Z wiary były jej owoce,
 Jej wolność i chwała.
 Miłość tylko z nią łączyła
 Ościenne narody,
 Nie jarzmo im narzuciła,
 Lecz wniosła swobody.

I choć Bóg nas ciężką karą
 Dotknął dziś z kolei,
 Póki mamy Miłość z Wiarą,
 Nie traćmy Nadziei.

Z nich zdobądźmy cześć u ludzi,
 Jak męczennik w grobie;
 A Bóg sam nas z martwych wzbudzi
 Na świadectwo sobie.

Bo jak bez sprawiedliwości
 Przyjść Królestwo Boże,
 Tak sam świat przyjść do wolności
 Bez Polski — nie może.

Ów wiersz napisał Odyniec, przyjaciel Mickiewicza,
 jako 80-letni starzec, dwa miesiące przed zgonem.

24. WYGNANIEC

składa życzenia parze weselnej

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Zdziwicie się niezawodnie państwo, widząc mnie nieznanomego rodaka w waszem gronie. Jestem wygnańcem. Zmuszono mnie, abym opuścił kraj ojczysty, ziemię moich ojców, dziadów i pradziadów. Przechodząc przez waszą wioskę, zobaczyłem orszak weselny. Ten widok do łez mnie poruszył. Poszedłem do kościoła, gdzie będąc świadkiem ślubu, pomodliłem się na intencją młodej pary. Błysnęła mi myśl szczęśliwa, że zanim się udam w dalszą podróż, odwiedzę dom weselny, licząc na to, że mnie powitacie chlebem, solą i dobrą wolą. Wszakże nie zaginęła jeszcze na naszej ziemi staropolska gościnność, którą się nasi przodkowie tak chlubnie odznacжали. Wypada też złożyć życzenia młodej parze. Wprzód jednakże chcę o sobie słówko powiedzieć, abyście wiedzieli, z kim macie do czynienia. Kolebka moja stała w dalekiej Ukrainie, gdzie bystry Dniepr, Dniestr, Boh i Roś toczą bystre wody do morza Czarnego. Tam przeigrałem młode lata, tam żyłem szczęśliwy i chyba tylko za cackiem, gdy się stłukło, płakałem. Nadszedł pamiętny rok 1863, rok tak straszny, jakiego nie było w naszej przeszłości. Rodzice moi i ja przyłączyliśmy się do powstania. Walczyłem w licznych potyczkach, nakoniec ranny dostałem się w moskiewską niewolę, której nie będę opisywał. Za karę wysłano mnie do Syberyi, gdzie setki tysięcy naszych rodaków życie położyło. Po 20-tu latach uwolniono mnie pod warunkiem, że się udam za granicę. Jako inżynier znalazłem korzystne zatrudnienie w tej

części Wielkopolski, która się dziś zowie Wielkiem Księstwem Poznańskiem. Spędziłem tu lat 10. Myślałem, że złożę kości pomiędzy ziomkami, ale oto odebrałem rozkaz, abym opuścił granicę państwa Pruskiego. Dosięgła mnie zapalczywość Bismarcka, jednego z największych wrogów polskiej i wogóle słowiańskiej narodowości. Za kilka dni będę na okręcie, gdyż postanowiłem udać się do Ameryki, gdzie już przebywa przeszło milion Polaków.

Droży bracia rodacy, kochane siostry rodaczki, nie umiem wam opisać boleści, jaka mnie ściska, na samo wspomnienie, że mam opuszczać ziemię ojczystą, ziemię polską, gdzie groby moich przodków, gdzie mieszka polski lud poczciwy, ta nadzieja naszej przyszłości, gdyż wierzę mocno, że lud polski zgotuje szczęśliwą przyszłość naszemu narodowi.

Homer, poeta grecki, który żył 1500 lat przed Chrystusem, ślicznie opisał dołę wygnańca, tęskniącego za Ojczyzną. Przedstawia on nam Odyseusza, który 20 lat był oddalony od rodzinnej ziemi. Bogini Kalipso, cudnie piękna, chciała go uczynić nieśmiertelnym i być jego małżonką. Odyseusz rzekł do niej: „Jesteś prześliczną bogini i obdarzona wieczną młodością. Ja jednakże zamiast twoich darów chciałbym choć raz widzieć dym z ojczystej mej strzechy, unoszący się w górę“. I ja, gdy nieraz patrzę na dym, wijący się z wiejskich kominów, myślę sobie: ach! to dym polski, którego nie ujrzę w Ameryce.

Powtarzam sobie nieraz wiersz naszego poety Juliana Niemcewicza: „Duma wygnańca“. Pozwólcie, że wam wygłoszę choć początek tego pięknego utworu, który nie odnosi się wyłącznie do mnie, ale i do licznych innych rodaków.

„Żegnam cię Ojczyzno! żegnam cię na wieki!
 Smutne przecucie w piersiach odzywa się tkliwych,
 Że te oczy, te łzami zroszone powieki,
 Już więcej nie zobaczą twych brzegów szczęśliwych.

Już mnie matka do swego nie przytuli łona,
 Już nie ujrzę przyjaciół, ni braci kochanych,
 Prożno drogie wspomnienia wraca myśl strapiona,
 Spieszę do parnych niebios i krain nieznanych.

Idę, gdzie słońce skwarnym upałem się żarzy,
 Gdzie się płodzą tygrysy i węże zjadliwe,
 Gdzie żółtą febrą tknięty, wbrew sztuce lekarzy,
 Człek zionie w ciężkich mękach życie nieszczęśliwe.

Lecz ani jad, co wewnątrz zaczyna pożerać,
 Ni krew, co się po żyłach w czarny węgiel spieka,
 Ani żal, w kwiecie życia gwałtownie umierać,
 Nazwać można najtkliwszą męką dla człowieka.

Sroższem jest życie pędzić w ustawnej tęsknocie,
 Nie mieć komu się z ciężkiem powierzyć strapieniem,
 W smutnym, na upłynione szczęście, myśli zwrocie,
 Truć każdy dzień obecny przeszłości wspomnieniem."

Przedstawiwszy krótki rys mego życia szanownemu zgromadzeniu, pozwałam sobie złożyć serdeczne życzenia młodej parze małżeńskiej. Uśmiecha wam się szczęście, bo i coś piękniejszego na ziemi nad połączenie dwóch serc szczerze się kochających. Oby gwiazda pomyślności przyświecała wam do końca życia! Łatwiej nieść ciężar żywota we dwoje, aniżeli jednemu.

Niech mąż dodaje żonie a żona mężowi odwagi, otuchy i pociechy. Nie zawsze będzie droga waszego życia zasłana pięknymi kwiatkami. Miotać będą burze łódką waszego szczęścia na morzu, które życiem zowiemy. Nie rozpaczajcie, ale ze wszech sił stawcie czoło wichrom szalonym. Pamiętajcie na słowa wielkopolskiego poety Kaspra Miaskowskiego, którego kości są złożone w Wielkiem Strzelczu pod Gostyniem. Zachęca on nas do wytrwałości, jak następuje:

Nie tenci żeglarz, co płynie po wodzie,
 Nie poruszanej nic wiatrem pogodzie,
 Ale kto wały, gdy biją najciężej,
 Wiosłem zwycięży.

Niech Wiara, Miłość i Nadzieja będą godłem waszem! Niech jedno drugiemu zawierzy zupełnie, niech się nawet cień podejrzenia pomiędzy was nie wkradnie, jakoby wiara małżeńska złamaną być miała! Niech zawsze mieszka pomiędzy wami miłość małżeńska, opierająca się na szacunku. Miłuje się czasem osobę, nie zasługującą na miłość, ale nigdy się nie szanuje człowieka, który złemi czynami, np. karcjarstwem, pijaństwem, złodziejstwem itd., splamił swą duszę. Gdy was jakie-

kolwiek złe cisnąć będzie, pocieszajcie się nadzieją, że będzie lepiej. Wszakżeż po burzy słońce tem milej jaśnieje. Jeżeli was pobłogosławi Bóg potomstwem, doczekajcie się z niego pociechy. Wychowujcie dzieci w bojaźni Bożej, wpajajcie w ich młodociane serca miłość Boga i Ojczyzny.

Czyż dla tego, że nasza Ojczyzna jest w nieszczęściu, nie mamy jej miłować i dla niej się poświęcać? I wy możecie choć maluczko przyczynić się dla dobra naszego narodu. Szanujcie język polski, zwyczaje nasze narodowe, pieśni i dzieje przeszłości. Popierajcie rodaków w ten sposób, abyście im zawsze dawali pierwszeństwo. Wspierajcie przede wszystkim polskich kupców i przemysłowców, którzy w każdym narodzie zajmują bardzo ważne stanowisko. Przepraszam, że rozgadałem się może zbyt długo, ale to tak miło pogawędzić ze swoimi a zwłaszcza, jeżeli się opuszcza ziemię ojczystą. Raz jeszcze życząc błogosławieństwa Bożego dla wszystkich tu obecnych, wołam z głębi serca: Niech żyją młodzi państwo.... *(podać imiona i nazwisko pary małżeńskiej)*.

Uwaga. Wygnaniec powinien mieć ile możności rogatywkę na głowie, czamare i żupanik spięty pasem — wogóle niech przypomina ubiorem dzielnego Polaka. Może też być ubrany ów wiarus w mundur polskiego żołnierza. W razie potrzeby zamiast 1863 r. można podać 1830 r.

25. Życzenia wygnańca podczas chrzcin.

(Większa część przemówienia pozostaje, tylko na początku, gdzie jest mowa o ślubie, trzeba stosownie zmienić. Ów ustęp może być zmieniony w następujący sposób:)

Przechodząc przez waszą wioskę, zobaczyłem grono osób spieszących do kościoła z niemowlęciem, aby odebrało Sakrament Chrztu Świętego. Poszedłem także do świątyni, gdzie się pomodliłem na intencją dziecka. Błysnęła mi wówczas myśl, że zanim się udam w dalszą podróż, odwiedzę rodziców dzieciny, która została niedawno przyjęta do Kościoła Chrystusowego, spodzie-

wając się, że mnie powitacie chlebem, solą i dobrą wolą. Wszakżeż nie zaginęła jeszcze na naszej ziemi staropolska gościnność, którą się nasi przodkowie tak chlubnie odznacжали. Wypada też złożyć życzenia dziećci i rodzicom. Wprzód jednakże i t. d.

Potem za wierszem po słowach: „przeszłości wspomnieniem“ taka nastąpi zmiana:

Przedstawiwszy krótki rys mego życia, szanownemu zgromadzeniu składam serdeczne życzenia rodzicom małego (lub małej tu się wymieni imię dziecka.)

Niech to wasze ukochane dziecko rośnie zdrowo na waszą pociechę. Niech spełni nadzieje, jakie w niem pokładacie. Jeżeli się chce kto z owocowego drzewa doczekać pociechy, powinien mianowicie z początku troskliwie je pielegnować. Tak i wy szanowni państwo, otaczajcie tę młodą latorośl gorliwą opieką. Skoro tylko zacznie mówić, uczcie je pacierza i zasad św. wiary katolickiej. Budźcie w nim poczucie, że jest Polakiem (Polką), że na polskiej żyje ziemi i polskim żywi się chlebem.

Boże Wielki, Mocny i Świąty, spraw aby to niemowlę wzrastało w Twojej bojaźni, i aby zdołało sobie pozyskać później nietylko miłość rodziców i krewnych, ale także przyjaźń i szacunek bliźnich. Oby rodzice mogli z radością powtarzać: Oto chluba naszego żywota! W tej nadziei wnoszę okrzyk:

Niech żyje państwo (tu wymienić imiona i nazwiska rodziców) i niech się doczekają obfitej pociechy z (tu się wymieni imię dziecka).

Uwaga. Można także te życzenia zastósować do imienin, srebrnego lub złotego wesela, jubileuszu i t. d.

26. Nasz oreż.

Przez X. Konstantyna Damrotha, Ślązaka.

Dalej bracia, do oreża,
Który nigdy nie zawodzi;
Nie zaczepia, a zwycięża,
Rani, chociaż w krwi nie brodzi!

My ubodzy — dział nie mamy,
Ani broni i pieniędzy;
My bez sprzymierzeńców — sami
Radźmy tedy o swej nędzy!

Ale bo nas dziś armaty
Nie wybawią i warownie:
Nam twierdzami dziś warsztaty,
Dwory, szkoły i pracownie.

Nam wojenną sztuką — praca,
Bronią — wiedza lub narzędzie:
Co kto umie, to popłaca,
Byle robić — zawsze — wszędzie.

Sierpy — kosy — piły — młoty
Naszą ulubioną bronią,
Gdy nam wśród skrzętnej roboty
W polu lub warsztacie dzwonią.

Naszą bronią — słowo dzielne,
Prawem i mężstwem natchnione;
Bronią — pieśni nieśmiertelne,
Bo nadzieją namaszczone.

Naszą bronią — pacierz rzewny,
Korny, zbożny, pełen skruchy;
A że szczery, skutku pewny,
Przeto pełen też otuchy.

Naszem hasłem: Bóg i wiara!
Naszem godłem: miłość, zgoda!
Naszą siłą: to ofiara!
A wygraną: to swoboda!

Naszym wrogiem — to próżniactwo
I wygodki niepochlebne,
Niedołęztwo i partactwo
I potrzeby niepotrzebne.

Hej więc bracia, do oręża
Który każdy dźwigać może:
Kmiecie, rzemieślnicy, księża
I niewiasty — w imię Boże!

Uwaga. X. Konstanty Damroth (urodzony 1841 w Lublińcu, zakończył życie w Pilchowicach 1895 r.) jest najznakomitszym śląsko-polskim poetą. Pisma jego odznaczają się religijnem uczuciem, miłością Polski i Śląska, oraz pięknym językiem. X. Damroth, znany więcej pod nazwą Czesława Lubińskiego, ukochał gorąco Śląsk i lud polsko-śląski. Do najpiękniejszych jego poezyi należą: „Znasz-li tę ziemię, co z swych kruszców słynie?” — „Pędzą jak na skrzydłach lata.” — „Nad grobami Piastów śląskich.” — „Spojrzyj na krzyż!”

Z dzieł X. Damrotha najważniejsze: „Z niwy śląskiej” 2 tomy. Cena bardzo tania, gdyż wynosi tylko 1 m. 20 fen. z przesyłką. Można zapisać pod adresem: Katolik, Bytom (Beuthen O/Schl.).

27. POLKA.

Ładna Francuzka dowcipna i żywa,
W drogiej swej sukni najnowszego kroju;
Nadobnej Włoszce na wdziękach nie zbywa,
Piękna Hiszpanka w narodowym stroju;

Ładna Greczynka z białem wzniosłem czołem,
Ładne jej oczy — czarnych włosów sploty:
Lecz z nich nie będzie żadna mym aniołem,
Bo żadna nie zna polskich dziewic cnoty.

Pomiędzy temi paniami wszystkiemi,
Którym bogactwa i wdzięki są działem,
Wolę dziewicę z nadwiślańskiej ziemi
Tę, której najpierw me serce oddałem.

Polka w ubogich mieści się komnatach,
A zamiast balów odwiedza świątynie; —
Polska dziewczica w żałobnych dziś szatach,
Bo jeszcze braci niewinna krew płynie.

I Polka kocha rodzinną swą ziemię,
I Polka kocha wszystko co ojczyste,
I Polka kocha całe polskie plemię,
Bo Polki serce niewinne i czyste.

Polka jest wierną — gdy przysięgnie tobie,
Gdy powie: „kocham” — przysięgi nie złamie;
Pomni na ciebie w dobrej i w złej dobie,
Bo Polka nigdy, o nigdy nie kłamie.

Więc gdy z nas który, młodzi bracia moi!
Przy sobie w życiu mieć zechce anioła,
Niech tego rękę z dłonią Polki spoi
Święconą stule, ażebnik Kościoła.

A. K.

28. Żebraczka Jacentowa

składa życzenia nowożeńcom.

Dziś wesele szanownych Państwa. (*Tu się wymieni imiona i nazwisko nowożeńców*). Zjechali się liczni goście, którzy składają życzenia. Pomyślałam sobie: niechże i stara Jacentowa, zdegradowana baba kościelna, a teraz żebraczka i — poco mam chachulić, także pijaczka, złożę życzenia młodemu państwu. Życzę wam zdrowia, długiego życia, łaski i błogosławieństwa Bożego. Niech was omijają złe przygody, niech pomiędzy wami panuje zawsze święta zgoda. Miejcie tyle chleba, abyście nigdy głodno spać nie poszli; miejcie też wygodne pomieszkание i ubiór przystojny. Niech was szanują sąsiedzi, krewni i znajomi. Po najdłuższem życiu niechże was Pan Jezus miłosierny przyjmie do wiecznej chwały.

Oprócz tego mam jeszcze jedno bardzo ważne życzenie nietylko dla młodych państwa, ale i dla wszystkich tu obecnych a nawet dla mnie samej. Oto życzę wam z duszy i z serca, abyście nie znali pijaństwa. Niech święta trzeźwość i wstrzemięźliwość panuje pod waszym dachem, niech wasze małżeństwo będzie podobne do Tobiasza i Sary, których połączył sam archanioł Rafał.

Opowiem wam w krótkości dzieje własnego życia, abyście się przekonali, że największym grzechem jest pijaństwo. Wielkim grzechem jest pycha, może jeszcze większym nieczystość, ale największym podług mego zdania jest przeklęte pijaństwo. Niezawsze byłam taką, jak dziś żebraczką. Moi rodzice posiadali piękne gospodarstwo. Były u nich woły i pszczoły, łąka i mąka, ryby i grzyby. Byłam jedynaczką, to też kochana matusia, Boże świeć nad jej duszą, na wszystko mi pozwalała. Dobrze powiadają, że z jedynaka złodziej lub sobaka, a z jedynaczki, nierządnica lub pijaczka. Nie-raz pokryjomu naląła mi matuchna kieliszeczek słodkiego wina lub słodkiej wódki. Później posyłała mnie raz po raz do karczmy po wódkę, a ja sobie poszłam gdzie w kącik i buł, buł, buł, lała się wódeczka w moje

gardziołko. O rodzice, rodzice, bójcie się ciężkiego gniewu Bożego, jeżeli pozwalacie dzieciom pić wódkę, jeżeli je posyłacie do karczmy po ten piekielny trunek, a nawet jeżeli w obecności dzieci pijecie gorzałczysko. Skoro nie możecie się powstrzymać bez rozpalających trunków, pijcie tak aby niewinne dziatki nie widziały tego zgorszenia. Wszakżeż Pismo święte powiada, że ktoby zgorszył dziecko, temu ma być przywiązany do szyi kamień młyński, aby był wrzucony do wody.

Byłam młodą, przystojną i bogatą. Kręciło się koło mnie kawalerów jak maku. Wybrałam sobie Marcina Brzozę. Był to chłop wysoki, jak chojar, pełen zdrowia i siły. Kochaliśmy się bardzo, a jednak zgotaliśmy sobie nieszczęście z powodu przekłętego pijaństwa.

Moja wino była większa, bo ja sama Marcina namawiałam do kieliszka.

Mój Boże, łzy mi się cisną do oczu, gdy sobie wspomnę nasze wesele. Muzyka nam grała, gdyśmy jechali do kościoła. Ksiądz poświęcił pierścionki, złączył nasze ręce stułą i odebrał od nas małżeńską przysięgę. Mieszkaliśmy o granicę, a więc wstąpiliśmy najprzód gdzie? Oczywiście do karczmy żydowskiej, gdzie łyknęliśmy sobie porządnie. Błogosławieństwo Boże z kościoła zostało w karczmie, nie przywieźliśmy go do domu. Żyd się cieszył, bo zarobił kilkanaście złotych. Jedziemy z powrotem — muzyka rżnie krakowiaka, a my śpiewamy po pijanemu. W domu rozpoczęło się jedzenie a raczej obżarstwo, pijatyka i tańce. Tak nas przymuszano do picia, a my też nie opieraliśmy się bardzo, że na wieczór ja, panna młoda i mój mąż byliśmy bez zmysłów. Taki był pierwszy dzień naszego małżeństwa. Czyż mógł nam Pan Bóg błogosławić, gdyśmy pijaństwem odgradzili się od Niego?

Dał nam Pan Bóg kilkoro dzieci. Wkrótce po urodzeniu pomarły, gdyż dzieci pijaków są najczęściej słabowite, cierpiące, niezdrowe. Uważajcie sobie, szanowni goście, jak wielkim grzechem jest pijaństwo. Dzieci rodziców, którzy się trudnią złodziejstwem, rzadko mają w sobie żyłkę złodziejską, ale dzieci pijaków mają pociąg do pijaństwa, do uporu i wogóle do złego, a ich

rozum, pamięć i wola są osłabione. Jad pijaństwa przechodzi z rodziców na dzieci. Matka, karmiąca dziecię, jeżeli pije wódkę, karmi niemowlę nie tylko mlekiem, ale także trucizną szatańską. Lepiej się stało, że nasze dzieciśzeczka poumierały, gdyż nie byłoby zapewne wyrosło nic z nich dobrego. Żle jak chłop pije, ale dziesięć razy gorzej jak pije kobieta. Ja zamiast wstrzymać męża od kieliszka, jeszcze go zachęcałam. Możecie sobie wystawić, co nastąpiło po kilku latach. Rola była nieuprawniona, inwentarz zdychał, bo nie dostawał paszy, a długów po uszy. Samemu Dawidowi, gościnnemu w naszej wsi, co go nazywali Łapserdakiem, byliśmy winni 1000 talarów. Może sto talarów pożyczył nam gotówką, 300 wybraliśmy gorzałką i podobnemi trunkami, a reszta urosła przez dopisywanie procentów. Ostatecznie sprzedano nam gospodarstwo przez subhastę. Kupił je żyd Dawid Łapserdak za psie pieniądze a my wyszliśmy na dziadów. Nie chcieliśmy się wyprowadzić, bo nie było gdzie. Dawidek kazał nas wyrzucić na ogród. Pierwszą noc przespaliśmy pod gołym niebem, a padał deszcz straszny. Robić nam się nie chciało, zaczęliśmy więc żebrac. Ja gospodarska córka, jedy-naczka, której majątek można śmiało szacować na 5000 talarów, zostałam żebraczką. Piłam wódkę dalej. Mąż mój po pijanemu wpadł w rów i utopił się niebawem. Nie wywarło to na mnie żadnego wpływu. Może z 10 razy byłam już w więzieniu, kilka razy leżałam bez przytomności na ulicy, dzieciaki się naśmiewały, rzucały błotem, krzycząc: Oto pijaczka! Pamiętam, że mnie raz żydziaki kopały i pluły w oczy. Tak nisko upadłam, że żydowskie plemię mnie kopało. Chciałam się poprawić. Jeden, dwa dni nie piłam, a potem znowu lałam w siebie piekielną oparę. Raz chciałam u żyda zastawić szkaplerz za kieliszek wódki, ale żyd nie chciał wziąć szkaplerza.

Mówię pewnie za długo, bądźcie cierpliwi, zaraz skończę. Trochę mniej piję, niż dawniej, ale zawsze piję. Otóż winszuję państwu młodemu i wszystkim obecnym, abyście wcale wódki nie pili, a jeżeli się nie możecie obyć, pijcie mało i unikajcie przede wszystkim żydowskich szynków. Jeżeli koniecznie chcecie dusze

w piekle zatracić, pijcie przynajmniej u swoich. Proszę was też kochani, moi ludzie, pomódlcie się za mną wielką grzesznicą, aby się Bóg nade mną raczył zmiłować i pozwolił mi się nawrócić. Boże zmiłuj się nade mną i zmiłuj się nad polskim ludem. Niech żyją młodzi państwo!

Uwaga. Przemówienie to może także wypowiedzieć żebrak z małemi zmianami.

29. BŁOGOSŁAWIENI.

Przez Jana Kasprowicza.

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Umieją zachować równowagę ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serc pieśń rozpacz głucha,
Którzy wśród nocnej nieprzebytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni.

Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich męstwo
Nowego gmachu wrota im otworzy,
Gdzie razem z chwałą króluje zwycięstwo;
Bez rdzawych kajdan i bez tych obroży,
Które na ziemi noszą upodleni;
Ten raj się tylko dla silnych zieleni.

Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich syny
Będą sprząтали z ich ziarna owoce,
I wśród porannej zmartwychwstań godziny
Gdy złote słońce światłem zamigoce,
Będą wołali duchem podniesieni
Za Ojców sprawą świt się nam rumieni!

Błogosławieni!

30. Ja Polką jestem!

Ja Polką jestem! — A polska dziewczica
Cicha i świeża, jak poranna zorza,
Odwagą wszystkim niewiastom przyświeca,
I jak jaskółka wesoła i hoża

A miłość Polki, to rozkosze nieba,
Której się zdroje aż z śmiercią wysuszą:
Długo jej serce zdobywać potrzeba,
Lecz gdy pokocha to całą swą duszą.

Ja Polką jestem! — Jakżem dumna z tego!
Prastare Tatry iskrzącemi oczy
Mojej ojczyzny lat tysiące strzegą,
I podziwiają ten widok uroczy
Na wielkie równie, gdzie stubarwne kwiecie
I łąny zboża cudne wzory stroją,
Nie ma też ziemi piękniejszej na świecie
Nad Polskę moją, nad ojczyznę moją!

Ja Polką jestem! — Ach, w tem jednym słowie
Mieści się duma zamierchłej przeszłości
I sława, którą zdobyli przodkowie,
Walcząc za wolność naszą i ludzkości.
Niegdyś, o chlubo! na szczęk polskich mieczy
Padał na wrogi strach drżący i blady,
A kto się kornie oddał naszej pieczy,
Mógł stać z uśmiechem przed swymi sąsiady.

A dzisiaj? — Dzisiaj żalobnego wieńca
Nie braknie u nas u stopni ołtarzy,
Lud nasz wśród zgłiszczy blady, bez rumieńca,
Bo go niewola starła z jego twarzy,
Niewiasty, w żalu druzgocąc swe lutnie,
Kroczą powolnie w ponurej żałobie,
I na cmentarzach, chyląc głowy smutnie,
Płaczą i łkają na ojczyzny grobie.

Dziś, o sromoto, syn dawnych rycerzy,
Syt już rozkoszy, gnuśniej i drzemie,
A wróg szyderczo spogląda i wierzy,
Że z Polski ledwie pozostało imię.
Lecz mimo hańby, o Ojczyzno droga!
Polka cię kochać nigdy nie ustanie
I codzienną proźbę zasyła do Boga:
Zlituj się, zmiłuj, daj nam szczęście Panie!

W. S.

31. Co tu robić?

Przez Artura Bartelsa.

Co tu robić? co tu robić? trzech mię chłopców kocha,
Każden równie przyzwoity, jak miły z pozoru,

A chociaż nie jestem wcale głupia, ani płocha,
 Nie umiem pomiędzy nimi raz zrobić wyboru;
 Serce moje wśród ciągłego tu i tam wahania,
 Na trzy strony, sama widzę, zarówno się skłania,
 I zwykle nie kocham wcale Augusta i Jasia,
 Kiedy patrzę na wąsiki i bródkę Ignasia.

Co tu robić? — bo w ślad za tem powiem, co się dzieje:
 Jaś głosem swoim najczulszym i jasnym spojrzeniem
 Mówi mi serca swojego troski i nadzieje;
 Chwytając każde słóweczko ust mych z upojeniem,
 Wyraz twarzy, zwłaszcza oczy, tak ma wtedy śliczne,
 A to wszystko, co mi mówi, tak jest poetyczne —
 Że nie mogę wcale kochać Gucia i Ignasia,
 Kiedy słucham milej mowy pocziwego Jasia.

Co tu robić? — jużem panią mojego uczucia,
 Jego kocham, zapominam, że są inni w świecie,
 Póki licho nie przyniesie bogatego Gucia,
 Na ślicznym angielskim koniu lub w kabryolecie;
 Bo ten prawi mi, pokusa, po całych godzinach
 O pałacach, dyamentach, perłach i rubinach,
 A więc mogę jeszcze kochać — ja, dziewczyna pusta,
 Czy Ignasia — czy też Jasia — gdy słucham Augusta?

Uwaga. Wiersz ten może wygłosić kobieta lub mężczyzna.

32. Do Kmiołka.

Przez Józefa Chmielewskiego.

Czy ty wiesz, co znaczy kraj?
 Więc o dobro jego dbaj,
 Pracuj, jak ci kazał Bóg
 I w ten sposób spłacaj dług!

Kochaj ziemię i tak rób,
 By jej tyle, co na grób
 Nie sprzedawać przez ten wzgląd,
 Że cię straszny spotka sąd . . .

Aby w kiesce grosik mieć,
Zawsze skromny żywot wiedz;
Porzuć zbytek, trzeźwy bądź,
Według stanu dolą rządź!

Szanuj wiarę, język swój,
Szanuj zwyczaj, polski strój;
Kochaj pracę i twój stan,
A wspierać cię będzie Pan.

Kształcić także umysł chciej,
Dobre książki w domu miej;
Słuchaj chętnie dobrych rad,
A będzie ci miły świat.

Masz i dzieci, to więc dbaj,
By pociechę miał z nich kraj;
Ucz je obowiązków, cnót,
By z nich dzielny wyrósł lud!

O, Judaszem nie bądź, nie,
Bo takiemu bardzo źle!
Wiernie trzymaj w ręku pług —
To ci upaść nie da Bóg.

33. Jestem Polakiem.

Przez J. Chmielewskiego.

Cóżem winier, zem Polakiem,
Żem na polskiej zrodzon glebie?
Że mię Pan Bóg stworzył takim
To już nie mam cenić siebie?.....

Mam się może wyprzeć tego,
I być kraju odszczepieńcem;
I uchodzić w dal od niego,
Aby zostać cudzoziemcem?.....

Mam się wyprzeć ojców wiary
I nie mówić słów pacierza?
O! to zgroza już bez miary,
Mieczem w serce mi uderza!

Mam wypędzić z mojej chatki
Polską mowę, polskie pieśni,
Com się uczył od mej matki?
O tem wcale mi się nie śni!

O nie, bracie, do os'atka
 Będę mówił, jak Bóg kazał;
 Jak chce wspólnie nasza matka,
 Tem bym nigdy się nie zmazał.

Mam porzucić moje łany,
 Moją chatkę, łąki, gaje?
 O! mój Boże ukochany
 Strzeż mię, bo się serce kraje!

Mam nie kochać, co jest nasze,
 Czem się pieści serce, dusza?
 To co drogie, to jest Lasze,
 Co na widok do łez wzrusza.

Tu się pragnę Bogu korzyć,
 Bo tu pracę mi wyznaczył:
 Tu wypada kości złożyć,
 Bom tu miły świat zobaczył.

Żem Polakiem z Bożej woli,
 Tego wyprzeć się nie mogę;
 Siedzę chętnie na mej roli,
 A kto nicpoń — krzyż na drogę!

Zniosę wszystkie przeciwności,
 Jakie na mnie ześlesz, Panie,
 Ale, żeś jest Bóg miłości,
 Wierzę w Twoje zlitowanie!

34. BIAŁE ORŁY.

Przez Władysława Bełzę.

Bądź pozdrowiona ziemio Lechitów,
 Ziemio prastara i święta!
 Oto znów widzę, jak z twych błękitów,
 Białe wybiegły orłeta.
 I ponad jezior tajemną ciszą
 Nad Piastów dawną dzielnicą,
 Na srebrnych skrzydłach znów się kołyszą,
 I w słońce mierzą żrenicą.

Niegdyś promienne ich pióra wiały
 Wśród grzmotu bitew i waru,
 Dziś im przychodzi po wiekach chwały,
 Innego bronić sztandaru.

Oto nam tłumią na ziemiach naszych
 Każdy błysk żywszy, duchowy;
 Więc orły siadły na sercach naszych,
 W obronie pieśni i mowy.

Witajcie Polski zwyciężkie godła,
 Jagiełłów ptaki słoneczne!
 Błogosławiona dłoń co was wiodła,
 Na te dziedziny odwieczne.
 Patrzcie, jak wrogi stoją nad grobem,
 Rozdartej naszej Ojczyzny!
 Orły Grunwaldu! szpony i dziobem,
 Brońcie ostatniej spuścizny.

Z świątyni naszej sławy dziejowej,
 Dziś spustoszonej do wnętrza:
 Jeden nam został skarb polskiej mowy,
 Spuścizna przodków najświętsza...
 Po ten żnicz wieczny co w sercach płonie,
 Ten, co nas gnębi, już sięga:
 Orły mściciele! w jego obronie,
 Niech wasza stanie potęga!

Górá! o górá! szlakiem odwiecznym,
 Płyn drużbo Lechów prastara!
 Niech lot twój będzie lotem słonecznym,
 Ale nie lotem Ikara.
 Płyn wierna straży husarskich znamion,
 Witam cię pieśnią radosną!
 Może za tobą i nam u ramion
 Orłowe skrzydła urosną!

Uwaga. Istnieje podanie, że bardzo dawnemi czasy w Grecyi Ikar wzbił się w górne wyżyny na skrzydłach woskowych, które ogrzane promieniami słońca, stopiły się, a Ikar zleciał na ziemię i utracił życie.



35. Co małżeństwo z dziewczętą robi.

Była śliczna, świeża, hoża,
Istne cudo, nie dziewczyna,
Rumieniutka, niby zorza.

(*Wskazując na oczy*)

Tu modraki (*wskazując na usta*), tu kalina;
Włosy miała, jak okrycie,
Na dwa łokcie każda kosa,
Rączka — tycia, nóżki — tycie!
A tu w pasie — istna osa.

Gdy się śmiała, to się zdało,
Że słowiki się ozwały,
Bo się na niej wszystko śmiało,
Śmiać się musiał z nią świat cały!
A gdy ząbki pokazała,
Ot! tak... perły do nizania!
Płeć?... jak lilia... Jak się zwała?...
Jakżeby też, jak nie Mania!...

Więc wzdychali za tą Manią
I chodzili jak maniaki,
Aby tylko patrzeć na nią!
Wierszy miała album — (*pokazuje*) taki!
(*Z grymasem lekceważenia*)

Co tam wiersze!... to nic przecie,
To już samo się rozumie,
Każda panna w całym świecie
Musi wiersze mieć w albumie.
Wiersze, kwiatki w danej chwili
Zwyczaj pannom składać każe —
Ale za nią się włóczyli,
Fotografy i malarze.

Gdy na wieczór szła — bywało —
Cały świat się przy niej kręci,
Ma przy sobie młodzież całą,
I studenci, nie studenci,
Młodzi, starzy, łysi, siwi,
Ślepi nawet!... was to dziwi?
Widać, żeście jej nie znali!...
(*Z zachwytem*)

Była wiotka, była śliczna,
Była słodka, eteryczna;
Co za główka, co za szyjka!
Smukła, cienka, jak lilijka,
Co rozkwita w letnim słońcu —
Idealna, poetyczna,
Jednem słowem: śliczna, śliczna! —
(*Z ubolewaniem*)

No, i za mąż wyszła w końcu!...

(Wzdycha)

Wyszła! — chodzi w jarzmie złotem!...
 Na to każda się sposobi,
 Lecz nie każda myśli o tem,
 Co małżeństwo z dziewcząt robi!

Była wiotka, niby płonka,
 Istne ptaszę, istny kwiatek,
 Niby jasny promyk słonka
 A przejrzysta, jak opłatek!
 Dziś?... co za metamorfoza!...
 Eteryczność się rozwiała,
 A z poezji sama proza

(z komiczną grozą)

W dynię wzrosła lilia biała!
 Przez ten czasu przeciąg krótki
 Poznać jej nie można więcej,
 Na tej szyjce jej dziewczęcej
 Już narosły... trzy podbródki!
 Siedzi na wsi zakopana,
 Kury sadzi, masło waży,
 I z włodarzem się od rana
 O kwaterkę mleka swarzy.

(Z dyskretnym szeptem)

Tak utyla, no, i zbrzydła,
 Że bez śladu znikł wdzięk cały;
 Sery, masło i powidła
 To jej dzisiaj ideały!
 Chodzi, brzęcząc pękiem kluczy,
 Ona, co marzeniem była —
 Teraz na wsi gęsi tuczy
 I na jarmark je posyła;
 Między kuchnią a oborą
 Kręci się wciąż po podwórku —

(Z westchnieniem)

Ha! cóż chcecie? ma siedmioro!
 A najstarszy już w mundurku...

(Jakby w zamyśleniu)

Cały tuzin będzie może...
 Biedna Mania! co za zmiana!
 Z gołąbeczka — żal się Boże —
 Dziś kokoszka skłopotana;
 Pracy, zajęć ma bez miary,
 Czas jej czoło w zmarszczki żłobi...

(Z oburzeniem)

Nie, doprawdy, nie do wiary,
 Co małżeństwo z dziewcząt robi!

N.

III.

Łatwe komedyjki i dyalogi
treści wesołej z małą liczbą osób.

36. Żyd przed sądem.

Krotochwila do odgrywania w teatrach domowych
i podczas letnich zabaw.

OSOBY:

Sędzia. — Berek Lajzer, młody żyd, trochę przygłupi.
Rzecz dzieje się w pokoju urzędowym sędziego.

S C E N A I.

Berek. Niedługo przyjdzie pan sędzia; on mnie pytać o różne rzeczy, tak ja mam na wszystko powiedzieć, że nie. Tak mi ojciec kazał, a ojca trzeba słuchać. Moi państwo, to było tak. Mego ojciec, co się nazywa Icek Lajzer, on jest bardzo bogaty, bo on bardzo mądry i ostróżny. On najwięcej trudni się przemycaniem towarów, my to po naszemu nazywamy szwarcowaniem. Mój faterle powiada do mnie pewnego razu: „Berek, mówią o tobie, żeś ty strasznie głupi. Pokaż, że nie jesteś głupi. Ja cię poszlę na przemykanie towarów. Musisz uważać na strażniki i na przemytniki, a tak się starać, aby towary przez granicę przeszwarcować.“ Tak ja poszedł nad granicę, a tu mnie strażniki schwycili. Mój tate mi powiedział, żebym ja się wszystko wypierać i spędzać na strażniki albo też na przemytniki; ja mam mówić, że nie widziałem, nie słyszałem i nic nie wiem. Tatele, ty zobaczysz, że Berek nie jest wcale głupi, ja ci będę honor robić, a sędzia to jeszcze z mojej wielkiej mądrości uciecze — albo rozum straci. Aber still — cicho, bo już sędzia idzie.

S C E N A II.

Sędzia, — Berek.

Berek. Kłaniam się jasnemu panu sędziemu i mówię dzień dobry. Ja jestem, ale nie, ja nie jestem.

Sędzia. Jak się nazywasz?

Berek. Prześwietny panie sędzio, ja się wcale nie nazywam, na co ja się mam nazywać?

Sędzia. Przecież w zapozwie i aktach wyraźnie napisano, że się nazywasz Berek Lajzer. Zresztą każdy człowiek musi mieć imię i nazwisko.

Berek. Bodaj ja tak zdrów bul, jeżeli ja się kiedy nazywać.

Sędzia. To dziwna rzecz. Kiedyś się urodził?

Berek. Czy wielmożny pan sędzia żartuje, czy co? Ja się miał rodzić — aj waj! na co mi tego. To oni się rodzili te przekłete strażniki i przemytniki, ale nie ja.

Sędzia. Coraz to śmieszniej. Gdzie mieszkasz?

Berek. Ja mieszkać? Ja wcale nie mieszkam, ja o żadnem mieszkaniu nic nie słyszałem, niech pan sędzia temu nie wierzy, co oni nagadali, bo ja jeszcze jak żyję, nie mieszkalem i mieszkać nie będę.

Sędzia. Zabawna historia z tym żydem. Ile masz lat?

Berek. Ja lata? a na co mi tego kłopot, ja nigdy nie miał lata, ale ja widział na własne oczy, jak strażniki mieli lata. A takie grube lata, aj waj mir.

Sędzia. Masz ty żonę i dzieci?

Berek. Aj waj, hast du gewidziolt, ja mam mieć żonę? Ja żonę nie chcę widzieć, nie chcę słyszeć, bo to bardzo niebezpieczna rzecz. Te przemytniki i strażniki oni mają żony, a potem obsmarowali mnie przed sądem, że ja mieć żonę, a to nie prawda.

Sędzia. A więc jesteś kawaler?

Berek. Z psieprosieniem wielmożnego pana sędziego jeszcze się to na mnie nie pokazało, żeby ja bul kawaler.

Sędzia. Niezawodnie jesteś wdowcem.

Berek. Ja wdowiec? Co też wielmożny pan sędzia gada, a naco by ja bul wdowiec, albo mi tak niedobrze.

To oni są wdowcy, te moje przeciwniki, ja to mogę udowodnić świadkami.

Sędzia. Jeszcze jak żyję, nie widziałem takiego zabawnego oskarżonego. Możeś miał żonę i wziąłeś z nią rozwód?

Berek. Ja rozwód ze żoną? Ny, niech pan sędzia takim gadaniom nie wierzy, to oni są rozwodnicy, a potem na mnie biedny żydek spędzają. Aj waj gwałt — ja widzieć, jak oni wsyscy do rozwodu chodzą.

Sędzia. Z czego żyjesz? Czem się trudnisz?

Berek. Ja żyć? Ja wcale nie żyję, ani nie szyję, a na co mi życie, albo szycie, albo ja tak żyć nie mogę bez życia i szycia? Ja nigdy nie żyć, bo tylko kłopoty, podatki trzeba płacić i można się do dziury dostać. A co do trudności....

Sędzia. Ja się pytam czem się trudnisz, a ty pleciesz o trudnościach.

Berek. Kto się czem trudni, musi mieć trudności, ale ja się niczem nie trudnię.

Sędzia. A więc nic nie robisz? próżniak jesteś?

Berek. Z psieproszaniem pana sędziego, to oni nic nie robią, te galgany strażniki, ale ja mogę przysięgę składać, że ja robię.

Sędzia. Jeszcze jedno. Czy ty jesteś żydem?

Berek. Ja żydem? Ja nigdy nie byłem żydem, nie jestem i nie będę. To te strażniki i przemytniki są żydami, ale ja biedny żydek, na co miałbym być żydem.

Sędzia. Przecież mówisz sam: „Ja biedny żydek.“

Berek. To tak sobie jeno dla żartu.

Sędzia. Przecież do stu katów nie jesteś czasem katolikiem lub protestantem, gdyż twój cały wygląd jest żydowski, a przytem zacinasz doskonale z żydowska.

Berek. Ja nie jestem ani katolikiem, ani lutrem, ani protestantem.

Sędzia. Żydzie nie przyprowadzaj mnie do wściekłości. Mów zaraz, czy jesteś może mahometaninem lub bałwochwalcą, albo czy w ogóle należysz do jakiej sekty religijnej.

Berek. Ja tego nie rozumieć, to maham, mahometan, bałwan i t. d.

Sędzia. No, to się spytam wyraźniej czy jesteś może Turkiem?

Berek. O Turkach ja już slyszal, to taki naród co mają po kilka żon, ale ja już raz powiedzieć, że nie mam ani jednej żony, a więc ja nie być Turek. ☞

Sędzia. Jest w tem jakiś system, że ten żydziak wszystkiego się wypiera. Rozumiem co to znaczy. Ojciec kazał mu niezawodnie, aby wszystkiemu przeczyć, bo tak zwykle żydzi robią, jeżeli im to przynosi korzyść. Berek wziął to zbyt dosłownie i dlatego wypiera się nawet urodzenia, lat, życia i t. d. Co tu z tym głuptasem robić? On nie da żadnej rozsądnej odpowiedzi. Słuchaj Berek, ponieważ chcesz się wykręcić sianem i nie dajesz rozsądnych odpowiedzi, przeto pójdziesz do więzienia, zanim się sprawa wyjaśni.

Berek. Ja wcale nie kręcić sianem, bo ja nie mieć ani ździebełka siana, a o więzieniu nie chcę nic wiedzieć. Niech wielmożny pan sędzia wszystkie strażniki i przemytniki za to, że mnie strasznie prześladują....

Sędzia (dzwoni i wypycha Berka za drzwi.) Odprowadzić Berka Lajzera do więzienia.

Sluga sądowy (za sceną.) Podług rozkazu wielmożnego pana sędziego. Żydzie, jesteś aresztowany, nie opieraj się, bo będzie większa kara.

Berek (za sceną.) To Gewalt, to te strażniki wszystko zrobiły, aj waj mir. (*Zasłona spada.*)

37. Zdrowy ząb wyrwany

czyli:

Skuteczne lekarstwo na ból serca.

Humoreska sceniczna dla domowych teatrów.

OSOBY:

Alfons Gagatkiewicz. — Panna Letycya.
Rzecz dzieje się w poczekalni u zębiarza czyli dentysty.

SCENA I.

Alfons. Nie wiem, jak się ta awantura skończy. Idę sobie przed chwilą ulicą Warszawską, aż tu sunie

panienka, ale powiadam wam, moi państwo, jak łania dziewczyna, istne pieścidełko, cudne stworzenie. Ja w te tropy za nią, jak to wogóle jest moim zwyczajem, że chodzę za ładnymi kobietami. Znany jestem z mych powodzeń na polu miłości. Koledzy zowią mnie Don Żuanem. Jeżeli gdzie za oknem wystawnem siedzą ładne panny, mógłbym stać godzinami. Ale wracam do mojej pięknej nieznajomej. Aby zwrócić jej uwagę, kładę chustkę na zęby. Poskutkowało, gdyż miłe dziewczę zaraz na mnie spojrzało. Oho! myślę sobie: nasza wygrana. Na skrócie ulicy panienska znowu na mnie spojrzała. Przyspieszam kroku i idę za nią. Na koniec we drzwiach kamienicy trzeci raz mnie wzrokiem ogarnęła. To już znak widoczny, że mam iść dalej. A więc pędzę po schodach na pierwsze piętro. Uroczę dziewczę otwiera i z wdzięcznym uśmiechem wskazuje na drzwi do tego oto pokoju. Zapewne wkrótce przyjdzie. Nie każe przecież długo na siebie czekać. Jestem niepokojny... serce mi bije gwałtownie, a nużę byłaby jaka zdrada. Ale nie, takie młode dziewczęta nie mają złych zamiarów. Jakby się teraz urządzić? Zapewne od razu przystąpię do rzeczy, tj. do wyznania miłości. W danym razie gotowem się ożenić, tj. jeżeli są grube bite, a niema, rozpoczniemy romansik. Co prawda, poszło dotychczas bardzo gładko. Jakoś nie przychodzi moja rusałka. Na stole leżą książki. Zobaczmy: „O pielęgnowaniu zębów“. Niezła rzecz. A ta druga: „Słów kilka o dentystyce“. Ta trzecia znowu o zębach. Co to ma znaczyć? Czy ona nie choruje na zęby? Mogłaby już przyjść. A możeby się lepiej wrócić. Ach! otóż i ona.

SCENA II.

Alfons — Letycya.

Alfons. Dzień dobry panience.

Letycya. Dzień dobry. Przepraszam, że tu samego pana zostawiłam, gdyż miałam w tej chwili pilne zajęcie. Proszę o trochę cierpliwości. Niech pan siada.

Alfons. Poczekam z największą chęcią. Jestem Alfons Gagatkiewicz.

Letycyą. Letycyą Wesołowska.

Alfons. Śliczne imię i nazwisko.

Letycyą. I pan możesz się poszczycić pięknem nazwiskiem. Gagatek znaczy przecież tyle co ulubieniec.

Alfons. Jestem szczęśliwy, jeżeli choć moje nazwisko pani się podoba.

Letycyą. Przepraszam, wszakże pana bolą zęby. Dla tej przyczyny sądziłam....

Alfons (na stronie). Oho! filutka, szuka pozorów przyzwoitości. Znamy się na tem. (*Głośno*). To jest niby trochę bolą, ale więcej serce. Ach! pani!...

Letycyą. Skoro się pan pozbędziesz bólu zębów, uspokoi się zapewne także serce.

Alfons. Pani lejesz balsam pociechy w me zbolełe serce, o pani!

Letycyą. Jesteś pan dziwnie sentymentalnie usposobionym. Niech się pan uzbroi w odwagę, gdyż w chwili stanowczej...

Alfons. Tak, zbliża się dla mnie stanowcza chwila. Moje serce...

Letycyą. Niech pan więcej myśli o zębach, boć te przede wszystkim pana bolą.

Alfons. Tak, zęby — to prawda, ale daleko więcej serce.

Letycyą. Ząb można wyrwać, ale serca nie można, gdyż utraciłbyś pan życie.

Alfons. Co mi po życiu bez wzajemności. Pani... pani zapewne czuje, co się dzieje w mem biednem sercu.

Letycyą. Sądzę, że pewna obawa przed operacją, ale pociesz się pan, to wnet przejdzie.

Alfons. O jakiej pani mówisz operacji? Zapewne sercowej?

Letycyą. Przecież pan powiedziałeś, że go bolą zęby, a więc w tym celu nie zaszkodzi mała operacya.

Alfons. Z rączek pani wszystko mi przyjemnem. Pani!... ja...

Letycyą. Czy pan bardzo cierpisz?

Alfons. Ach! tak, ból jest straszny, zwłaszcza ta niepewność... Pani!...

Letycyą. Wkrótce skończy się wszystko pomyślnie, a panu będzie lżej na sercu.

Alfons. Jestem pani bardzo wdzięczny za te słowa, które mi pozwalają napawać się słodką nadzieją, że pożądaný cel ziści ideał moich marzeń.

Letycja. Przepraszam, za chwilę przyjdę. (*Wychodzi*).

Alfons. Zaimponowałem jej ideałem marzeń. Już widzę, że jej serce podbite. Wkrótce nastąpi formalne wyznanie miłości. (*Wchodzi Letycja*).

Letycja. Teraz czas odpowiedni. Uzbrój się pan w odwagę, stanowcza chwila się zbliża, proszę wejść do pokoju. (*Alfons wchodzi*). A to jakiś dziwak; bolą go zęby, a wciąż plecie o sercu. Jakiż związek ma serce z zębami? My zresztą leczymy na zęby, ale nie na serce.

(*Z pokoju słyhać krzyk okropny:*) Gwałtu! ratujcie, wyrwano mi ząb zdrowy, krew się leje, rozbój!

(*Niedługo wybiega Gagatkiewicz i woła:*) Co to ma znaczyć? Ząb mi wyrwano. Przejmuje mnie ból okropny. Może szczeka przerwana?

Letycja. Nie obawiaj się pan, mój szef jest specjalistą w wyrzrywaniu zębów. Nie rozumiem, że pan krzyczy, przecież powinienś pan być przygotowanym, że dentysta rwie zęby, a taka operacya połączona zawsze z małym bólem.

Alfons. Co pani mówisz? u dentysty? Aj, boli, boli, strasznie boli. Zdrowiuteńki ząb wyrwany.

Letycja. Dziwisz się pan, że tu mieszka dentysta. Przecież na kamienicy jest tabliczka, przy drzwiach także, tu w poczekalni wiszą plakaty i leżą na stole książki o zębach; wszystko to powinno było pana przekonać, że wszedłeś do dentystycznego zakładu.

Alfons. Nie uważałem. Oj, strasznie boli! Mnie się zdawało zupełnie co innego.

Letycja. Jeżeli pan cierpisz na serce, trzeba było iść do lekarza np. dr. Czarneckiego, Kaszlińskiego, Ulatowskiego lub Wieczorka.

Alfons. Tak na serce, ale w innem znaczeniu. Ja szukałem wzajemnego serca.

*) Są to lekarze gnieźnieńscy. Jeżeli się odgrywa tę fraszkę w innem miejscu, trzeba wymienić miejscowych lekarzy, ile możliwości takich, którzy są obecni na przedstawieniu.

Letycya. Nie rozumiem pana. Trzymałeś pan chustkę na twarzy i szedłeś za mną, sądziłam zatem, że bolą pana zęby. Przecież pan wiesz niezawodnie, że jestem asystentką w tutejszym zakładzie.

Alfons. Pierwszy raz słyszę.

Letycya. Miałabyżby zająć omyłką?

Alfons. Oczywiście, że zaszła, a ja straciłem ząb zdrowy. Strasznie boli. Mówiłem przecież o ideale mych marzeń, wpadałem w zachwyt, a tu mi ni ztąd ni zowąd ząb wyrrywają.

Letycya. Stało się to wyłącznie z powodu pańskiej nieuwagi. Trzeba się było zapytać, jaki tu zakład. Mówiłam już poprzednio, że na ścianie wisi oznajmienie, a na stole leżą dzieła o zębach.

Alfons. Widzę, że zostałem niezrozumiany. Żegnaj panią.

Letycya. Panie, tak się nie godzi postępować. Proszę zaraz zapłacić honorarium. Należy się za operację 5 marek. Mówiłam przecież wyraźnie panu o operacji.

Alfons (szuka po kieszeniach). Jeszcze tego potrzeba. Wszystko się wali na człowieka. Co to jest? Nie mam portmonetki. Zapewne mi zginęła.

Letycya. Niech pan będzie łaskaw zapłacić, bo może nastąpić wielka dla niego przykrość. Mój szef nie żartuje, gotów zaraz posłać po policyanta, który zaprowadzi pana do więzienia. Możesz pan tymczasem złożyć zegarek jako zastaw.

Alfons. Przyznam się pani, że zegarek uczy się dawno hebrajki, tj. zastawiłem go u żyda, a ten łańcuszek, który kosztował niegdyś markę, noszę tylko dla parady. Zamiast zegarka mam w kieszeni kluczyk.

Letycya (zamyka drzwi na klucz). W takim razie idę donieść o tem szefowi. *(Wychodzi).*

Alfons. Przyznam się, że nie spodziewałem się tak prozaicznego zakończenia tej romansowej awantury. Najprzód wyrwano mi zupełnie zdrowy ząb, a potem każą sobie jeszcze płacić 5 marek, których nie mam. To rzecz straszna. Panna Letycya wychodząc, zamknęła drzwi na klucz, abym się nie ulotnił. Co za upokorzenie!

Mądra panna! Nie udała się ten raz miłosna wyprawa!
(*Wchodzi Letycya*).

Letycya. Pan szef prosi o podanie adresu. Możesz się pan oddalić, ale honorarium ma być w jak najkrótszym czasie zapłacone, w przeciwnym razie będzie wytoczona skarga sądowa. Ja osobno pana zaskarżę o nieuczciwe względem mnie zamiary.

Alfons. Oto mój bilet wizytowy. Zapłacę na słowo honoru. Zaręczam, że miałem najuczciwsze zamiary, gdyż byłem gotów w danym razie się ożenić.

Letycya. Pan nie ma nawet zegarka, a chce się żenić? Wybij pan sobie na zawsze podobne romanse z głowy, bo utracisz wszystkie zęby. Żegnam pana, a proszę nie zapomnieć o pięciu markach. (*Wychodzi*).

Alfons. Całuję rączki pani. Lekarstwo za 5 marek było skuteczne, ból serca ustąpił. Daję słowo honoru, że nie będę na drugi raz taki głupi i nie wniknę do zakładu dentystycznego, choćby mnie zachęcała piękniejsza panienka od Letycyi. Będzie to dla mnie przestrogą na całe życie. (*Zasłona spada*).

Uwaga. Gagatkiewicz jest typem próżniaka, zbijobruka, który myśli tylko o kartach, kieliszku i kobietach. W życiu jest taki młodzik wstrętnym, ale na scenie jest to bardzo sympatyczna rola. Można także dla wywołania większego wrażenia wprowadzić dentystę czyli zębiarza na scenę. Alfons się opiera, szamocze, ale dentysta chwyta go prze-mocą, sadowi na krześle i ząb wyrzywa. W tym celu trzeba mieć ząb przygotowany, który się pokazuje publiczności.

38. SEPARACYA.

Obrazek dramatyczny w jednym akcie.

OSOBY:

Wanda, młoda mężatka. — Zosia, garderobiana.

Rzecz dzieje się w Warszawie. Salon gustownie umeblowany.

SCENA I.

Wanda

(sama siedzi w fotelu — ubrana jak na wizytę — nieco rozdąsana).

Nie, to nie do zniesienia! to nad moje siły!

Mój mąż, zawsze tak dobry, uprzejmy i miły,

Od niejakiego czasu przybiera ton pana...
 Za słabo się wyrażam: srogiego tyrana!
 Najmniejszej przyjemności wzbrania absolutnie;
 To niegodnie! bezwstydnie! a nawet okrutnie!
 Możnaż wina, że jakiś młody zapaleniec
 Ściga mnie nieustannie? zwyczajnie szaleniec!
 Jakich w każdej stolicy liczą na tuziny,
 Z cygarem i lornetką szuka heroiny; (*wstaje*).
 Ja się na nią nie piszę, daremne staranie,
 Szkoda twoich przymileń, mój rozkoszny panie!
 Mam męża, i wiem o tem, uczciwa kobieta
 Nie pobiłdzi płochością, złudzeń się nie chwytą;
 Lecz mój mąż nie zna, widzę, jeszcze serca mego,
 Kiedy się mógł dopuścić czynu tak zdrożnego!
 Wczoraj pani Milecka — wdowa po prezesie,
 Której mąż straszny kutwa, jak nam fama niesie,
 Zmarł tknięty apopleksją, przegrawszy w ekarte...
 Mając dom dla przyjaciół i serce otwarte —
 Zaprosiła mnie z mężem na wieczór muzyczny...
 Cel zabawy niewinny, nawet estetyczny;
 Małe grono dam zacnych z wyborem młodzieży,
 Bawiło się wesoło, uprzejmie, najszczerzej;
 Wtem lokaj anonduje hrabiego Wacława!
 Jakby uciął... wnet miła przerwana zabawa;
 Pan hrabia ma renomę młodego wietrznika,
 Co każde towarzystwo postrachem przenika;
 Zwykł wpadać do salonu, chociaż nieproszony,
 Szastać się, jak szaleniec i prawie androny,
 A ufny, że w Paryżu brał lekcyę na szpady,
 Szuka między młodzieżą zaczepki i zwady;
 Już kilka pojedynków miał podobno skrycie;
 Ztąd go młodzież unika, dbając o swe życie;
 Prezesowa, zmieszana tak dziwną wizytą,
 Grzecznie go zapytuje, choć z niechęcią skrytą:
 Jakiemu przypadkowi przypisywać może
 Odwiedziny hrabiego o tak późnej porze?
 On z zwykłą bezczelnością na to odpowiada:
 Że wszędzie chętnie gości, gdzie jaka biesiada:
 Odpowiedź tak naciwna jednych rozśmieszyła,
 Drugich przeciw hrabiemu mocno oburzyła;
 Powstały ciche szepty, dwuznaczne spojrzenia;
 Lecz pan hrabia bynajmniej roli nie odmienia;
 Podług swego zwyczaju damy lornetuje,
 Młodzież mierzy z ukosa, a z mężów żartuje;
 A... na domiar trzpiotostwa i lekkomyślności,
 Do mnie zawraca oczy i prawi grzeczności...
 Mój małżonek co zawsze gorąco kapany,
 Tą śmiałością młodzika mocno rozgniewany,
 Rzekł z naciskiem: „Mój panie! zwracaj w inną stronę
 Swoją modną lornetkę, nie na moją żonę!“

I niewiele myślący, zegna prezesową,
 Mnie zaś podaje rękę, i tak obcesowo
 Wywodzi mnie z salonu ta zazdrosna dusza,
 Żem nie zdążyła nawet włożyć kapelusza;
 Obrażona tą akcją, rubaszną nad miarę,
 Wyrzekłam mu przez drogę prawdy słówek parę;
 Pan mąż w powozie milczał, ale za to w domu
 Nie życzę takiej burzy doświadczać nikomu,
 Uderzył na mnie z całą swych podejrzeń siłą,
 Wmawiał to, o czem mi się nigdy ani śniło;
 A nawet śmiał powiedzieć, w chwili uniesienia,
 Że ja byłam przyczyną całego zdarzenia...
 Że moją kokieteryą hrabia... ośmielony;
 Spadł, jak bomba, na wieczór wcale nieproszony;
 Ten zarzut dotknął silnie biedne serce moje,
 Gniew i żal niewymowny wywołał łez zdroje!
 A chcąc położyć koniec memu udręczeniu,
 Rzekłam bez myśli parę słów o rozłączeniu;
 Jak piorunem rażony, lub kulą wśród boju,
 Pan mąż pobladł, zachwiał się i wyszedł z pokoju!
 Żal mi się go zrobiło, już przeprosić chciałam,
 Lecz byłam tak znużoną tem, czego doznałam,
 Żem w kilka minut potem na piękne zasnęła;
 I tak burza wraz ze snem jakoś przeminęła;
 Dziś... on musi przepraszać, ja nie myślę wcale...
 Dość już tej uległości, tak mój ideale!
 Za wczorajsze wyrzuty, hałasy, wywody,
 Musisz pięknie przeprosić, jeśli pragniesz zgody!
 Ci panowie mężowie, to jak dzikie koty,
 Gdy słabość żon poczują, straszne czynią psoty!
 Dajcie ich moje panie na nauczkę do mnie,
 Poznają, jak to trzeba żyć grzecznie i skromnie!
(Spogląda na zegarek).

Wszak to już po dziesiątej, w sam czas do kościoła;
 Zosiu! Zosiu! pewnie śpi, kto się jej dowoła!? *(Dzwoni).*

SCENA II.

Wanda i Zosia *(z listem)*.

Wanda.

Znowu drzymiesz! ty nigdy wyspać się nie możesz;
 Pojadę do kościoła, płaszcz mi wdziąć pomożesz.
 Cóż to za list masz w rękę?

Zosia *(smutno)*.

Ej! to list od pana.

Wanda.

Dla czegoś taka smutna? nawet zapłakana?!
 Mów! czy jaki przypadek?

Zosia (oddaje list).

Niech pani przeczyta!
My jesteśmy zamknięte w więzieniu i... kwita!

Wanda.

W więzieniu? nie rozumiem! (*czyta:*) „Moja pani żono!”
(*Mówi:*) Co za ton osobliwy?! (*czyta:*) „Wczoraj rzekłś sama,
„Że pragniesz żyć ode mnie zdala... odłączoną.
„Zgadzam się; lecz niech pierwej przyjdzie twoja mama,
„Już telegrafowałem — dzisiaj ją powitasz.
„Ale, od chwili, w której pani ten list czytasz,
„Nie możesz wyjść ni krokiem z twojego salonu,
„Aż do przybycia matki! — Jej sługa do zgonu“.
(*Z wybuchem łez pada w krzesło.*)

Ach! tego już za wiele! o ja nieszczęśliwa!
Zdrajca! z taką łatwością święte śluby zrywa!?
On mnie nigdy nie kochał! ach! ten przeniowierca!
To nie mąż, ale tyran, okrutnik bez serca!
Żartem słowo wyrzekłam dla poparcia racyi,
On już telegrafuje, że chcę separacyi!...
I co matka pomyśli o tej całej sprawie?
A co to plotek teraz będzie po Warszawie?
O niegodny Gustawie! za tyle miłości
Odplacasz mi dziś wzgardą! o węzu chytryści!
Serce mi pęka z żalu!... tego nie przeżyję!...
Jestże nad moje... większe gdzie nieszczęście czyje?
Gdybym choć tego zdrajcy nie kochała tyle,
Znośniejsze by mi były rozłączenia chwile;
Lecz, jam w nim moją całą duszę utopiła! (*szlochając*).
A on... zgrozo!... chce, bym z nim w separacyi żyła!...

Zosia (płacząc).

O pani! droga pani jeszcze zachęruje!

Wanda.

Owszem, ja chcę chorować! niech ten mąż uczuje,
Jaki cios zadał sercu, co go tak kochało!...
Nie, nie, nie chcę choroby, o! bo tej za mało!
Pragnę śmierci, tak śmierci w okropnem cierpieniu,
Niech dźwiga ślęczny wyrzut na swoim sumieniu.
(*Słychać dzwonienie.*)

Ktoś dzwoni! może to on?.. Zosiu, idź się dowiedz,
Jeżeli by kto obcy: „nie ma pani“ powiedz. (*Zosia odchodzi*).

Wanda (idzie do zwierciadła, ociera oczy i twarz chustką).

Mój Boże! jakżem blada, oczy zapłakane...
Może się cieszyć zdrajca... tryumfować skrycie,
Że mi zadał cios srogi i zatruił mi życie!

SCENA III.

Wanda i Zosia (*wracająca z nowym listem*)

Zosia.

Od pani Zalotnickiej. (*Oddaje*).

Wanda.

Zkądże owa łaska?

Cóż może pisać do mnie ta chodząca maska,
Co z daleka już trwoży wszystkich swem bielidłem?
I dwóch słów nie mówiłam nigdy z tem straszidłem!
(*Czyta:*) „Aniołku! wybacz, proszę, moją niedorzeczność,
„Że sama nie przybywam, może to niegrzeczność,
„Zbyt wielka z mojej strony; ale mi wybaczysz,
„Gdy mój bilet odczytać i zrozumieć raczysz:
„Wydaję dzisiaj wieczór tancującą kawę;
„Mnóstwo osób sproszone mam na tę zabawę:
„Będzie książę, pan baron świeżo kreowany,
„Hrabina Małomiejska, i markiz ci znany;
„Słowem, towarzystwo świetne, jakich mało,
„Tylko nam do kompletu ciebie brakowało.
„Przyjedź, jeżeli mnie kochasz, cudowna zabawa,
„Spodziewam się mieć nawet hrabiego Wacława,
„Twojego wielbiciela .. na niebios sklepienia
„Zaklinam cię, przybywaj! Adieu! do widzenia!“

(*Rozgniewana siada i pisze dyktując:*)

„Przepraszam, nie byliśmy dotąd w zażyłości,
„Byś mnie pani liczyła w poczet swoich gości;
„Nie ubliżam nikomu; lecz jej zaproszenie
„Obraża mnie i męża. Kłaniam uniżenie!“

(*Pieczętuje list i oddaje Zosi*).

Oddaj to lokajowi. (*Zosia odchodzi*).

To śmiałość bez granic!

Dobre imie kobiety, jej sławę mieć za nic?!

(*Drze list Zalotnickiej*).

Pisać podobne rzeczy, to do zadziwienia!

Szczęściem Gustaw nie widział tego zaproszenia;

Mógłby sądzić, że żyje z tą panią w przyjaźni!

Ach! jak mnie wszystko nęka, oburza i drażni!...

Dziwaczną czasem bywa w poźyciu przemiana:

Dotąd byłam szczęśliwa, czczona, poważana;

Dziś, fatalnem zrzędzeniem, jedno poróżnienie,

Strąca mnie z szczytu szczęścia w smutne poniżenie!

Kobieta, ledwie znana, którą gardzę w duszy,

Dorzuca jawnych obelg do moich katuszy;

O Gustawie! Gustawie! jakżeś ty okrutny!

Godziłoż się twej żonie orzec los tak smutny?! (*po chwili:*)

Gdybym też napisała bilecik do niego?

Tłumaczac się z wyrazu tyle nieszczęsnego...

On ma tak czule serce, on by mi darował! (*Z westchnieniem:*)
 Ach, zapóźno! po matkę już telegrafował!
 Prawdziwie to niegodnie, mściwie z jego strony!
 Zeby tak srogo karać jeden wyraz żony;
 Przecież on jest mym mężem, mógł oddać wet za wet;
 Mógł mnie złać, wykrzyzczyć i poszturchać nawet...
 Nikt by mu nie zabronił, ma prawo do żony,
 Byłabym popłakała i... proces skończony;
 Nie... jak student w milczeniu... zagryźć mściwe wargi,
 I dalejże przed matką rozpościerać skargi..
 O stokroć są szczęśliwsze żony gminnych ludzi,
 Ich miłości drobnostka żadna nie ostudzi:
 Choć się czasem pokłóć, podrapiać, wycubiać,
 To wkrótce się przeproszą, i znowu się lubią;
 A nasi wykształceni panowie mężowie...
 Jeżeli się który zgniewa... i słowa nie powie;
 Lecz woła adwokata... żąda separacyi... (*grozi i tupie nogą*)
 Oj trzeba by tym panom porządnej kuracyi! ..

SCENA IV i ostatnia.

Wanda i Zosia (*z listem*).

Zosia.

Michał, odzwierny, oddał nowy list do pani.

Wanda (biorąc).

Od Gustawa! (*ociera oczy*) ach tyran! jak mi serce rani!

(*czyta:*) „Kochana, droga Wando!

(*całuje list z rozrzewnieniem*)

Mój mężu kochany!

(*Czyta:*) „O poprawie i o żalu twoim przekonany,

„Nie chcę cię dłużej dręczyć i prawdę wyjawię:

„Twoja matka od rana dziś gości w Warszawie,

„Nie wskutek telegramu, bo ten był zmyślony;

„Przyjechała po prostu do córki stęsknionej;

„Stoi w saskim hotelu, na uściski czeka;

„Niechże pani małżonka i chwili nie zwleka,

„Ubiera się co prędzej; konie już gotowe,

„Punkt jedenasta przyjadę po moją królowę!

„Separacyi nie będzie, to wszystko udanie,

„Jest to figiel za twoje wczorajsze dąsanie;

„List pani Zalotnickiej także dziełem mojem,

„Musiałem cię za mój ból skarcić niepokojem;

„Twój najczulszy małżonek!“ (*mówi:*)

Łotrze! filucie!

Na taką straszną próbę narażać me czucie!?

Poczekaj panie mężu! za tego psikusa

Musisz mnie długo dzisiaj prosić o całusa!

Zosiu! czegoż ty stoisz i dumasz daremnie?

Jedenasta dochodzi, a ubierajże mnie!

Zosia.

Czy pani płaszczyk wdzije?

Wanda (wskazuje)

Nie widzisz mantyli?

Zosia

Tam dziś chłodno na dworze!

Wanda (z ożywieniem).

Nie trać próżno chwili!

Ona prawi o zimnie, a jam w ogniach cała?

(Idzie do zwierciadła, ociera twarz chustką).

Ani śladu na twarzy, żem dzisiaj płakała.

(Zosią podaje kapelusz, mantylę, ona się ubiera przed lustrem z kokieterią).

O poczekaj lamparcie! tak mnie irytować!

Jegomość za ten figiel musisz pokutować!

(Z kaprysem do Zosi).

Kapelusz zapyłony, (otrzepuje) na nic nie uważasz,

Zamiast żonę przeprosić, podstępem obrażasz?

Nie myśl, panie Gustawie, że ci to daruję,

Ja cię przed moją mamą pięknie odmaluję! —

Dawaj prędzej mantylę, ach jakżeś niezgrabna!

Spiesz się! — Do separacyi! intryga powabna,

Poczekaj, nic dobrego! dam ci rozłączenie...

Przecież ja ładną jestem, może powiesz, że nie?

Dziś chciałabym się całej podobać Warszawie!

(Zegar bić zaczyna 11-tą).

Zosia.

Pani! pani! pan idzie!

Wanda (biegnie na środek, jakoby się rzucała w objęcia).

Kochany Gustawie!! (Zasłona spada).

r. ski.

Uwaga. „Separacya“ jest to tak zwana sztuka salonowa, to znaczy, że przeznaczona głównie dla osób wykształconych i starannie wychowanych. Rola „Wandy“ jest bardzo wdzięczną, ale można ją też łatwo popsuć. Przyczynia się wiele do podniesienia gry elegancka scena i piękny ubiór. Zwracamy jednakże uwagę, że „Wanda“ jeżeli ma sprawić widzom istotną przyjemność, musi grać, a nie wyłącznie d eklamować,

39. Nie ma to jak handel wódką.

Fraszka sceniczna.

OSOBY:

Kuba, Bartek, parobczaki. — Jędrzej, stary gospodarz.

SCENA I.

Kuba. Dziwna to rzecz, że człowiek już skończył na święty Jakób 28 lat, a jestem bez grosza. Walek Czajkowski, mój szkolny kolega, uskładał sobie 200 talarów i ożenił się w gospodarstwo. Kaśka mi sprzyja i gotowa pójść za mnie, ale ojciec nie chce na ślub pozwolić, gdyż powiada, zem pijak. Czy ja tak mocno piję? Co prawda, nie ma dnia, aby się nie wypilo choć kieliszka wódki. Żeby to tak można pić darmo, ale broń Boże! bez kradzieży i oszukaństwa. A gdyby kupić sądek okowity? Byłoby taniej, ale piłoby się jeszcze więcej. Już wymyśliłem: trzeba kupić, większą część odprzedać, a napije się człowiek darmo i jeszcze się zarobi parę groszy. Idzie Bartek — on ma pieniądze, bo lubi wprawdzie też pić wódkę, ale żał mu wydać parę groszy. On przystanie na spółkę. (*Wchodzi Bartek*).

SCENA II.

Kuba, — Bartek.

Kuba. Pójdź tu Bartek, gdyż mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Bartek. A cóż takiego?

Kuba. Wiele masz pieniędzy?

Bartek. Przy sobie mam dziewięć złotych, ale przeznaczone są na buty, bo chodzę na podeszwie, a boso mnie znąć.

Kuba. Dziś jest odpust w Dąbrówce. Teraz jest dopiero siódma godzina rano, a więc pójdziemy do Dąbrówki.

Bartek. Poszedłbym chętnie, gdyż w karczmie będzie muzyka, a niezawodnie przyjdzie Franka, ale obawiam się, abym nie stracił pieniędzy na buty.

Kuba. Słuchaj, brachu, co wymyśliłem. Zabawimy się dobrze, napijemy się wódki do syta, a jeszcze może po dwa a może i po trzy złote zarobimy.

Bartek. Mądry chłop z ciebie, jeżeli ci się to uda.

Kuba. W Dąbrówce jest tylko jedna karczma. Kupimy sądek okowity, dobierzemy wodą i będziemy sprzedawali gdzie na uboczu trochę taniej, niż w szynkowni, a wnet wódkę sprzedamy. Nie ma to jak handel wódką.

Bartek. Ale za co kupimy okowity? Kupiłbyś pies wieś, ale pieniądze gdzieś.

Kuba. Mam trzy złote, ty dasz dziewięć, zatem będziemy mieli 12 złotych. To wystarczy na początek.

Bartek. A buty?

Kuba. Głupiś z twemi butami. Toć jak się sprzeda wódkę, wróć się pieniądze i będzie zysk, który podzielimy na trzy części; ty wezmiesz dwie części, a ja tylko jedną, bo dasz więcej.

Bartek. Jeżeli to prawda i jeżeli się napiję do woli wódki, jestem gotów dać dziewięć złotych, ale dziś jeszcze muszę je mieć z powrotem.

Kuba. Nie bój się niczego. Dawaj tylko pieniądze, bo czas się spieszyć. (*Bartek wydobywa pieniądze i daje Kubie*).

Bartek. Żeby tylko nie było jakiego cygaństwa.

Kuba. Toć nie jestem cyganem. Poczekaj trochę, a wnet przyjdę. (*Odchodzi*).

SCENA III.

Bartek. Kuba mądry chłop, ale jednak mam strach wielki, żeby nie stracił czasem 9-ciu złotych. Ale myślę, że nie stracę, bo będę uważał. Dobra to rzecz pić darmo gorzałę i jeszcze zarobić. Kuba mądry, ale pieniądze się go nie trzymają. Mniejsza o to, byłem tylko zarobił i darmo się wódki napił. Zanim przyjdzie Kuba, zaśpiewam sobie piosenkę:

A gdzie to ten kusy Janek,
Co chodził z toporkiem?
Koszturęm się opasywał,
A podpierał workiem.

Miał on studnię za swym piecem,
Czerpał z niej przetakiem;
A widłami ryby łowił,
Wilki strzelał makiem.

Miał on wielkie gospodarstwo,
Miał i bydło hojne:
Cztery koty do roboty
I dwie myszy dojne.

Ściany były z pajęczyny,
A okienka z lodu,
Więc przy takim dobrobycie
Umarł Janek z głodu.

Już idzie Kuba i dźwiga tęgi sudek. Będziemy pili jak byki. (*Wchodzi Kuba*).

SCENA IV.

Kuba. A więc kupiona okowita i już dobrana. Tu są oto dwa kieliszki. Ten większy dawać będziemy po 8 fenygów, a ten mniejszy po 4 fen.; zatem taniej niż w karczmie. Wyrachowałem, że zarobimy 9 złotych. Ty weźmiesz 6 złotych, a ja tylko 3 złote. Oprócz tego wypijemy sporo kieliszków darmo.

Bartek. Przebiegły z ciebie człowiek. Tybyś pewnie samego żyda oszukał.

Kuba. Cicho, to jeszcze nie koniec. Będziemy co niedzielę wódką handlowali. W pierwszym roku zarobimy po 600 złotych, a w drugim już po 2000 złotych, bo co rok będziemy więcej sprzedawali. Kupimy sobie wóz i konia i będziemy jeździli jak panowie, a flacha dobrej wódki zawsze w siedzeniu.

Bartek. Niechże cię uściskam za twoje rozumy.

Kuba. Wtedy dostaniesz za żonę Frankę, a ja Kaśkę.

Bartek. Oj, Franka, Franka, siarczystą z niej dziewucha!

Kuba. Teraz trzeba spróbować wódki i wyruszyć w drogę. Zdrowie twojej Franki! (*Nalewa kieliszek wypija, a potem podaje Bartkowi*). Oj, ostra, oj dobra nasza.

Bartek (pije). Wódka niczego, pali na dołyszku.

Kuba. Wiesz co trzeba poprawić, jak to mówią, klin klinem wybić. Na pomyślność naszej spółki!

Bartek. Niech żyje nasza spółka! Niech żyje mądry Kuba!

Kuba. Niech żyje Bartek! A teraz w drogę, bo półtorej mili jest co machać. Ja najprzód poniosę sądek, a potem ty Bartek.

Bartek. Chętnie poniosę, bo któżby nie chciał dźwigać wódki kochanej. (*Wychodzą za scenę i wnet wracają*).

Kuba. Uszliśmy spory kawał, trzeba teraz odpocząć w chłodzie i pałać znowu po jednemu.

Bartek. Możeby nie pić tak wiele, bo gotowiśmy wszystko wypić. A moje buty?

Kuba. Głupis z twemi głupiemi butami. Przecież my pijemy z naszego zarobku, a kapitał nienaruszony.

Bartek. Jak ty dziwnie mówisz! Kata pił, kapąły, pił kata. To coś od picia, bo wyraźnie słyszałem, że była mowa o katach i piciu.

Kuba. Z ciebie chłop głupi. Każdy grosz uzbierany zowie się kapitałem, który przynosi odsetki czyli procent tj. zarobek. Otóż nasz zarobek możemy przepić, byleby nie naruszać kapitału, tj. owych 12 złotych, za które kupiliśmy wódki. Rozumiesz teraz, ośła głowo?

Bartek. Niby rozumiem, przecież ośłem nie jestem. Kiedy tak, to daj kieliszek z tej kapitały, ale nie z kopąły, tylko z zarobku, bo mi strasznie pachnie gorzała.

Kuba. Miarkuję, że pojąłeś. Widzę, że nie jesteś ośłą głową. Ale wiesz ty co? pijmy teraz za pieniądze. Jak ja wypiję, zapłacę tobie trojaka, a jak ty wypijesz, zapłacisz do mojej kieszeni także trojaka. Kto trzy kieliszki wypije, dostanie czwarty darmo. Przecież to wyjdzie na jedno, czy my zapłacimy, czy inni ludzie, byleby pieniądze wpłynęły.

Bartek. Zgoda, panie kupiec. Proszę za trojaka kielich wódki, bo mi w gardle wyschło, tu jest trojak. (*Kuba podaje, Bartek pije*).

Kuba. A teraz ja sobie kropnę, tu jest mój trojak. (*Bartek nalewa kieliszek i bierze trojak*).

Bartek. Jeszcze jeden kieliszek, tu masz trojaka. (*Kuba nalewa*).

Kuba. Naśladuję twój przykład, bierz trojaka. (*Pije*).

Bartek. A teraz trzeci kieliszek, aby można wypić czwarty darmo. Tu jest trojak. (*Pije*).

Kuba. Toć i ja łyknę za trojaka, a zaraz grzmotnę czwarty kielich, bo to darmo.

Bartek. Dawaj czwarty, a prędko. Ile też mamy w kasie pieniędzy?

Kuba. Będzie najmniej 60 fen. Zresztą porachujmy. (*Szuka po kieszeniach*). Co to jest? Mam tylko jednego trojaka.

Bartek (*przeszukując kieszenie*) U mnie tak samo, gdzie się podziały inne trojaki? Jest to jakieś cygaństwo.

Kuba. Wyjeżdżasz wciąż z cygaństwem. Przecież płaciłem rzetelnie zawsze trojaka za każdy kieliszek.

Bartek. I ja tak samo. Czy nas kto oszukał, czy co?

Kuba. Co się tam będziemy sprzeczały o parę głupich trojaków. Może się to później wyjaśni. Bierz sądek na plecy i dalej w drogę do Dąbrówki. Ale czekaj, najprzód dobrze zaszpunktuj. (*Bartek bierze sądek źle zatłaczony, wódka się leje*).

Bartek. A więc idźmy.

Kuba. Spieszmy się, bo już późno. (*Chodzą trochę po scenie, zataczają się, a z sądka wciąż się leje*). Zkąd się tu wzięła mokość, przecież niedawno było sucho.

Bartek. Sprawiedliwie, że jest jakaś mokość.

Kuba (*schyla się i próbuje*). Do stu siarczystych piorunów, przecież to wódka. Co ja widzę? Sądek otwarty, wódka się leje potokiem. Kapitał stracony.

Bartek (*zdejmując sądek*). Prawdziwie, że ciecze gorzała ze sądka. Tyś winien, boś dobrze nie zaszpunktował. Za tę szkodę zapłacisz.

Kuba. Cicho, boś ty winien. Ty miałeś sądek, a nie ja.

Bartek. Hej, hej, moje buty! A to mi ładny handel wódką. (*Uderza w twarz Kubę*). Masz kapitał i procent, a nie oszukuj.

Kuba (*uderza także Bartka w twarz*). Masz z procentem, ty ośle jeden dardański, głuptasie, pijaku obrzydły, nieczciwiaro.

Bartek. A co tego to za wiele. Moje życie, albo twoje. (*Parobcy walą się pięściami, potem chwytają*

się w pasy, szamocą się a nareszcie padają na ziemię, ale wciąż się walą i krzyczą).

SCENA V.

Ciż i stary Jędrzej.

Jędrzej. Co to za bijatyka i hałasy? Co ja widzę? Wszakżeż to Kuba z Bartkiem się biją, a sądek od wódki stoi. Bójcie się Boga, pijaki, zaraz przestańcie. W Dąbrówce odpust, a wy dajecie publiczne zgorszenie. Oto patrzcie, moi państwo, do czego prowadzi pijatyka. *(Kuba i Bartek wstają).*

Kuba. Bo to widzicie, Jędrzeju, Bartek niósł sądek i wylał wódkę.

Bartek. Ale Kuba nie zaszpuntował dobrze; szpunt wyleciał, przeto wódka się wylała.

Jędrzej. Nie rozumiem waszej mowy.

Kuba. To było tak. Kupiliśmy sądek wódki, aby sprzedać na odpuscie w Dąbrówce. Co prawda wypiliśmy kilka kieliszków, ale płaciliśmy rzetelnie sobie po trojaku, tj. jak ja wypilem, dałem Bartkowi trojaka.

Bartek. A ja znowu płaciłem za każdy kieliszek Kubie.

Kuba. Wystawcie sobie, Jędrzeju, że wypiliśmy po trzy kieliszki, a więc powinno być sześć trojaków, a są tylko dwa.

Bartek. Ja mówię, że to albo cygaństwo, albo czary.

Jędrzej. Ile z was każdy miał trojaków?

Kuba. Ja miałem trojaka.

Bartek. Ja też, bo resztę wydałem na kupno wódki.

Jędrzej. O wy kapuściane głąby! I tego nie możecie pojąć? Te dwa trojaki wciąż wędrowały z jednej kieszeni do drugiej, a nie mogło być więcej, bo jeden drugiemu płacił tym samym trojakiem.

Kuba. Pewnie, że tak było. Ja to pojmuję, ale Bartek nie pojmie, bo on za głupi.

Bartek. Bartek jest głupi i bardzo głupi, gdyż się dał skusić do kupienia sądka wódki, bo sam mówiłeś, że nie ma to jak handel wódką. Głupi Bartek, ale i Kuba niemądry. Już na drugi raz nie dam się skusić, choćbyś mi obiecywał złote góry.

Jędrzej. Parobcy, zastanówcie się co robicie. Odpust w Dąbrowce, a wy zamiast iść na nabożeństwo, kupujecie sądek z wódką, aby sprzedawać, a nie modlić się w kościele. W taki sposób chcecie uczcić Najświętszą Maryą Pannę, która brzydzi się pijaństwem. Czyż takim ludziom może Bóg błogosławić? Do was można zastósować przysłowie, że „odpust — to rozpust“. Nie uszanowaliście dnia świętego, splugawiliście go pijatyką, otóż nastąpiła kara, bo straciliście pieniądze i na dobitkę przyszło pomiędzy wami do bijatyki. Poprawcie się, a najlepiej będzie, że od dziś dnia z wódką rozbrat zrobicie. Przrzekacie mi, że wódki pić nie będziecie?

Kuba i Bartek. Przrzekamy.

Bartek. Szkoda moich butów.

Jędrzej (wznosząc ręce do góry) Najświętsza Maryo Panno, Przeczysta Dziewico, Królowo Korony Polskiej, przyczyni się za nami do Boga, aby pijaństwo, ta największa plaga naszego narodu, przepadła na zawsze pomiędzy Polakami! Jezu Miłosierny, zmiłuj się nad nami i daj nam upamiętanie! Niech zginie pijaństwo, niech kwitnie wstrzemięźliwość! (*Zasłona spada*).

Uwaga. Do większej wesołości przyczynić się może, jeżeli się na scenie dolewa wodą okowitę w sądku. Gdy Bartek bierze na plecy, powinna lać się strumieniem wódka, tj. woda, boć prawdziwej wódki w sądek nikt lać nie będzie. Kto chce i czuje się na siłach, może przerobić piątą scenę na więzienie, w którym Kuba i Bartek opowiadają sobie przygody dnia wczorajszego, jak na odpuscie popelniali różne wybryki, za co osadzono ich w więzieniu. Bartek może inną pieśń zaśpiewać, albo jaki wiersz wygłosić.

40. Rozmowa pana z Michałem.

Przez Stefana Witwickiego.

Pan.

Cóż, Michale, tam na dworze?

Michał.

Deszcz, że człowiek wyjść nie może,
Brzydko panie, zawierucha,
Wiatr szkaradny. Niech pan słucha.
Aż strach, jaka wciąż ulewa.

Pan.

Więc przyłóż na komin drzewa.

Michał.

Mam też suche... Niech pan siada...
Oj tak, deszcz okrutny pada.

Pan.

Daj-no książkę tę ze stołu.

Michał.

Ta co z wierzchu, czy ta z dołu?

Pan.

Tę, którąś rozcinał z rana.
Ta, ta, daj ją.

Michał (podając książkę).

Proszę pana,

Choć raz muszę się zapytać,
Co pan wciąż tak może czytać?
Ja to o tych książkach słyszę,
Lecz nie wiem, co się w nich pisze,
Pan musisz znać doskonale.

Pan.

Różne rzeczy, mój Michale.
Historye, różne dzieje,
Przez jakie świat szedł koleje,
Jakie były sławne ludy,
Jakie wiary były wprzód.
Opisują różne kraje,
Wojny, prawa, obyczaje,
Jacy wielcy ludzie byli,
Jacy króle gdzie rządzili,
Co, dlaczego tak się stało.

Michał.

Na co to się, panie, zdało.
Dość kłopotu na tym świecie
Myśleć, by człek wyżył przecie,
Bo to teraz zewsząd bieda,
Na co to się, panie, przyda,

Jeszcze tam dochodzić głową,
Czy na przykład to, czy owo,
Te tam dawne wojny, straty,
Jak tam było gdzieś przed laty.
Było, panie, to już było,
Tak Bóg chciał, tak się zrobiło.

Pan.

Popraw ogień.

Michał.

Pan się śmieje,
A to prawda... Jak deszcz leje!
Wszystko zniszczy... To tak właśnie
Jak dziecko, które nie zaśnie,
Aż mu bajkę gadaj wprzód.
Praw mu dziwolągi, cudy,
O królewnach tam mospanie,
O trzech braciach, o sułtanie,
Że t'm ktoś miał skarby, zbytek...
Jakiż, panie, w tem pożytek?
Dziecko, to tem się i bawi,
Matka ciemna, to mu prawi.

Pan.

Jak to, stary! Te powszednie
Bajki, te kuchenne brednie,
Kładziesz w równi.

Michał.

Nic to, panie,
Cóż tam moje proste zdanie.
My zwyczajnie na to ślepi,
Pan czyta, więc wie najlepiej.
Proszę pana mnie się roi,
W nich chyba coś więcej stoi.
Jeżeli pan ma wolną chwilę,
Bo to, panie, ksiąg jest tyle,
Że liczba niezrachowana,
Różnej formy, proszę pana.

Pan.

W książkach także jest wykrycie,
Jak trzeba prowadzić życie,
Że tylko prawdziwa cnota
Do szczęścia otwiera wrota.
Żeby ludzie byli zgodni;
Że zawsze od wszelkiej zbrodni
Praca jest najlepszą tamą.

Michał.

Proszę pana, toż to samo,
Byle na mszę pójść w niedzielę,
Można słyszeć i w kościele.
A ksiądz, człowiek też nie lada,
Różnych nauk dość posiada;
Niejednego, kto zbrodniczy
Złaje, nawet i wykrzyczy...
Lecz cóż! Panu rzecz ta znana,
Ludzie ludźmi, proszę pana,
Gdy w kościele, wtedy słyszą,
A z kościoła, znowu grzeszą.

Pan.

Więc źle robią, mój Michale.

Michał.

Bardzo źle. Ja też nie chwale.
Powiedz mi pan z łaski swojej,
Jak w tych różnych pismach stoi,
Co się też na przyszłość stanie?

Pan.

Śmieszne czynisz zapytanie.

Michał.

Bo to panie najciekawsze,
Czy już tak ma być na zawsze,
Jak jest dotąd. Czy się przecie
Raz polepszy na tym świecie?

Pan.

A polepszy w jakiejś porze.

Michał.

Kiedyż, panie, to być może?

Pan.

Wtedy, gdy tak jak należy,
Rozum światło swe rozszerzy,
Gdy ciemnota zniknie wszędzie,
Gdy ksiąg jeszcze więcej będzie.
Kiedy nauk skarb otwarty....

Michał.

Proszę pana, wolne żarty.
Od kiedy to w takim trudzie
Tych się nauk uczą ludzie,
Od kiedy już księgi piszą,
Co gdzie tylko widzą, słyszą,
W różnym, panie, tam języku,
To już właśnie, że bez liku.
Według tego w każdym kraju
Jużby było dziś jak w raju.
A tu, panie, zawsze bieda,
Choć grosz przyjdzie, to się wyda,
Wciąż drożyzna niesłychana...
To nie warto, proszę pana,
Cóżby się tam ludziom snuło.

Pan.

No, idź sobie już, gaduło!

Uwaga. Gawęda ta odnosi się wprawdzie do dawniejszych czasów, jednakże i dziś miło jej posłuchać. Odgrywający pana, może swą rolę odczytać z książki, którą mu Michał poda. Także nadaje się ta rozmowa do deklamacyi dla jednej osoby, ale trzeba w takim razie tak wygłaszać, aby było widoczne, kiedy pan i kiedy sługa mówi.



41. FLORA.

Krotochwila do odegrania podczas uroczystości weselnych.

OSOBY:

Agapit Brzezinkiewicz.

Stanisława, jego żona.

Baltazar Dąbrowiecki, ojciec Stanisławy.

Kordula, jej ciotka.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu Brzezinkiewiczów.

SCENA I.

Kordula. — Stanisława.

Kordula. Dopiero tydzień po weselu, a jesteś niezadowolniona, droga Stasiu! Co ci dolega? Masz jakiś kłopot. Oho — mam ja dobre przeczucie. Czyby, broń Boże, Agapit co przeskrobał?

Stanisława. Nic, nic, kochana cioteczko, chwilowe rozdrażnienie, ale to przejdzie.

Kordula. Powierz mi swoje smutki, może ci poradzę; gdy mi wywnętrzysz swą boleść serdeczną, nastąpi z pewnością ulga.

Stanisława (wybuchu płaczem). Ciociu droga, ten Agapit! Ach! drętwieję cała.

Kordula. Cóż takiego? Dziecię, ty mnie przerażasz! Co zrobił Agapit?

Stanisława. Nie, tego nie mogę wypowiedzieć — okropność, rzecz straszna, rozwód musi nastąpić — choćby w tej chwili.

Kordula. Już nawet rozwód. Jakoś bardzo prędko. Myślałam sobie często, że coś nastąpi, gdyż w pasyansie wciąż winna dama czepiała się czerwienego króla. Oho! karty mnie nigdy nie mylą. Ale gadajże przecież, co popełnił twój Agapit?

Stanisława. Ciociu, nie nazywaj go moim. Agapit... Agapit... ach! drzę cała, wystaw sobie, ciotucho droga, on kocha inną, imie jej Flora.

Kordula. Co ty mówisz? To nie podobna. Może dawniej kochał, bo mężczyźni są wszyscy po jednych pieniądzech. Zdarza się także coś podobnego u kobiet, ale bardzo rzadko.

Stanisława. Mógł być kochać, dopóki nie wyznał mi miłości, ale teraz po ślubie... cała truchleję, wystaw sobie, ciociu, Agapit nawet obecnie miewa z nią schadzki.

Kordula. Miewa schadzki? Słyszałam wiele i sama nawet doznałam niewierności rodzaju męskiego, ale żeby w kilka dni po ślubie odbywać schadzki z jakąś ulubienicą — nie, tegoby się nawet Turek nie dopuścił, a przecież Turcy mają po kilka żon. Ale czy to tylko prawda?

Stanisława. Prawda zupełna, o czem naocznie się przekonałem, a nawet powiem ciociuchnie, że owa nieszczęsna Flora tu dziś przyjdzie o 9-tej godzinie do błękitnego pokoju, którego okna wychodzą na ogród. O ja nieszczęśliwa! Tak mnie haniebnie zdradzać!

Kordula. Ale zkąd masz tę pewność, Stasiu kochana?

Stanisława. Czytałam list pana Ksawerego, który jest przyjacielem Agapita; donosi on, że właśnie dziś wieczorem około 9-tej będzie sprowadzoną Flora przez ogród do błękitnego pokoju.

Kordula. Nikczemne potwory, jaszczurki — tak Agapit, jak i Ksawery. Teraz rozumiem, co znaczył niżnik winny, oto oznacza Ksawerego. Ja zawsze mówiłam, że mężczyźni są do niczego. Doświadczyłam tego nieraz i mogłabym wiele przytoczyć ciekawych szczegółów. Czegoś podobnego jednakże nie doznałam.

Stanisława. Bo ciocia nie poszła za męża.

Kordula. Nie poszłam, ale już było bardzo blisko ślubu. Oj ci mężczyźni, ci mężczyźni! Ale tej Florze należałoby oczy wydrapać i oćwiczyć ją różgami. Ale cyt — twój ojciec nadchodzi, niechże on poradzi co wypada czynić.

SCENA II.

Baltazar. — Kordula. — Stanisława.

Baltazar. Co ja widzę? Stasia zapłakana, twarz Kordulki płonie gniewem. Co się stało? Gdzie Agapit?

Kordula. Nie wspominaj tego niewdzięcznika; zawiódł on okropnie nasze zaufanie. Wiadoma rzecz, że mężczyźni nie umieją dotrzymać przysięgi, alem nie sądziła nigdy, aby w tydzień po ślubie...

Baltazar (niecierpliwie). Zapewne posprzeczał się ze Stasią; dajmy im pokój, już oni się bez nas pogodzą.

Stanisława. Ależ, ojculku kochany, to zupełnie co innego.

Kordula. Wystaw sobie, ten łotr Agapit...

Baltazar (surowo). Nie wyrażaj się, panno Kordulo, tak namiętnie o człowieku, który jest mężem mojej córki.

Kordula. Patrzenie tylko, jak mężczyzna ujmuje się za mężczyzną; oho! bo i ty miałeś za uszami.

Baltazar. A panna Kordula to niewinne jagnię. Czy mam przypomnieć awanturę z panem Krzykalskim?

Kordula. Jesteś złośliwy, Baltazarze; że mnie pan Krzykalski chciał wykraść, nie moja przecież wina.

Baltazar. Być może, ale odchodzimy od rzeczy. Proszę zaraz opowiedzieć, co i jak się stało, bo nigdy nie potępiam nikogo, dopóki się nie przekonam o jego winie.

Kordula. Otóż twój gagatek, Agapitek, w tydzień po ślubie zdradza naszą Stasię.

Baltazar. W tydzień po ślubie? To niepodobna. Znam Agapita nie od dzisiaj; może tam dawniej miał jakąś miłość, bo któż jej nie miał? — ale teraz w kilka dni po zawarciu małżeństwa... nie, nie, mylicie się moje panie, powiadam wam, że Agapit jest honorowym człowiekiem.

Stanisława. Ależ ojcie drogi, nie dosyć że kocha jakąś Florę, ale on będzie miał nawet dziś z nią schadzkę w tylnym błękitnym pokoju, którego okna wychodzą na ogród.

Baltazar. Tere fere kuku — strzelała baba z łuku. Tego już za wiele. A więc przypuszczacie obiedwie, że Agapit miałby tak być bezczelnym, że mając młodą i ładną żonę, będzie odbywał schadzki z jakąś Florą i do tego w naszym domu. Ależ to bajki, potwarz! Pamiętajcie, że łatwo odebrać bliźniemu sławę, ale trudno ją wrócić.

Kordula. Widzicie go, jak broni Agapita, aleć Stasia ma pewne dowody, gdyż czytała list Ksawerego, w którym donosi Agapitowi, że jego ukochana Flora dziś jeszcze przybędzie przez ogród do błękitnego pokoiku, a ów nicpoń Ksawerek ją przyprowadzi. Oj mężczyźni, mężczyźni!

Baltazar. Pokażcie ten list.

Stanisława. List nie jest cały, aleć data dzisiejsza i wyraźnie mowa o Florze, którą pan Ksawery chce sprowadzić. Otóż ów list.

Baltazar. Nie podoba mi się, że ty, Stasiu, przeglądasz listy męża.

Kordula. Alboż jej nie wolno, a od czegoż jest żoną?

Baltazar. Asindzka się na tem nie znasz, bo żoną nie byłaś.

Kordula. Nie byłam, bo nie chciałam; wiesz dobrze, że mogłam mieć po dziesięciu u jednego palca.

Baltazar. Tak źle nie było, ale proszę mi nie przeszkadzać, gdyż trzeba ów list przeczytać. (*Czyta:*) „Kochany Agapitku! Wierzę ci, że tęsknisz za Florą. Przez tydzień się obywać, gdyś dawniej co dzień w ustach...“ tu oddarte. Czytajmy dalej: „Ulegając twej proźbie serdecznej, przybędę dziś o godzinie 9-tej wieczorem z Florą do błękitnego pokoiku przez ogród, aby nie budzić podejrzania. Ale bój się Boga, co będzie jak się o tem dowie twoja żona? Pociąg jej przyrzekał, kiedy nie umiesz dotrzymać? Może byłoby lepiej, abyś się przyznał, młode żony łatwo prze...“ znowu oddarte a w końcu: „Twój Ksawery“.

Stanisława. Czyż to nie wyraźny dowód zdrady?

Kordula. Więcej niż zdrady, gdyż sprowadzanie podejrzaney kobiety do domu jest gwałtem, rozbojem, morderstwem. O czasy! o ludzkie! Ale ja zawsze mówiłam i mówię, że mężczyźni są wzorem niewierności.

Baltazar. Możeby ich najlepiej wysłać gdzie pieprz rośnie, albo powystrzelać jak kaczki, ale coby się wtedy z wami stało?

Stanisława. Wszak nie wątpisz, ojczulku, o zdradzie Agapita?

Baltazar. Ja w tym względzie jestem niewiernym Tomaszem i dla tego dopiero wtenczas uwierzę, gdy schwycę Agapita na gorącym uczynku. Mylą często pozory. List Ksawerego nie dowodzi niczego, owa tajemnicza Flora budzi we mnie wielkie wątpliwości.

Kordula. Mój Baltazarku, widzę, że trzymasz stronę Agapita. Tu nie ma co obwijać w bawełnę — zerwać wszelkie stosunki z Agapitem i kwita.

Baltazar. A gdyby się okazało, że Agapit jest niewinnym?

Stanisława. Ojczy kochany, wlewasz nową nadzieję w moje zbolące serce.

Kordula. Ten Turek nie zasługuje na żadną litość; zaraz od dziś niech nastąpi separacya a potem rozwód.

Stanisława. Ciociu, wszakżeż jeszcze nie mamy zupełnej pewności o winie Agapita.

Baltazar. I największego zbrodniarza, zanim się potępi, trzeba najprzód wysłuchać.

Kordula. Ale nie Agapita. Pamiętam, kiedym miała lat 16.

Baltazar. Oświadczył się jakiś młokos o twoją rękę, ale że było mleko pod nosem, zatem rodzice nie pozwolili.

Kordula. Bardzo proszę się nie zapominać, bo to było zupełnie inaczej.

Baltazar. Będziemy się sprzeczały o ten wiatr, co w polu wieje. Słyszę, że idzie Agapit, zatem sza! cicho! jakby nigdy nic nie zaszło — a resztę mnie pozostawcie.

SCENA III.

Ciż i Agapit.

Agapit. Dobry wieczór państwu. Witam cię, moja kochana żoneczko (*całuje ją w rękę*). Nie mogłem przyjść wcześniej, gdyż miałem pilne papiery urzędowe do przejrzenia.

Baltazar. Bardzo to chwale, że pilnujesz przede wszystkim obowiązku. Spełnianie ściśle obowiązków jest podstawą ludzkiego społeczeństwa.

Agapit. I ja tak myślę, ale co to znaczy, że panie są jakoś zachmurzone, czy nawet zasepione, przecież nie na mnie?

Stanisława. O nie! — wszakżeż nie dajesz najmniejszej przyczyny.

Kordula. Agapit jest ideałem młodych małżonków. Oby wszyscy byli mu podobni!

Agapit. Zbytek pochwał, ciociu kochana, czy tylko te pochwały są szczere, gdyż prawdę powiedziawszy, nie cieszę się zbyt wielkimi względami cioci. Sądzę jednak, że zdołam sobie w przyszłości zasłużyć na lepszą opinią.

Kordula. O tem jestem aż nadto przekonana; pokaże się to niedługo, pokaże.

Agapit. Ciocia jest trochę złośliwa.

Baltazar. Nie dziw się temu, zięciu kochany. Kordula doznała wiele zdrady i niewierności od płci brzydkiej, zatem są nieraz goryczą zaprawione jej słowa, ale ona ma dobre serce.

Kordula. Dziękuję za komplement, jednakże co do mężczyzn nie zmienię swego zdania, zresztą postaram się o dowody, że co mówię, opiera się nie na przypuszczeniach, ale na niewzruszonych, niby opoka, zasadach. (*Agapit ziewa nieznacznie*).

Kordula (*na stronie do Stanisławy*). Widzisz, już mu nudno z tobą, chciałby jak najprędzej pobeżnąć na schadzkę.

Agapit. Przykro mi, że na krótki czas muszę państwo pożegnać, ale wkrótce się stawię.

Stanisława. Nie zatrzymuj się, kochany Agapicie, ale wracaj szybko.

Kordula. Życzymy przyjemnej zabawy.

Baltazar. Nie rozumiem, jaki możesz mieć obecnie interes, ale mniejsza o to, idź, lecz przychódź niedługo.

Agapit. Do widzenia, najukochańsza Stasio, do widzenia drogi teściu; ściele się do stópek cioci Korduli, jak wróce, zagramy pasyansa. (*Wychodzi*).

SCENA IV.

Baltazar. — Stanisława. — Kordula.

Kordula. Dam ja ci pasyansa, ty zwodzicielu, Turku niewierny, obłudniku nikczemny. Mnie już dawno pasyans przepowiedział, jakie z ciebie ziółko.

Stanisława. Przekonałeś się, ojczy, że Agapit istotnie poszedł na schadzkę.

Baltazar. Kryje się tu jakaś tajemnica, którą koniecznie muszę zbadać. Jestem przekonany, że zachodzi jakaś mistyfikacya; gdyby jednakże miał się Agapit istotnie dopuścić haniebną obłudy i zdrady, wtedy ten kij będzie się miał w robocie. (*Macha kijem*).

Stanisława. Ojczy kochany, powstrzymaj się, abyś go czasem nie zranił lub nie zabił. gdyż chociaż Agapit zranił mi śmiertelnie serce, przecież ślubowałam mu miłość.

Kordula. Ależ ten niegodnik depce najświętszą przysięgę nogami, zwodzi nas, ziewa, bo się nudzi z nami, a potem leci w objęcia ulicznicy.

Stanisława. Ciociu kochana, nie potępiaj, nie przekonawszy się o winie.

Baltazar. Kordulko kochana, powstrzymaj twój wszeteczny języczek, gdyż możesz podkopać szczęście mego dziecka.

Kordula. Już to mężczyzna zawsze za mężczyzną. Aleć przekonamy się niedługo.

Baltazar. Idę teraz przerwać tę schadzkę. Będą się mieli oboje z pyszna, jeżeli tam spotkam ową Floreę. (*Wychodzi*).

Stanisława. Drzę cała, aby nie wynikło jakie nieszczęście. Ach! teraz poznaję, jak go mocno kocham.

Kordula. Moja Stasio, takiego niewdzięcznika nie godzi się kochać. Ja od samego początku nie dowierzałam Agapitowi.

Stanisława. Przeczucie mi mówi, że Agapit jest niewinnym, a nie wiem jak sobie wyjaśnić ów list, ową dziwną Floreę i to nagłe jego zniknięcie. Aleć niedługo rozwiąże się zagadka.

Kordula. A tak, tak, rozwiąże się, ale przytem będzie płacz i zgrzytanie zębów. Ach! dałabym nie wiem

co, gdybym mogła być obecną tej scenie, gdy ów Turek w objęciach Flory...

Stanisława. Ależ, ciociu kochana, szanuj mą boleść. Słyszę już kroki wracającego ojca, słyszę jednakże z daleka śmiech jego; słodka nadzieja wstępuje w me serce.

SCENA V.

Baltazar. — Stanisława. — Kordula.

Baltazar (śmieje się do rozpuku i biega rozpromieniony po pokoju). Ależ to zabawna historia! Czyżbym się był czegoś podobnego spodziewał? Dajcie krzesło, gdyż pękne ze śmiechu.

Stanisława. Co to ma znaczyć, ojczu?

Kordula. A cóż się stało z Florą, pewnie uciekła oknem?

Baltazar. O Kordulo, cobyś ty była na to rzekła. Zdybałem ich razem. On się istotnie z nią pieścił. Oby mi ten wielki śmiech nie zaszkodził!

Kordula. Schnę z ciekawości. Mówże prędzej: była Flora, czy nie?

Baltazar. Nietylko jedna, ale było ich nawet więcej.

Kordula (załamując ręce). A więc przyszło do tego, że ów rozpustnik sprowadził sobie kilka ulicznic, a co gorsza, mój kochany pan szwagier zamiast zgromić taką rozpustę, śmieje się pobłaźliwie. O Sodomo, Gomoro! Co się dzieje, co się dzieje! Wyprowadzę się dziś jeszcze z pod tego dachu, bo się może zawalić z powodu takiego zgorszenia. O hańbo, o wstydzie! I czyż nie miałam słuszności, nazywając mężczyzn zakalą, rodu ludzkiego, zdrajcami, obłudnikami?

Baltazar (na stronie). Tak ta baba trajkoce, że mogłaby przegadać dziesięć młynów. (*Głośno*). Już ty, Kordulo, masz zawsze słuszność. Pasyans doskonale zgaduje.

Stanisława. Ale kochany ojczu, zechciej nam wyjaśnić tę niezwykłą zagadkę.

Kordula. Tu nie ma co rozwiązywać, wszakżeż Baltazar spotkał Agapita w towarzystwie nie wyłącznie jednej Flory. To dosyć.

Stanisława. To są bajki z tysiąca i jednej nocy.

Baltazar. Słuchajcie. Zbliża się chwila stanowcza, prawda odniesie tryumf nad fałszem. Ową Florę a raczej Florami są... cygara z etykietą „Flora“. Jest ich tam w błękitnym pokoju 99, gdyż Agapit dopiero jedną Florę do ust przyciska, a miłość jest taka wielka, że bucha ogniem. Doskonale się spisał pasyans panny Korduli.

Stanisława. Widzę, że zawiniłam. Na moje prośby przestał Agapit palić cygara, i dla tego dziś ziewał niezawodnie. Czemuż mi nie powiedział? Byłabym mu tak chętnie pozwoliła. Gdzież on jest?

Baltazar. Przyjdzie niedługo, prosiłem go, aby skończył zaczęte cygaro; otóż i on. (*Wchodzi Agapit*).

Agapit. Przepraszam cię, żonko droga, za tajemniczą Florę. (*Całuje ją w rękę*).

Stanisława. O! ja cię jeszcze więcej przepraszam, gdyż nie powinnam była czytać twego listu, a jeżeli czytałam, powinnam była żądać wyjaśnienia (*podają sobie ręce*. — *Baltazar wychodzi*).

Kordula. Patrzcie państwo co to się dzieje? Teraz się ściskają, całują, a niedawno byliby sobie kołki ciosali na głowie. Oj młodość, młodość! Przeminełś dla mnie bez pociechy, bez kwiatów.

Agapit. A co, ciociu Kordulko, pociągniemy pasyansa? Może czerwienka dama znajdzie się przy czerwonym królu.

Kordula. Przekonuję się, że nietylko mężczyznom, ale nawet kartom nie można wierzyć. Popełniłam niezawodnie grubą omyłkę. Nie gniewaj się, kochany Agapicie, że cię posądzałam, jakobyś chciał zaszczepiać tureckie zwyczaje.

Agapit. No, zgoda, zgoda, nie gniewam się wcale.

Stanisława (*wychodzi i wraca za chwilę*). Przygotowałam dla ciebie, kochany Agapitku, pudełko wybornych cygar. Dziś właśnie chciałam ci wręczyć, ale owa nieszczęśliwa Flora popsuka mi szyki. Bądź łaskaw przyjąć, a zarazem daję ci nieograniczone pozwolenie palenia.

Agapit (*całuje ją w rękę*). Dziękuję ci, droga Stasio. Palić będę, ale umiarkowanie.

Baltazar (wchodzi). Coś podobnego należy zakończyć zabawą. Posłałem już po Ksawerego i po pannę Anielę, zamówiłem też ciasta, wino — fortepian mamy w domu, będzie zatem mała zabawa. Nie zapomniemy także o pasyansie. (*Zwracając się do Agapita i Stanisławy*). Niech wam dzisiejszy wieczór będzie nauką, że nie trzeba wierzyć pozorom i że przede wszystkim szczerłość powinna panować w małżeństwie.

Kordula (biorąc karty do ręki). A ja teraz zasięję do pasyansa; myślę, że dziś nie będzie omyłki.
Zastona spada.

42. Sposób na gadatliwe kobiety.

Wesoła komedyjka w jednym akcie.

OSOBY:

Franek, gospodarz. — Frankowa, jego żona. — Sobkowa.
Ceglacki borowy.

Rzecz dzieje się przed chatą Franka.

SCENA I.

Franek. — Ceglacki.

Ceglacki. A więc powiadacie, mój Franku, że bardzo wiele cierpicie od waszej kobiety.

Franek. Mój borowy, jestem prawdziwie niešťśliwy człowiek. Nieraz nachodzą mnie myśli, żeby iść w świat, gdzie mnie oczy poniosą.

Ceglacki. W czym mianowicie wam tak dokucza wasza żona?

Franek. Moja Marysia jest wogóle niezła kobieta, bo jest pracowita i ochędoźna, zaradna i niezle gotuje. Ale jej język jest oto taki (*pokazuje, że taki długi jak ręka*) a gęba od ucha do ucha. Jeżeli powiem jedno słowo, ona nie 10, ale 100 i 1000 gotowa wypowiedzieć. Wciąż też trajkocze z kumoszkami, a jak się zagada, zapomina o dzieciach, o robocie i o wszystkim. Z tego powstają obmowy, plotki i obraza Boża.

Ceglacki. Może dajecie ku temu przyczynę?

Franek. Pewnie, że i ja nie jestem bez winy, ale kto zna bliżej moją Marysię, przyzna niezawodnie, że ona jest więcej winna. Nie przeczę, że kiedy mnie do ostatecznej złości doprowadzi, nacisnę czapkę na uszy i idę do karczmy, a czasem tak wygrzmocę Marysię, że potem choruje. Aleć z nią i sam anioł nie dałby sobie rady.

Ceglacki. Trzebaby nad tem pomyśleć, jakby to waszą żonę wyleczyć z tej wady.

Franek. Nie przyda się to na nic. Chodziłem już do księdza proboszcza w tej sprawie, ale i to nic nie pomogło. Marysia zaczęła nawet na księdza wygadywać.

Ceglacki. Wiecie co, dajcie 20 marek, a uleczę waszą żonę z gadatliwości. Połowa tej kwoty pójdzie na Towarzystwo czytelní ludowych w Poznaniu, a połowę możnaby dać na sieroty po Wojtku Łopickim, który niedawno umarł.

Franek. Dam z chęcią więcej, jeżeli Marysię wyleczycie. Ale mówię wam naprzód, że nie uda wam się sztuka, gdyż Marysia strasznie uparte stworzenie.

Ceglacki. Można przecież spróbować, wszakżeż nic na tem nie straciecie.

Franek. A niechże tam i będzie próba. Chociażby się tylko trochę gadanina zmniejszyła, już byłaby znaczna dla mnie korzyść.

Ceglacki. Teraz idę do boru, ale niedługo przyjdę. Przygotujcie dla mnie butelkę z wodą.

Franek. Nie z wódką?

Ceglacki. Przecież wiecie, że wódki nie piję. Zostajcie z Bogiem. *(Odchodzi.)*

Franek. Idźcie z Bogiem. Ciekawym wiedzieć, co on zrobi. Mniejsza o to, byle mu się udało. Trzeba zajrzeć do gospodarstwa.

SCENA II.

Frankowa — Sobkowa.

Frankowa. Dobrze, że kumoszka przyszła, bo mam tyle do opowiadania, że strach. A wiecie że pies ekonoma pogryzł strasznie Baśkę kowalów?

Sobkowa. Trochę skaleczył, ale nie ma żadnych straszności.

Frankowa. Bodajże was, dziewczucha będzie chorowała długie lata. Owczarz wczoraj wywalił swą żonę, a ona wylała na niego garnek waru. Powiadam, że Sodoma i Gomora w naszej wsi się dzieje. A słyszeliście, co w dworze się stało? Taka się zrobiła awantura, że Kaśka musiała czempredziej się wynieść, bo... —

Sobkowa. Dajcie pokój, kumoszko, takim plotkom. To tylko ludzkie gadanie i nic więcej.

Frankowa. Ba, ba, ludzkie gadanie, już ludzie wygadają co swego. Wojtek Gruchała znowu się zaleca do Basi, a przecież tańczył zawsze z Frącką. O Sodomo, Gomoro! Jaki to chłop niegodzijasza, że do dwóch naraz dziewczuch smali cholewki. To czysta Sodoma Gomora, rozpusta. Trzebaby o tem księdzu powiedzieć, bo wielkie zgorszenie się dzieje.

(Głos z chaty.)

Matusiu, matusiu, pójdźcie prędzej, bo wszystka polewka wykipi.

Frankowa. A będziesz ty mi cicho, Baśka, toć zamieszaj. Że też to człowiek nie może chwili postać, jeno wciąż trzeba wszystkiego doglądać. Ta mała Jonkowa, chociaż ona nie jest mała, tylko jej chłop mały, dlatego ją też małą nazywają, chciałyby wydać Frąckę za Wacha, ale u nich bieda aż smród, to też nie będą mogli nic dać dziewczusze. Ta mała Jonkowa wygadywała, że się jeno plotkami trudnię i włóczę się po chałupach.

(Głos z chaty.)

Matusiu, matusiu, Jędrus krzyczy co ma siły, boję się, żeby mu się co złego nie stało, przyjdźcie duchem, matusiu, bo wszystko się gotuje... a ja nie mogę dać sobie rady.

Frankowa. A będziesz ty cicho, robaku jakiś. Zaraz przyjdę, Jędrusiowi nic się nie stanie. Co ja też to mówiłam. Człowiek ma tyle kłopotu na głowie. Żebym ja to wystawała na drodze, jak inne, albo się trudniła plotkami, ale ja jeno patrzę roboty, a tu ludzie na mnie bij zabij. Już mnie nawet obsmarowali przed księdzem proboszczem.

Sobkowa. Potrzebaby wiele mąki, żeby tym ludziom pozalepiać gęby, co zawiele gadają.

Frankowa. Oj, prawda, prawda. Oj, te kobiety, co za wiele gadają a gospodarstwa nie patrzą.

Sobkowa. (na stronie). Na innych wygaduje, a sama nie lepsza.

(Głos z chaty.)

Matusiu, bo się wiory zapaliły, będzie ogień.

Frankowa. Oj ta Baśka, zbije ją na kwaśne jabłko za to, że nie dała baczenia na ogień. Zostajcie z Bogiem, kumolo! *(Odchodzi.)*

Sobkowa. Ta ma dopiero jęczyczek, oj pytluje, pytluje jakoby na młynie.

!(Z chaty słychać krzyk Baśki.)

Matusiu! Matusiu! nie bijcie, bo nic złego nie zrobiłam, wszakżem was dwa razy wołała, a piastując Jędrusia, nie mogłam dać baczenia na ogień.

SCENA III.

Franek. — Frankowa, — później borowy.

Franek. Co się tu dzieje? Baśka krzyczy, matusia ją bije. A daszże ty pokój dzieciakowi. Wystawałaś przed chałupą, wiory się zatliły, a teraz bijesz Baškę, która nic nie zawiniła.

Frankowa. Widzicie mi go i ty głupi chłopie będziesz mi tu brzęczał nad głową. Już ja wiem co robię. Baśka winna, bo powinna była uważać na dziecko, na ogień, na wiory, na garnki i na wszystko.

Franek. Bój się Boga, kobieto, co ty wygadujesz. Przecież to był twój obowiązek siedzieć w izbie, a nie wystawać przed chałupą i bliźnich oczerniać.

Frankowa. Zmilczysz mi ty, chłopie szkaradny, dardański ośle jeden, niedołego, próżniaku, włóczykiju, pijaku, który się pastwisz nad biedną kobietą, ty...

Franek. A co tego, to za wiele; ja ci pokaże pijaka, włóczykija, niedołągę, osła. *(Chwyta za kij i wali.)*

Frankowa. O la Boga, ludzie ratujcie, bo mnie ten zbójnik chce zabić.

Franek. Masz zbójnika, nie stawaj przed chałupą, nie roznoś plotek, nie bij bez przyczyny dziecka. nie wyzywaj meża, któremu przysięgłaś przed ołtarzem posłuszeństwo.

Frankowa. O rety, jak mnie ten chłop bije, jak mnie ten chłop bije, a za nic.

Franek. Ja ci dam za nic, ty gadatliwo kobieto, ty trajkocie młyński.

Frankowa. Franku, Franusiu, przestań, bo mi kości połamiesz, toć się zmiłuj nade mną nieszczęśliwą kobietą. *(Wchodzi borowy.)*

Ceglacki. A to co? Kumotr wali żonę. Franek przestań w tej chwili, już dosyć nabiłeś. To pewnie tylko było na żarty.

Franek. A pocóż mnie doprowadza do pasyi, czemu bije niewinne dziecko, czemu?...

Frankowa. Było na żarty, a boli na prawdę, o Jezu, Jezu, Jezu, ja nie wytrzymam. O ja biedna sierota! Kto mnie poratuje, kto mi pomoże, kto mnie obroni od tego niegodnego chłopca, co ma rękę jak kamień?

Franek. Uzał się tu przed borowym, a ja pójdę do dzieci w chałupie.

SCENA IV.

Ceglacki. — Frankowa.

Ceglacki. Powiedźcie mi, za co was tak bił Franek. Przecież on jeszcze chłop niezgorszy.

Frankowa. Niezgorszy, ładny mi niezgorszy, ady to zabijak pierwszej klasy. Widzicie, mój kumotrze, było to tak. Przyszła Sobkowa, ja szłam właśnie po wodę, a więc się trochę pogadało.

Ceglacki. Powiadała mi Sobkowa, że ta rozmowa trwała przeszło godzinę.

Frankowa. O, gdzie zaś, bo to widzicie, przy takiej gawędce czas bardzo prędko leci.

Ceglacki. Prawdę mówicie, to też może gawędziliście z godzinę.

Frankowa. Zegarka co prawda nie mam, a może i z godzinę rozmawialiśmy. Ale żeby zaraz za to bić

i ponieważ, jak mój chłop mi zrobił — tak być nie powinno.

Ceglacki. Ja z daleka słyszałem, że go kumoszka wyzywała, dając mu przezwiska ośła, włóczykija itd.

Frankowa. To jeno w prędkości, ale ja na prawdę tak nie myślałam.

Ceglacki. Może też i Franek nie bił na prawdę.

Frankowa. A kiedy bolało na prawdę.

Ceglacki. Kumoszka zatem tylko w prędkości wyzywała, jeżeli tak, trzeba i Franka uniewinnić, gdyż powiadają: W złości nie ma litości.

Frankowa. Możeć i trochę zawiniłam, bo groch się przypalił, mleko wykopiało, Jędrus wrzeszczał w niebogłósy, wiory się zapaliły i dziewczę dość tego wybiłam — ale Franek nie powinien mnie bić tak ostro.

Ceglacki. A czyby kumoszka chciała żyć w takiej zgodzie z mężem, żeby już nigdy nie posiegał się do kija?

Frankowa. O mój Jezu, a toćbym z duszy i serca tego pragnęła.

Ceglacki. Powiem wam, ale w wielkim sekrecie, przecież umiecie dotrzymać sekretu?

Frankowa. Mnie powiedzieć jest to samo, co w studnię wrzucić — (na stronie) okrutniem ciekawa, co mi chce powiedzieć, a komuby to znowu w sekrecie, ale w bardzo wielkim sekrecie, powiedzieć?

Ceglacki. Tu o milę w lesie mieszka pustelnik.

Frankowa. Co? Pustelnik?

Ceglacki. A tak pustelnik. On umie różne choroby leczyć. Zna też sposób, ażeby zawsze panowała zgoda pomiędzy mężem a żoną.

Frankowa. O, niechby tu przyszedł i nauczył mnie tego sposobu.

Ceglacki. Ale, czy wykonacie wszystkie przepisy? Najgorzej z sekretem, bo jak znowu w sekrecie powiadać będziecie?

Frankowa. Będę się już strzegła.

Ceglacki. Jeżeli tak, sprowadzę w niedługim czasie pustelnika. Ale nie powiadajcie o tem nikomu, ani mężowi. Upominam was jednak, aby wszystko ściśle było wykonane, co wam powie pustelnik. Zostajcie z Bogiem. (Odchodzi).

Frankowa. Dobrze, dobrze. Niech kumoterek idzie z Bogiem. (*Odchodzi*).

SCENA V.

Franek, później pustelnik.

Franek (wychodzi z butelką). Aż mi żal było kobiety, kiedy ją waliłem, ale cóż było robić? Powiadał mi borowy, że ma tu przyjść niedługo pustelnik. Tę butelkę z wodą mam gdzie w kącie ustawić. (*Wstawia butelkę*). Ciekawym, czy mu się uda sztuka? Jabym już raz chciał zaprzestać tego bicia. Dałbym chętnie i więcej aniżeli 20 marek, gdyby moja żona uleczyła się z gadatliwości. Oj tak, słusznie mówię, żeby się wyleczyła, bo to ciężka choroba, która zatruwa życie licznym mężom. A któż tam idzie w tym długim habicie z długą brodą, a na głowie ma szeroki kapelusz? Pewnie to będzie pustelnik!

Pustelnik. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Franek. Na wieki wieków. (*Na stronie*): Niby mi głos znany. (*Głośno*): Witajcie, czcigodna osobo!

Pustelnik. Może pozwolicie, że spocznę na chwilę i napiję się wody.

Franek. Dla takiej czcigodnej osoby znajdzie się coś lepszego. Proszę do izby. (*Odchodzą*).

SCENA VI.

Sobkowa. Podobno Franek zbił żonę na kwaśne jabłko, dlatego chciałam się o tem przekonać. Nie dziwię się temu, boć Frankowa trajkot pierwszej klasy. Nie wiem zkad jej się biorą te różne słowa. Nibyć ona nie jest złą kobietą, a jednak przez swój język narobiła wiele złego. O mały włos nie byłoby przyszło z jej powodu do skutku małżeństwo Domagały z Piekar-szczonką. Ona i księdzu i panu i ekonomowi nie daje pokoju. Cała wieś jej dlatego nie cierpi. Pójdę do chałupy, bo jej się pewno tu nie doczekam. (*Odchodzi*).

S C E N A VII.

Pustelnik. — Frankowa.

Pustelnik. Sobkowa niech tam trochę posiedzi, a ja powiem wam coś, ale w bardzo wielkim sekrecie. Przyszedłem tu na prośbę borowego. (*Wydobywa z kąta butelkę*). Tu jest cudowna woda, która już niejednego i niejednę uleczyła.

Frankowa. A mogę kapkę spróbować?

Pustelnik. Oddam wam całą butelkę. W moim lesie jest źródło, z którego gdy się w wilią ś. Jana zaczerpnie wody, wtedy ta woda zaprowadza w małżeństwach zgode.

Frankowa. Ale jak się używa?

Pustelnik. Poczekaście, wszystko powiem. Jeżeli mąż albo kto inny zacznie ostro mówić, zaraz w tej chwili weźcie tej wody w usta i nie połykając, zmówcie trzy „Ojcze nasz“. Tak samo gdy was złość ogarnie, że chcecie bić dziecko lub wydać tajemnicę, weźcie tej wody w usta i zmówcie trzy pacierze. Ta woda posiada jeszcze i ten ważny przymiot, że choć jeno trochę jej zostanie, a doleje się nowej, znowu wstępuje w nią moc cudowna. Ale tylko można takiej wody dolewać, której się rano zaczerpnie ze studni, a jak się idzie ze stągwiami, nie wolno z nikim rozmawiać. A więc pamiętajcie sobie, jak zacznie się między wami a mężem kłótnia lub przemówienie a język was zaswędzi, buch wody w usta i mówić pacierze. Zobaczycie, że skutek będzie pożądanym, a mąż zamieni się w baranka.

Frankowa. Dziękuję wam, pustelniku, za tę dobrą radę. Szkoda, że nie macie jakiej sakwy, bobym wam chętnie dała chleba, masła i sera.

Pustelnik. Bóg zapłać, jak będę przechodził, wstąpię, wtedy wezmę trochę pożywienia, teraz zostajcie z Bogiem.

Frankowa. Niech was Pan Jezus prowadzi, kochany ojcze pustelniku!

(*Zasłona spada*).

S C E N A VII.

(W trzy dni później). Franek. — Frankowa.

Franek. Kasza była dziś przypalona, izba jeszcze niezamieciona.

Frankowa. Zaczynaj, zaczynaj, pewnie chciałbyś mnie znowu wywalić.

Franek. Cicho, bo jak cię zamaluję.

Frankowa. Spróbuj. *(Po cichu).* Byłabym na śmierć zapomniała, że trzeba wziąć wody w usta i zmówić trzy pacierze. *(Idzie do kąta, pije wodę i żegna się).*

Franek. Oj, nie pociągaj mnie do złości, bo kiedy jestem dobry, tom dobry, ale jak się rozgniewam, wtedy walę na potęgę. Ja sobie nie pozwolę pod nos dmuchać. Żona nie powinna się sprzeciwiać mężowi. *(Frankowa się ogląda, chce odpowiadać, ale chwytą się za usta i puka się w czoło i mówi dalej pacierze).* Mąż jest głową domu. A wszakże powiadają: Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami i iże dobre słowo lepiej gasi niż wiadro wody. Pismo święte mówi, że niewiasta gadatliwa *(Frankowa znowu czyni poruszenie, aby odpowiedzieć, ale hamuje się)* to dach kapiący i drzwi skrzypiące. Oj prawda, doświadczyłem tego nieraz. Już mi się i życie sprzykrzyło, gdy wciąż w domu panował turkot. *(Na stronie).* Co to ma znaczyć, ona nic nie odpowiada, a to pewnie pustelnik dał jej jakieś cudowne lekarstwo. *(Głośno.)* No, żono kochana, nie gniewaj się na mnie, że ci trochę ostro przymówiłem. Kasza się czasem przypali, a pewnie miałaś wiele roboty, więc izba niezamieciona, bo dziewczka poszła w pole do roboty. *(Frankowa wypłukuje nieznacznie z ust wodę).*

Frankowa. Mój Franku, jak ty ładnie mówisz, widzę, że z ciebie chłop dobry i kochający żonę. Będę cię za to kochała i szanowała. *(Na stronie).* Toć Franek, jakby się przemienił.

Franek. Bóg zapłać za dobre słowo, aż mi w sercu radośniej, że taka między nami zgoda. Zbiera mi się na płacz prawie.

Frankowa. I mnie tak samo. Pocałujmy się na zgodę, Franku kochany. *(Całują się).*

S C E N A VIII.

Ci sami i borowy.

Ceglacki. To tu piękne czasy, kiedy się mąż i żona całują. Oj zgoda, zgoda w małżeństwie to rzecz najpiękniejsza.

Frankowa. Bóg wam zapłać, kumotrze, za przysłanie tego pustelnika. To święty człowiek. Dał mi takie lekarstwo, że już teraz zawsze zgoda w naszej chałupie panować będzie. Czy nie prawda, kochany Franku?

Franek. A nie inaczej. Kłótni w naszym domu nie będzie.

Ceglacki. Bardzo mnie to cieszy, a jeszcze więcej uraduje się pustelnik.

Frankowa. Ozłocę pustelnika, że mi tak dobrze doradził. Niech mu Bóg błogosławi!

Ceglacki (do publiczności). Jeżeli będziecie państwo wiedzieli o jakim małżeństwie, w którym nie ma zgody, donieście mi, a pustelnik przyjdzie z wodą i będzie panowała święta zgoda, której życzę wszem wobec i każdemu z osobna. *(Zasłona spada).*

Uwaga. Nie potrzeba zapewne dodawać, że pustelnikiem jest przebrany Ceglacki. Najwięcej wesołą jest ta chwila, kiedy Frankowa, mając wodę w ustach, chce mówić, bo ją język świerzbii, a woda nie pozwala.

43. Pojedynek amerykański.

Humoreska sceniczna.

Ułożył Klemens Kosicki.

OSOBY:

Bibulski, radzca. Ciecierski, były kupiec.
Pulcherya, jego żona. Dr. Piguliński, lekarz.

Rzecz dzieje się w Warszawie w mieszkaniu Bibulskiego.

S C E N A I.

Bibulski. Jestem w najwyższym stopniu rozdrażniony z powodu wczorajszego zajścia w restauracyi.

Mam się pojedyńkować. Wystawcie sobie, moi państwo, jakiś łobuz z tęgim brzuchem obraził mnie w najwyższym stopniu. Nazwał mnie gryziopórkiem, drapichrustem, łykiem, a w dodatku tak mi podeptał odciski, że ledwie mogę chodzić. Wyzwałem go na pojedynek za obrazę honoru. A tu jak na złość nie mam wcale do pojedyńku ochoty, gdyż można łatwo życie stracić. Cóżby w takim razie poczęła moja żona, kochana Pulcherya? Ona już coś miarkuje, bo kilka razy się pytała, co mi dolega, dlaczego wzdycham itd. Ależ otóż i ona. Będę grał rolę zucha. (*Wchodzi Pulcherya*).

SCENA II.

Bibulski. — Pulcherya.

Pulcherya (popija kawę z filiżanki). Czekam za tobą z kawą, chodź czempredzej, gdyż zupełnie ostygnie.

Bibulski. Dziękuję ci, droga rybko, ale kawy pić nie będę, gdyż mnie bardzo rozdrażnia i osłabia; (*na stronie*) już na samą myśl o pojedyńku drzę jak osowy listek.

Pulcherya. To może się napijesz mleka?

Bibulski. Nie, moja Pulsiu, chyba później. Jestem dziś bardzo rozdrażniony po tej bezsennej nocy. Chodź tutaj bliżej do mnie, abym ci się dobrze przypatrzył, gdyż mam jakieś przeczucie, że mnie dzisiaj spotka coś złego.

Pulcherya. Mówisz jakoś zagadkowo, a przytem jesteś wystraszony. Powiedz zaraz, co ci dolega? (*Stawia szklankę na stole*).

Bibulski. Wiesz, że jestem spokojnym człowiekiem, ale jak mnie kto zaczepi, wtedy nie żartuję.

Pulcherya. Mów wyraźniej, gdyż nie rozumiem twej dziwnej mowy.

Bibulski (wciąż się oglądając poza siebie). Wystaw sobie, jaką miałem wczoraj przygodę. Byłem wieczorem w restauracyi pod „Gwiazdą“. Czytam sobie spokojnie gazetę i pociągam raz po raz z kufła; mój kapelusz leżał spokojnie na krześle, gdy wtem jakiś jegomość z takim oto brzuchem (*pokazuje rękami*), zrzuca bez ceregieli mój cylinder na ziemię i siada na krzesło.

Ja mu grzecznie zwracam uwagę, że nie godzi się zrzucać cylindrów na podłogę, a on zaczął na mnie wymyślać, że krzesła nie są dla cylindrów, że jestem zawalidrogą itd. A tu goście się śmieją i wskazują na mnie palcami. Zawrzała krew we mnie, a więc podniosłem rękę i...

Pulcherya. I uderzyłeś go w policzek, wszak zgadłam.

Bibulski. Gorzej się stało, gdyż wyprzedził mnie i palnął tak potężnie w moją twarz, że zaświeciło mi się, nie przymierzając, jak w siedmiu kościołach. Jeszcze dziś ból czuję. (*Chwyta się za policzek*).

Pulcherya. I cóż dalej?

Bibulski. Ponieważ to była publiczna obraza w publicznym lokalu, przeto wyzwałem go na pojedynek.

Pulcherya. Wyzwałeś go na pojedynek? Ty mężu kochany to uczyniłeś? Przecież jesteś bardzo lękliwy i nie umiesz się z bronią palną obchodzić.

Bibulski. Przyznam ci się, że nie byłem zupełnie trzeźwy, a w takim razie, wiesz dobrze, tęgi zuch ze mnie. (*Ogląda się bojaźliwie*). Coś stukło. Czy to nie on czasem?

Pulcherya. Co za on?

Bibulski. On — to jest on, niby mój przeciwnik, ten brzuchal nieznośny.

Pulcherya. Na co się włączysz po restauracjach? Nie miej zresztą obawy, bo ja nigdy nie zezwolę na pojedynek. Mógłby cię ów jegomość ranić a nawet zabić.

Bibulski. Słowa trzeba dotrzymać; życie bez honoru nie jest [życiem. (*Na stronie, oglądając się*). Co prawda na samo wspomnienie o pojedynku dreszcz mnie przechodzi.

Pulcherya. Co ty tak się oglądasz? Przecież tu niema nikogo.

Bibulski. A może tam stoi za drzwiami. On tu przyjdzie niezawodnie. Najlepiej będzie, że wyjdę z domu.

Pulcherya. A gdzie pójdziesz?

Bibulski. Nie wiem w tej chwili, ale w każdym razie za miasto. Gdyby tu miał przyjść przypadkiem, powiedz mu, że mnie w domu nie ma, że poszedłem do lasu celem ćwiczenia się w strzelaniu. Może go to tak przerazi, że wyrzeknie się pojedynku.

Pulcherya. Może, może, — a gdyby się nie przeraził i na dobitkę cię zastrzelił? O ja nieszczęśliwa!... *(płacze).*

Bibulski (także zaczyna płakać, ale wciąż się ogląda lękliwie). Jeżeli już takie moje przeznaczenie, że zginę w pojedynku, wtedy każ mnie pochować z honorami, a nade wszystko niech mi muzyka zagra marsz żałobny Szopena. *(Na stronie).* Drzę cały, tak mi słabo. Nieszczęsny pojedynek, ale cóż robić, trzeba udawać zucha.

Pulcherya. Mam złe przeczucie, bo mi się śniły okropności. Wyjdź z domu, ale uważaj, abyś się nie spotkał z tym zawalidrogą.

Bibulski. Dobrze, moja rybciu, pójdę do kościoła, a potem za miasto w krzaki. A pamiętaj, Pulsiu kochana, nastrasz tego brzuchatego niedźwiedzia, tj. jeżeli nadejdzie. Powiedz, że za młodu odstrzeliwałem pannom korki u trzewików. Do widzenia, moja najdroższa żoneczko. *(Bierze kij, kapelusz i paletot, potem wychodzi, wciąż się oglądając).*

Pulcherya. Do widzenia, mężulku, tylko nie zapomnij o obiedzie.

Trzeba koniecznie pojedynekowi przeszkodzić, bo to obraza Boska i największe nieszczęście. Pomyślę, jakby tę sprawę załatwić. Dosyć kłopotów w gospodarstwie, a tu na złość głupi pojedynek się nawinął. Ja tu rozprawiam, a w kuchni wykipi mi mleko. *(Wychodzi).*

SCENA III.

Ciecierski. Czy to tu, czy nie tu? Myślę, że tu jest pokój do wynajęcia, bo na dole wisi karta, na której wyraźnie napisano, że na pierwszym piętrze, jest do wydzierżawienia meblowany pokój. Może tu znajdę schronienie przed ową suchą szczapą. W mojem mieszkaniu nie mogę przebywać, bo gotów mnie tam odszukać ów krwi rozlewca. Byłem wczoraj pod dobrą datą, zatem obdarzyłem go różnemi wyzwiskami, a nawet, zdaje mi się, rąbnąłem go w policzek. Ale cóż to ma znaczyć? Nikt nie wychodzi. Wyjdę za drzwi i jeszcze raz zadzwonię. *(Wychodzi i mocno dzwoni).*

S C E N A IV.

Ciecierski. — Pulcherya.

Pulcherya. Któż tak mocno dzwoni? (*Idzie do drzwi i otwiera*). Proszę, bardzo proszę. Czem mogę panu służyć? (*Ciecierski wchodzi*).

Ciecierski. Czy może mam to szczęście, że dobrze trafiłem....

Pulcherya (na stronie). Do licha, czy to nie on czasem?

Ciecierski. To jest przepraszam, czy tu meblowany pokój?

Pulcherya (na stronie). To nie on. (*głośno*) Owszem, tu jest do wynajęcia ładny i zaciszny pokój.

Ciecierski. Zaciszny! bardzo mnie to cieszy. Bo to widzi pani, ja właśnie szukam zacieśnego pokoju, to jest schronienia.

Pulcherya. Jeżeli się panu pokój spodoba, możesz pan tu zamieszkać. (*na stronie*) Ten człowiek wygląda mi bardzo podejrzliwie, zwłaszcza że ma brzuch tęgi.

Ciecierski (ogląda się trwożliwie). Niezawodnie mi się spodoba. Muszę mieć koniecznie schronienie. Zdaje mi się, że przy pani będę bezpieczny pod jej skrzydłami.

Pulcherya. Może pan zechce zobaczyć ów pokój? (*na stronie*) Kto wie, czy to nie on, bo wciąż się ogląda, jak mój mąż.

Ciecierski. Dobrze, zobaczę. Jestem bardzo niepokojny... Ściga mnie... chce mnie zastrzelić...

Pulcherya. Kto? gdzie? (*na stronie*) To z pewnością on.

Ciecierski. Jakiś stary rabuś, wygląda jak zielona małpa, chudy aż strach. Wyzwał mnie na pojedynek. Powiedział, jak się nie stawię, palnie mi w łeb jak psu. Pani złota, jakże ja się mam z tym człowiekiem pojedyńkować? Patrz pani na mnie (*wskazując na brzuch*) toć lepszego celu nie potrzeba. Nie sztuka mnie zabić. Dlatego szukam bezpiecznego schronienia.

Pulcherya (na stronie). Drugi zuch! To on! Dobra sposobność. Już go nie puszczę. (*głośno*). Ten pokój

jest dla pana jakby stworzony (*wskazuje na pokój na lewo, do którego drzwi zamknięte*). Nikt tu pana nie znajdzie. Okno wychodzi na ogród.

Ciecierski (kłania się). Pani bardzo łaskawa. (*na stronie*) Co prawda jest to przystojna i miła kobieta.

Pulcherya. Nie mów nic pan o łaskach, tylko zajmij pokój, a wszystko będzie dobrze.

Ciecierski. Zgadza się jak najchętniej, a mam takie do pani zaufanie, że nie widziawszy pokoju, zaraz się przeprowadzę. (*na stronie*) Coraz więcej mi się ta niewiasta podoba. (*głośno*). Jednakże mam jeszcze dwa zapytania. Pierwsze co do ceny...

Pulcherya. Pokój z kawą rano i usługą kosztuje 30 marek miesięcznie. Przecież to niedrogo. Oto odpowiedź na pierwsze pytanie, na drugie odpowiem, skoro je usłyszę.

Ciecierski. Cena bardzo tania. Co do drugiego pytania... przyznam się, że nie śmiem...

Pulcherya. Mów pan śmiało, nie rób pan żadnych ceregieli.

Ciecierski (na stronie). Ach, jaka ona dobra! Nie każe robić ceregieli. (*głośno*) A więc mogę mieć nadzieję? (*całuje ją w rękę*).

Pulcherya. Nadziei nie trzeba nigdy tracić.

Ciecierski. To jest — czy pani? — to tak trudno wypowiedzieć...

Pulcherya (energicznie). Ale mówże pan!

Ciecierski. Oto, oto chciałbym się zapytać, czy pani samotna, wdowa lub panna?

Pulcherya. Jestem mężatka.

Ciecierski. Jaka szkoda! Ale czy mnie mąż czasem nie zdradzi? (*na stronie*). Przecież to nie on czasem.

Pulcherya. Bądź pan spokojny, gdyż mój mąż to takie spokojne stworzenie, że nawet psu z drogi się namknie.

Ciecierski. Mogę to samo do siebie zastosować.

Pulcherya (otwiera drzwi). Tu oto na lewo jest pański pokój. Rozgość się pan i nie lękaj się niczego.

Ciecierski (całuje rękę Pulcheryi). Usta moje niezdolne do wypowiedzenia, co się w mem sercu dzieje. Żegnaj panię (*całuje w rękę Pulcheryę i wychodzi na lewo w drzwi*).

Pulcherya. Dobrało się dwóch zuchów; najprzód chcą się zastrzelić, a potem jeden przed drugim się chowa. Mój mąż to gorączka. Niechby się dowiedział, że przeciwnik stchórzył, gotów na prawdę się z nim pojedynkować. Pewnie będzie najlepiej, że się poradzę naszego przyjaciela doktora Pigulińskiego. (*Wychodzi*).

SCENA V.

Bibulski, później Pulcherya.

Bibulski (wchodzi z przeciwnej strony środkowymi drzwiami i z przestrachem rozgląda się po wszystkich kątach). Nie ma go tu czasem? Nachodziłem się, że mnie nogi bolą. Na szczęście nigdzie go nie spotkałem. (*Pulcherya wchodzi z prawej strony*).

Pulcherya. Ach, jak to dobrze, mężulku, że już wróciłeś. Właśnie przed chwilą przyszedł...?

Bibulski (z przerażeniem). Co mówisz? Był tu? Szukał mnie? O ja nieszczęśliwy!

Pulcherya. Ależ nie, słuchaj tylko, przyszedł tu...

Bibulski (biega niespokojny po pokoju). I gotów jeszcze raz przyjść. — Gotów mnie zabić w własnym moim domu. Pulsiu złota, ja uciekam. (*Wychodzi, chociaż Pulcherya go przytrzymuje za surdut*).

Pulcherya. Ależ Błażeju, mężu kochany, słuchaj co ci powiem, on tu nie był. Wyleciał jak z procy. Co ja pocznę? Przecież nie stanie się nic złego, skoro tego drugiego i ptaszka mam w klatce. Pójdę spokojna do mej pracy; ci dwaj rycerze niezawodnie ostygną w swych pojedyńkowych zapalach (*wychodzi*).

SCENA VI.

Ciecierski (wychodzi w tołubku)*. Nie ma nikogo. Ach! trudno opisać jak jestem spokojny, zadowolniony, swobodny. Pani domu gościnna, pełna słodyczy i ładna. Szkoda, że ma męża, gdyż przystąpiłbym zaraz do ożenku. Czy jej mężulek jest też taki uprzejmy? Miałbym raj

*) „Tołubek“ jest polski wyraz zamiast niemieckiego „szlafrok“.

na ziemi, gdyby tak było. Wieczorem miałbym towarzysza do maryasza lub do szachów. Potem gawędziłoby się z panią. Może mąż stary, a nużby owdowiała... ach! powiadam raj na ziemi. Pójdę teraz fajeczkę zapalić i przeczytać gazetę (*wychodzi*).

SCENA VII.

Bibulski (zagląda lękliwie przez drzwi uchylone i wkrada się po cichu). Pulsiu, Pulsiu, jesteś tam? Czy mogę wejść? Na szczęście nie ma nikogo. On gotów tu przyjść. (*Patrzy po wszystkich kątach, schyla się pod stół, wtem wchodzi Ciecierski zaczytany w gazetę — chwila zdumienia, potem padają obydwaj na kolana, wołając:*) „au, au, hu, hu!“ (*w końcu mówią szybko na przemianę:*)

Bibulski. Miej pan litość...

Ciecierski. Nie zabijaj mnie...

Bibulski. Przepraszam po tysiąc razy...

Ciecierski. Ja też przepraszam; jam niewinien...

Bibulski. I ja nie — błagam pana.

Ciecierski. Zmiłuj się pan, ja nie znoszę strzelania, proszę o przebaczenie.

Bibulski (wstaje i mówi na stronie). On prosi o przebaczenie... oho, trzeba zacząć z innej beczki. (*krzyczy*). Ty łajdaku, psu bracie jeden, brzuchaczu obrzydliwy, zakradasz się do mego domu, aby mi życie odebrać. Ty nędzniku, niedźwiedziu niezgrabny, zastrzełę cię w tej chwili. Pulsiu, Pulsiu, dawaj pistolety, zabiję, zamorduję, uśmiercę.

Ciecierski (wrzeszczy na całe gardło). Ratujcie, kto w Boga wierzy, bo chcą mnie zabić, zastrzelić. (*Wbiega Pulcherya*).

SCENA VIII.

Ciż i Pulcherya, później dr. Piguliński.

Pulcherya. Co się tu dzieje? Co to ma znaczyć?

Bibulski (biega po scenie i krzyczy:) Gdzie pistolety? gdzie rewolwer?

Ciecierski (wciąż klęcząc:) O pani, bądź dla mnie aniołem; uwolnij mnie od tego bandyty, zbrodniarza, zabijaka! O ja nieszczęśliwy!

Pulcherya. Mężu drogi Błażeju, uspokój się, zaklinam cię na wszystkie świętości. *(wchodzi dr. Piguliński)*

Piguliński. Co to za hałas piekielny? Ludzie, czyście zwaryowali? Trzeba was odesłać do domu obłąkanych. Myślałem, że się sufit załamie od waszego wycia i krzyków. Zaraz mówcie, o co chodzi?

Bibulski. Panie doktorze, ten rabuś wkradł się cichaczem do mego domu, aby mnie zabić podstępnie.

Ciecierski. Nie prawda, to on chciał mnie zgładzić, wszakżeż wciąż woła o pistolety, a ja jestem spokojny jak baranek.

Pulcherya. Mylisz się, kochany mężulku, ten pan to nasz nowy lokator. *(Bibulski wciąż biega po scenie i krzyczy:)* „gdzie moje pistolety“, *(w końcu rzuca się na Ciecierskiego, zaczyna się bijatyka).* Doktorze, rozerwij ich; ja nie mogę patrzeć na coś podobnego. *(Wychodzi).*

Piguliński (rozbraja bijących). Panowie, panowie, toć tu nie karczma, a wy nie jesteście zwyczajnymi łobuzami.

Bibulski. Szanowny doktorze, ten łotr mnie zelżył, podeptał mi odciski, w twarz mnie uderzył, rzucił mój kapelusz na podłogę, i ja mam być cicho?

Ciecierski. Ten człowiek wyzwiał mnie na pojedynek, aby mnie zamordować i chce mnie zastrzelić.

Piguliński. Panowie, uspokójcie się!

Bibulski. Tak, tak, zastrzełę tego brzuchacza.

Ciecierski. Za pozwoleniem, nazywam się Ciecierski, a nie brzuchacz.

Bibulski. Cieciora czy brzuch wszystko mi jedno; zastrzełę i kwita.

Piguliński. Ależ panowie, wam nie wypada się kłócić. Pojedynek to sprawa honorowa. Obraziliście jeden drugiego, a obrazę krwią zmyć trzeba, tym więcej, że się obadwaj wyzwaliście na pojedynek.

Bibulski (zdziwiony na stronie). Czy on dostał pomieszania zmysłów? *(głośno)* Co doktor mówi?

Piguliński. Mówię, że się strzelać będziecie, jako ludzie honorowi. Wybraliście broń palną, a może wolicie na pałasze?

Ciecierski. Dla mnie są wstrętne tak pistolety jak i pałasze.

Bibulski. Kule bardzo żebra dziurawią.

Piguliński. Najdogodniej na pistolety. Na ile kroków, na 10 czy na 5?

Ciecierski (na stronie). A to rzeźnik nie doktor.

Bibulski. Mnie się zdaje, że wystarczy na 500 lub może nawet 1000 kroków.

Piguliński. A może będzie najlepszy amerykański pojedynek — to znaczy, że jeden drugiego nie widzi i strzela.

Bibulski. Zgoda na taki pojedynek, boć w takim razie nie podobna się zastrzelić.

Ciecierski. I ja zgadzam się na amerykański pojedynek.

Piguliński. Nie sądźcie, panowie, że nikt nie ginie. Czasem dwóch pada, a jeden z przeciwników w każdym razie.

Bibulski (trzęsąc się na stronie). Febry dostają.

Ciecierski. Wszystkie żebra latają u mnie jak klawisze.

Piguliński. Zawiążę wam oczy i każdemu dam pistolet do ręki. Staniecie o trzy kroki naprzeciw siebie, a na komendę raz, dwa, trzy, strzelicie równocześnie.

Bibulski. A więc obydwaj zginiemy.

Ciecierski. Boże, Boże! co się dzieje!

Piguliński. A zatem do dzieła, pojedynek odbędzie się za chwilę.

Bibulski. Co? w tym pokoju?

Ciecierski. I to zaraz bez zrobienia testamentu?

Piguliński. Trzeba było dawniej o tem pomyśleć.

Bibulski. Pamiętaj pan o mej żonie i niech na pogrzebie mi zagrają marsz żałobny Szopena.

Piguliński. Stanie się podług pańskiego życzenia. Teraz cokolwiek poczekajcie. (*Wychodzi do drugiego pokoju i wraca zaraz z pistoletami*). Teraz stańcie naprzeciw siebie. (*Przeciwnicy wystraszeni stawają*

szepcząc:) „Ostatnia chwila nadchodzi“ — „Już koniec życia“ — „Niech w piekło przepadną pojedynki“ — „Bądź zdrowa, żono!“

Piguliński. Teraz zawiążę chustką oczy panom i zarzucę worki na głowę (czyni to, a potem kładzie im pistolety w rękę, ale z przeciwnej strony tj. lufy.) Stójcie obywatele spokojnie, a gdy powiem raz, dwa, trzy — wtedy strzelać.

(*Bibulski i Ciecierski trzęsą się ze strachu, trzymając pistolety z przeciwnej strony*).

Piguliński (wyciągając nabity rewolwer z kieszeni) Raz, dwa, trzy (po tych słowach strzela *Piguliński* kilka razy — przeciwnicy padają na podłogę, czyniąc pocieszne skoki. — *Ciecierski* na czworakach kryje się pod stołem, a *Bibulski* biega jak szalony i krzyczy, na stół wchodząc:) Zabił mnie ten niegodziwiec, już nie żyję, żebra podziurawione.

Ciecierski. Ja także nie żyję, gdyż kula przeszła mi serce, czuję wyraźny ból w piersiach. (*Wbiega Pulcherya.*)

Pulcherya. Gwałtu? co się tu dzieje? Padły strzały. Kto ranny? kto zabity? Co ja widzę? Worki na głowach!

Piguliński. Ci dwaj panowie strzelali. Patrz, pani, pistolety jeszcze w ręku trzymają.

Pulcherya (śmieje się). To chyba każdy do siebie strzelał. A skaranie Boże z takimi niedołęgami.

Piguliński. Amerykański pojedynek skończony. Dzielnieście się spisali. Zdejmcie panowie worki z głowy.

Bibulski (zdejmując worek). Czuję coś w żebrach, żono ratuj mnie. A gdzie mój przeciwnik? Niezawodnie go ubiłem.

Piguliński. Leży pod stołem, z pewnością zabity.

Pulcherya. Tak, tak, zastrzelony.

Ciecierski (zdzierając worek). Niestety! chociaż jeszcze żyję, ale wkrótce muszę umierać. Tak mi słabo.

Piguliński. Żart na stronę. Wart Pac pałaca, a pałac Paca. Jesteście obydwaj porządnie tchórzem podszyci. Podajcie sobie rękę na zgodę i życie w przyjaźni. (*Bibulski i Ciecierski padają sobie w objęcia*).

Ciecierski. Panie Bibulski, przepraszam najmocniej, obraziłem pana niechcący. Jeżeli się szanowni państwo, zgadzacie, zamieszkam u was; wieczorami będę grywał z wami w szachy, a czasem w maryasza lub ćwika.

Bibulski. Owszem, owszem, już dawno życzyłem sobie mieć w domu towarzysza do gry i gawędki.

Pulcherya. Cieszę się niewymownie, że ta awantura pomyślnie się zakończyła.

Piguliński. Niech żyje amerykański pojedynek! Oby się wszystkie pojedynki w ten sposób kończyły! (*Wszyscy powtarzają okrzyk:*) „Niech żyje amerykański pojedynek!“. (*Zasłona spada*).

Uwaga. Zaznaczamy, że Bibulski powinien być chudy, a Ciecierski z tęgim brzuchem. Głównie trzeba zwrócić uwagę na ruchy grających, które w tej mianowicie humoresce większy wpływ wywierają, aniżeli słowa.

44. Ogolili go bez mydła.

Igra z dawnych czasów.

OSOBY:

Kasper Letkiewicz.

Senator.

Fryc z Frankfurtu.

Stróż.

Rzecz dzieje się w Krakowie około 1580 r. w mieszkaniu sklepowem.

SCENA I.

Kasper. — Fryc.

Kasper. W Krakowie dłużej popasać nie możemy. Jak nas schwycą, tak albo nas powieszą, albo zasadzą na długie lata do ciemnicy. Trzeba uciekać, ale jakże uciekać, kiedy nie ma ani grosza.

Fryc. Verfluchte Geschichte. Toś ty, kamrat, wszystkiemu winna. Ja już worek w rękę mieć i tobie dać, a tyś głupia bestya dał sobie odebrać.

Kasper. Co ja winien? tyś winien, bo ja cię przestrzegałem, abyś na rynku nie wyciągał pieniędzy z kieszeni ludziom, bo tam się łatwiej może wydać.

Fryc. Hier in Krakau kein Geschäft. Jak ja była w Berlinie, w Frankfurcie, w Breslau i Danzig to był Geschäft. Czasem w jednym dniu 100 florenów.

Kasper. Ale ile też dostałeś batów, a nie nasiedziałeś się dosyć w więzieniu?

Fryc. Ja, ja, ty masz Recht, raz mi dać 100 baty, pręgi jeszcze znać w tyle. Ale co robić, was ist zu machen? Nie złodziejować, to z głodu umrzować, a złodziejować to baty, więzienie, das heisst Gefängniss.

Kasper. Bodaj cię, Niemcze, jak też ty źle mówisz po polsku. Nie mówi się „złodziejować“, ale kraść albo porwać, a nie mówi się „umrzować“, ale umrzeć; już co Niemiec, to Niemiec.

Fryc. Co to jest Niemiec? — daj pokój Niemcom, bo jak cię zaniemcuje (*zamierza się ręką*). Ty głupi Polak, polnisches Schwein.

Kasper. Ty pateraku jakiś, łazego, powsinogo, co przyjdiesz tuczyć się polskim chlebem, ty śmiesz zwać mnie „polską świnią“. To ci nie będzie darowane, ty szwabie jeden, kasztanie, pludraku, Niemcze obrzydły.

Fryc. No, ja cię przeproszać za polski świntuch. My nie mamy czas do kłotnia, trzeba myszlować, aby co zarobić, um etwas verdienen.

Kasper. Ja też tak myślę. No, ten raz ci daruję, ty niemiecka duszo, ale jak jeszcze raz, to się zapoznasz z polską pięścią.

Fryc. Halt Maul — niech będzie cicho. Mam wielki Hunger, to jest, tu w brzuchu, hier im Bauche schlecht — bardzo paskudnie, od wczoraj kein Brod und Fleisch, ani chleb, ani mięso.

Kasper. A toć i mnie piszczą flaki, ale trudna rada. Wiesz co Fryc, założymy golarnię. Ty masz starą brzytwę.

Fryc. Was heisst golarnia, tego nie rozumieć.

Kasper. To niby taki sztuba albo cymer, gdzie (*pokazuje na migi golenie*).

Fryc. Aha rozumować — to ma być Rasirstube. Dieser Vorschlag gefällt mir, — to mi się podobać, ale jak to ausfyrować.

Kasper. Wystaram się o trochę mydła, o pędzle i miseczki.

Fryc. Was soll das heissen — co to ma być?

Kasper. Mydło to niby Seife, pędzle Pinsel, mi-sieczki Teller.

Fryc. Rozumować. To ty Kasper chodzić po ulice, a jak jaki pan, tj. Herrschaft niegoloną brodę mieć, to ty go hier führen, a my go golić mit Seife oder ohne Seife — golować z mydło i bez mydło.

Kasper. No dobrze, już idę. (*Odchodzi*).

SCENA II.

Fryc. Hier in Krakau, tu w Krakowie, żaden bildunek, żaden kultura. Wczoraj jeden chłop z Łobzów, to jak mi dać w pysk, d. h. eine Ohrfeige, to ja na ziemię upadnąć. Verfluchter Kerl. A ja tylko chciała jego córka küssen, tj. dać na buzia albo w buzię. Te chłopy krakowskie to nie znać szarty, oni bardzo grob, grubijańskie. Ich mass aus Krakau fort. Ja muszę precz z Kraków. Frankfurt am Main oder an der Oder, da ist Leben, tam wesołe szycie, aber hier in Pollakei miserabel, tu w polski kraj to nic.

SCENA III.

Fryc. — *Kasper.* — *Senator.*

Kasper. Tu proszę jaśnie wielmożnego pana senatora w tym sklepie jest nasza tymczasowa francuzko-niemiecka golarnia.

Senator. Tfu do stu tysięcy fur beczek szatanów, gdzieś ty mnie, szubrawcze, zaprowadził? Ja senator w sklepie mam być ogolony? Nie siedziałbym tu ani minuty, gdyby nie to, że za pół godziny mam posłuchanie u króla jegomości. No dalej, spieszcie się, talara wam dam. A czy to jest ten sławny golarz?

Kasper. To jest najslawniejszy golarz w niemieckim i francuzkim kraju. On golił samego cesarza niemieckiego i króla francuzkiego i angielską królowę.

Senator. Tfu do stu tysięcy fur beczek szatanów, jakżeż on mógł golić królowę, toć przecież ona nie ma wąsów.

Kasper. Ha — widać, że jaśnie wielmożny pan senator nie był jeszcze w Anglii. Królowa angielska ma delikatny puszek na brodzie, a więc każe co dzień trzy razy golić. Byłby tam mój kolega do dziś dnia w Londynie golił, ale cóż, kiedy zakochał się w królowej a królowa w nim.

Senator. A to ciekawa historia, pewnie nawet nasz król jegomość o tem nie wie, będzie się śmiał do rozpuku, jak mu powiem, że mnie ogolił Niemiec, co angielską królowę golił. No, ale spieszcie się czempredzej.

Fryc. Ein bischen Geduld, Majestät. Es wird bald alles fertig sein. Ja ogolić fein, jakby cesarza. Setzen Sie sich gefälligst, Majestät.

Senator. Majestät, to on mówi do mnie jakby do króla.

Kasper. Bo też jaśnie pan ma zupełnie postawę królewską, tak jakby był na króla stworzony.

Senator. Hm, hm, wszystko to być może, toć u nas tron obieralny, czemużbym nie mógł być królem obrany.

Kasper. A oczywiście — i mnie się tak zdaje, że jaśnie wielmożny pan senator będzie nam królował.

Senator. Co ty mówisz? macie każdy dukata. *(Wyciąga sakiewkę suto nalożoną.)*

Fryc. Tausend Dank, Majestät. Nun wollen wir anfangen.

Kasper. On mówi, że teraz trzeba zacząć golenie. Niech jaśnie pan usiądzie na krześle, spinkę, pas, kontusz, karabelę trzeba złożyć na stole, aby się nie poplamilo. *(Senator się rozbiera.)*

Senator. Połóż tam na wierzchu worek z dukatami.

Fryc. Jetzt geht los gerade wie bei der englischen Königin. Tak jak angielska królowa.

Senator. Ale jakże się to skończyło z angielską królową? Czemu on uciekł, kiedy go angielska królowa kochała?

Kasper. Wieleby o tem mówić, jaśnie wielmożny panie. Krewni się zbuntowali, szlachta i panowie nie chcieli na ożenek pozwolić, mój kolega miał być ścięty. *(Fryc maże zamazyście senatora po twarzy, a Kasper przywiązuje senatora do krzesła.)*

Senator. To zabawna historia.

Kasper. Właśnie dla tego ukrywamy się w tym sklepie, bo jakby się wydało, toby Angliki żądały, żeby mój kolega był posłany do Anglii, a tamby mu głowę ucięto.

Fryc. Nun kommt die Hauptgeschichte.

Kasper. Teraz najważniejsza sprawa. *(Frys przejeżdża pędzlem przez oczy senatora, poczem zabierają z Kasprem rzeczy, mianowicie worek z dukatami i pędzą do drzwi, które zatrząskują).*

SCENA IV.

Senator. Gwałtu, rozbójniki, złodzieje, bij, goń, kto w Boga wierzy. — Jezu, Marya, Józefie Święty, ja nic nie widzę, o szelmy, oszusty, przywiązali mnie do krzesła. Co ja teraz pocznę?... Oślepnę, umrę, zginę... O łobuzy, o przekletniki z piekła rodem, ratujcie, pali się, ogień gore, hej ludzie przychódźcie, zmiłujcie się, zapłacę grubo, spóźnię się do króla na audyencją. *(Rzuca się na krzesło, trze oczy, nakoniec wydobywa się z krzesła, uderza o stół i upada na ziemię; po niejkiej dopiero chwili się dźwiga).* A to awantura; tak oszukiwać i znieważać mnie senatora, wojewodę, pana licznych włości... O poczekajcie łotrzyki, cały Kraków przetrząsnę, niebo i ziemię poruszę, a was zbóje schwycę, na pal was wbić każę, głodem zamorzę, psu braty, zbierzniiki, zbóje. Dzięki Bogu, że już widzę. Coby to było, gdyby senator i wojewoda oślepli? Dalej do drzwi *(stara się otworzyć, ale drzwi mocno z zewnątrz zaryglowane, okienko małe zakratowane u góry, senator wali rozpaczliwie w drzwi pięściami; potem stołkiem, powstaje okropny hałas, nakoniec odzywa się głos za drzwiami).* Kto tam?

Senator. To ja — senator, wojewoda, zbóje mnie zamknęli, okradli, uciekli... Otwórz czempredziej, wszelki człowieku, dostaniesz dukata. *(Słychać otwieranie za drzwiami, potem głos:)* Kto wie coście za jeden, drzwi ciężko otworzyć, a jakbym je popsuł, kto zapłaci?

Senator. Człowieku, bój się Boga; ratuj senatora i wojewodę, dobrze zapłacę, złodzieje mnie tu zwabili, okradli i zamknęli.

Głos. Ten człowiek ma pewnie pomieszanie zmysłów. Jakżeby senator i wojewoda wchodził do tej podłej dziury.

Senator. Człowieku, powiadam ci, jak mi nie otworzysz, będziesz na gardle ukarany.

Głos. O jaki mi zuch, on chce mi gardło ukarać; wypić bym wypił, ale kiedyś taki hardy, to sobie siedź.

Senator. Zmiłuj się, nie odchódź, jestem senator z boku królewskiego, będziesz dobrze wynagrodzony, otwieraj drzwi, jeżeli wierzysz w Boga.

Głos. No, dobrze, dobrze, toć drzwi wysadzę. *(Słysząc znowu otwieranie, walenie, aż nareszcie drzwi się rozwierają).*

Stróż. Wszelki duch Pana Boga chwali — cóż to ma znaczyć?

Senator. Dwaj oszusty chcieli mnie ogolić; od dwóch tygodni nie jestem golony, tak rozebrałem się, usiadłem na krzesło, a oni nieznacznie mnie przywiązali do poręczy, poczem pianą szach mach w oczy, zabrali rzeczy, a mianowicie worek z dukatami, który leżał na wierzchu i w nogi mój drogi, a drzwi zatrzasknęły, mnie zaś zostawili przywiązanego do krzesła z zamydlonemi oczyma.

Stróż. To szkaradna rzecz, a gdzie teraz wielmożny pan pójdzie?

Senator. Daj mi jaką sukmanę i co na głowę, bo tak nie mogę wyjść na ulicę.

Stróż. A jak mi wielmożny pan tak zrobi, jak owe oszusty?

Senator. Pójdiesz ze mną na rynek pod Krzysztofory, tam mieszka mój brat, dam ci dwa dukaty, jak przyjdziemy.

Stróż. Niech i tak będzie *(wychodzi i przynosi starą sukmanę i podartą czapkę).*

Senator (ubiera się). A ślicznie wyglądam! Żeby mi kto był rano powiedział, że się ubiorę w stróżowską czapkę i sukmanę, byłbym powiedział, że mu się we łbie pomieszało, a tu przyszło do tego, że mnie, wojewodę i senatora, pana licznych włości, poczytano za waryata. *(Wychodzi).*

Stróż. A to ogolili bez mydła pana senatora, oj ogolili, że będzie pamiętał na całe życie. *(Zastłona spada).*

IV.

Igry, dramaciki, komedyjki
z większą liczbą osób, oraz różne utwory.

~~~~~

## 45. Rozum i Szczęście.

Powieść ludowa przerobiona na scenę.

---

### OSOBY:

Rozum.

Szczęście, w postaci kobiety.

Król.

Królewna.

Walenty, młody wieśniak.

Kancierz.

Marszałek dworu.

Pachołcy.

Dworzanin.

Rzecz dzieje się przed pałacem królewskim.

---

### SCENA I.

Rozum. — Szczęście.

*Szczęście.* Panie Rozumie, panie Rozumowski, poczekaj; dla czego stronisz ode mnie? wszakżeż szczęście z rozumem powinno zawsze być w towarzystwie dla dobra ludzi.

*Rozum.* Kiedyś bardzo zmienna i kapryśna, panno Fortuno. Unikasz uczonych, zasłużonych mężów. U ciebie zawsze mają pierwszeństwo pieczeniarze, pochlebcy, awanturnicy i dla tego powstało przysłowie: „Lepszy łót szczęścia, niż funt rozumu“.

*Szczęście.* Waszmość pleciesz smalone duby. Wieleby o tem mówić. Wystaw sobie, poznałam w Krakowie zacnego, uczonego profesora, który całe lata ślęczał nad chińską gramatyką. Chciałam go uszczęśliwić, a więc nakłoniłam ku niemu serce młodej, ładnej i dość posażnej

dziewicy. Profesorowi podobała się także. Odbyły się zaręczyny, a jednak małżeństwo nie przyszło do skutku, gdyż uczony wolał się zajmować chińszczyzną, aniżeli odwieczać narzeczoną. Wyręczył go przyjaciel, który też w końcu ożenił się z panną. Posłał on bilet zapraszający na ślub profesorowi, który go przelożył na język chiński i podał do druku. W kilka miesięcy zaczęło mu w głowie majaczyć, że to jego dawniejsza narzeczona. I chciej tu uszczęśliwić uczonego człowieka!

*Rozum.* Ów przykład niewiele dowodzi, gdyż po 1) nie wiadomo, czyby ów profesor żł szczęśliwie w małżeństwie, a po 2) może dlań badania nad chińską gramatyką są szczytem szczęścia na ziemi. A cóż mówić o poetach artystach i uczonych mędracach, którzy swój naród ozdobili nieśmiertelną sławą, a za życia głód cierpią i umierają z niedostatku!

*Szczęście.* Za to czeka ich cześć i sława u późnych pokoleń. Ale przestańmy mówić o tej sprawie, bo się wzajem nie przekonamy. Myślę o czem innem. Tu w tym pałacu mieszka król bogaty, ojciec córki jedy-naczki. Królowna jest piękną, dobrze wychowaną i cno-tliwą, ale cóż z tego, kiedy nie chce przemówić ani słowa. Król z tego powodu jest bardzo nieszczęśliwym. Ogłosił on, że kto spowoduje królownę, aby mówiła, odbierze jej rękę z tronem, a choć się zbiegają liczni książęta, panowie i szlachta, córka królewska jak nie mówi, tak nie mówi. Czy widzisz tam daleko w polu młodego wieśniaka, orzącego pole?

*Rozum.* Znam go; imie mu Walenty, to nie głupi chłoppek.

*Szczęście.* Wnijdź w niego; niech tu przyjdzie i przełamie opór królowny.

*Rozum.* Dobrze, a co ty zrobisz?

*Szczęście.* Wnijdę w tę oto pogrzebaczkę od węgla, a zobaczysz, co się stanie.

*Rozum.* Wielka z ciebie wietrznica, panno Fortuno, kiedyż się usatkujesz? (*Odchodzą*).



## S C E N A II.

*Król.* Długo stała w kącie pogrzebaczka. Nikt na nią nie spojrział. Dziś, przypatrzwszy się jej bacznie, dostrzegłem, że to jest pierwotne berło moich dalekich przodków. Zdaje mi się, że używał go Popiel lub Leszek, a może nawet Ćwieczek I., ów monarcha, o którym nie pisze wprawdzie żadna kronika, chociaż jest pewną rzeczą, że panował w moim kraju. Nazwa „Ćwieczek“ wskazuje na związek z żelazem, zatem używał zapewne żelaznego berła. Będzie ono teraz główną ozdobą mego skarbcza. Poszlę zaraz to berło do uczonych archeologów czyli starożytników, aby zdali swój sąd o tym pradawnym zabytku naszej przeszłości. (*Odchodzi.*)

## S C E N A III.

*Walenty.* Słyszałem, że córka królewska nie chce mówić. Kto ją uzdrowi, tj. nakłoni do mówienia, dostanie ją w małżeństwo i zasiądzie na tronie. Czuje rozum w głowie, zatem odważę się na wykonanie tego przedsięwzięcia. (*Wchodzi król.*)

*Król.* Coś ty za jeden i jak tu śmiesz wchodzić, nie zgłosiwszy się poprzednio u mego marszałka dworu?

*Walenty.* Jestem wieśniak Walenty z Czechowa. Słyszałem, że córka naszego Najjaśniejszego Pana nie chce mówić. Ja Walenty podejmuję się ją uzdrowić.

*Król (na stronie).* Chłop ma być moim zięciem? Nie, na to nigdy nie zezwolę. (*Głośno.*) Dobrze, możesz pokazać swą sztukę. Ale pamiętaj, że jak nie uzdrowisz królewny, będzie ci głowa ucięta.

*Walenty.* Niechże i tak będzie, Najjaśniejszy Panie. Ja się na wszystko odważę.

*Król (klaszcze w dłonie, wchodzi dworzanin).* Niech tu przyjdzie moja córka. (*Dworzanin kłania się, a wkrótce wchodzi królewna.*)

*Król.* Oto moja córka. Naucz ją mówić, a odbierzesz królewską nagrodę.

*Walenty.* Dołożę wszystkich sił moich, aby spełnić rozkaz Waszej Królewskiej Mości. Widzę tam pieska, a że to wielce dowcipny piesek, przeto opowiem mu

rzecz bardzo ciekawą. Słyszałem, piesku, że jesteś bardzo mądry, przeto proszę cię o radę. Było nas trzech towarzyszy: rzeźbiarz, krawiec i ja. Szliśmy przez las, gdzie trzeba było przenocować. Dla ubezpieczenia się przed wilkami rozpaliliśmy wielki ogień. Stała ugoda, że jeden z nas będzie kolejno czuwał. Rozpocząwszy rzeźbiarz, wziął kawał drzewa i wykonał zeń prześliczną pannę. Gdy ukończył pracę, obudził krawca, mówiąc: „Z długiej chwili wziąłem kawał drzewa i jak widzisz, wyrzezałem z niego pannę; jeżeli ci się będzie dłużyło, możesz jej uszyć ubiór“. Krawiec dobył zaraz z to-moczka sukna i różnych tkanin, a wzięwszy igłę i nici, uszył w kilka godzin ubiór. Potem zawołał na mnie, abym czuwał, mówiąc: „Jak widzisz, dłużyło się rzeźbiarzowi, przeto wyrzeźbił z drzewa pannę, jam wykonał dla niej szaty, a ty możesz ją nauczyć mówienia“. Zabrałem się zaraz do dzieła i istotnie nad ranem panna umiała dobrze mówić. Gdy się obudzili moi towarzysze, chciał każdy mieć tę pannę. Rzeźbiarz mówi: „Jam ją wykonał“. Krawiec woła: „Jam ją ubrał“; a ja broniłem także swego prawa. Powiedz mi teraz, mój mądry piesku, do kogo z nas ta panna ma należeć?

*Królowna.* Komużby innemu miała należeć, jeżeli nie tobie? Cóżby za znaczenie miała panna bez życia i mowy, chociażby była jak najpiękniej ustrojona! Tyś jej dał dar najlepszy, tj. mowę, a można powiedzieć i życie, gdyż czemuż życie bez mowy?

*Walenty.* Zgadzam się na to zdanie, a że ja spowodowałem najjaśniejszą królowną do przemówienia, przeto mam nadzieję, że uzyskam przyrzeczoną nagrodę.

*Królowna.* Zastósuję się do woli mego królewskiego ojca i pana.

*Król.* Sprawa to bardzo ważna, przeto muszę się naradzić z kanclerzem i marszałkiem. *(Klaszcze w dłoń, do wchodzącego dworzanina).* Niech tu przyjdzie natychmiast wielki kanclerz i marszałek dworu.

*Królowna.* W każdym razie, mój poczciwy Walenty, dziękuję ci za wrócenie mi mowy. Będę ci wdzięczną przez całe życie. *(Podaje mu rękę, którą Walenty całuje z uszanowaniem; wchodzi kanclerz z marszałkiem;)*

*Kanclerz.* Co ja widzę? Prosty chłop całuje w rękę najjaśniejszą królowną, a wasza Królewska Mość na to pozwala!

*Królowna.* Walenty wrócił mi mowę, przeto należy mu się podziękowanie. Spodziewam się, że królowna powinna być wzorem grzeczności i wdzięczności dla wszystkich.

*Kanclerz.* Słusznie, słusznie. Święte słowa królewiczowskiej mości. (*Kłania się z przesadą*)

*Król.* Wezwałem was, moi kochani, do rozsądzenia ważnej sprawy. Przrzekłem wprowadzić rękę córki i koronę temu, kto dokaże tej sztuki, że moja córka przemówi, jednakże sądziłem, że to będzie jaki książę, hrabia lub rycerz, nie przypuszczając, że to się uda chłopu.

*Kanclerz.* Pozwól, Najjaśniejszy Panie, że poprzednio zdam sprawę o poszukiwaniach w sprawie berła Ćwiczka.

*Król.* Mów, mów, jestem bardzo ciekawy.

*Kanclerz.* Uczeni archeologowie oświadczyli, że owa mniemana pogrzebaczka jest istotnie naszym najstarszym berłem. Wykryli nawet na tym najszacowniejszym zabytku przeszłości niewyraźny i zatarty napis: „Czwieczek“. Wówczas wyrażano głoskę „Ć“ przez „Cz“, o czym napisał rozprawę w dwóch grubych tomach sławny profesor Dardaniusz.

*Szczęście (wchodzi).* Nie widzi mnie nikt. Widzicie, moi państwo, co się dzieje z pogrzebaczką. gdy ją otoczyłam memi względami. Bądźcie tylko cierpliwi, a nasłuchacie się i zobaczycie wiele ciekawych rzeczy. (*Odchodzi*).

*Król.* Ogłosisz, mój kanclerzu, o tym radosnym wypadku memu narodowi osobnym dekretem. Niech zaraz będzie wykonane piękne schowanie, wybite aksamitem, w które się włoży berło Ćwiczka I., najstarszego przodka mego rodu. Niech będzie wymalowany piękny obraz, przedstawiający owo żelazne berło. Na pamiątkę odszukania tego starożytnego zabytku będzie jutro w stolicy urządzona uczta ludowa. Rozkazuję upiec dwa woły i dziesięć wieprzów. Wystawić kilka beczek miodu i piwa. Na wódkę nie pozwalam, gdyż piłoby



wszystko na zabój, z czego powstałoby zgorszenie. I tak myślę o tem, aby pozamykać szynki i wszystkie knajpy, jak to uczyniono w Rosyi i Królestwie Polskiem. Kapele wojskowe grać będą w różnych miejscach stolicy.

*Kanclerz.* Stanie się podług rozkazu Waszej Królewskiej Mości.

*Król.* A teraz przystąpimy do załatwienia innej sprawy. Oto Walenty uzdrowił mą córkę. Pytam się ciebie, mój kochany Walenty, jakiej żądasz nagrody?

*Walenty.* Dopraszam się, aby podług królewskiego słowa królowna była moją żoną.

*Kanclerz.* Co ty sobie myślisz, chłopie nikiemny? Zkąd ty do tego przychodzisz, aby żądać za żonę córki królewskiej? Już ta sama myśl jest zbrodnią, ale że to czynisz z głupoty, przeto prosić będę Najjaśniejszego Pana o darowanie ci winy. Odbierzesz wspaniałą nagrodę, bo nasz monarcha jest dziwnie łaskawym.

*Król.* Tak, tak, mój Walenty, dostaniesz dwie wsie, garniec pieniędzy i zamianuję cię pułkownikiem a choćby jenerałem, ale córki dać ci nie mogę, gdyż pochodzisz z prostego stanu.

*Walenty.* Czyż to chłop jest czemś gorszem, aniżeli szlachcic, rycerz lub choćby taki kanclerz świecibaka, co tu strzyże a tam goli?

*Kanclerz.* Najjaśniejszy Panie, to jest obraza kanclerskiego honoru, a nawet królewskiego tronu.

*Królowna.* Tegobym nie powiedziała... inna rzecz kanclerz, a co innego król.

*Walenty.* Czyż to w Polsce kmieć Piast a w Czechach różnik Przemyśl, chociaż pole orali, nie byli wyniesieni na tron królewski?

*Królowna (klaszcze w dłonie).* Wybornie, wybornie, mój Walenty. Podoba mi się twoja nieustraszona odwaga. Widać, że masz rozum.

*Kanclerz (na stronie).* Co prawda — nie spodziewałem się, żeby prostak umiał tak przemawiać.

*Król.* Niegłupi z ciebie człowiek, ale córki mimo to nie mogę ci dać za żonę.

*Walenty.* Jego Królewska Mość przyrzekła bezwarunkowo, że kto uzdrowi królownę, będzie jej mężem.

Królewskie słowo jest świętem i jest najwyższem prawem. Jeżeli król chce, aby inni prawo szanowali, niechże sam najprzód prawo szanuje. Albo życie stracę, albo królowna musi być moja.

*Królowna (na stronie).* Jakże ten kmięć zawstydzia niejednego księcia!

*Kanclerz.* To ty tak zuchwale przemawiasz do królewskiego majestatu. Najjaśniejszy Panie, stawiam wniosek, aby Walentego, chłopca z Czechowa, skazać na śmierć przez ucięcie mu głowy mieczem. Wyrok niech będzie natychmiast wykonany. *(Na stronie).* Trzeba się pozbyć niebezpiecznego przeciwnika. Widzę, że królownie wpadł w oko, bo też co prawda, jest to chłop młody i przystojny.

*Król.* Ogłaszam wyrok, że chłop Walenty ma być śmiercią ukarany.

*Walenty.* Za twoje myto kijem cię obito. Niech żyje siła przed prawem! Ale pamiętajcie, moi panowie, że jest Bóg na niebie, a On srogo was ukarze.

*Kanclerz.* Hej pacholcy, zakuć w kajdany tego zuchwalca i odprowadzić do więzienia. Panie marszałku, proszę się zająć wykonaniem królewskiego wyroku. A to dopiero chłop zuchwały! To czysty bunt. Lud gotów się wzburzyć i wywołać rewolucyą, a wtedy padłaby moja głowa pod toporem. *(Wchodzą pacholcy i wiążą Walentego).*

*Walenty.* Kto wie, co cię czeka? Żegnaj królowno, niech Ci Bóg błogosławi!

*Królowna.* Nie trać nadziei, Walenty, gdyż w najgorszej przygodzie stoi Bóg w odwodzie. Ja modlić się będę za ciebie. *(Pacholcy wyprowadzają Walentego. Królowna wychodzi).*

*Kanclerz.* Pójdę sam, aby wyrok był natychmiast spełniony, gdyż widzę wyraźnie, że królowna w tym chłopie zakochana. *(Wychodzi).*

*Szczęście (wchodzi).* Nie miejcie państwo obawy, nikt mnie nie widzi i nie słyszy, oprócz szanownej publiczności. Żle z Walentym. Gotowi stracić biedaka. A szkoda takiego ładnego chłopca. Wszakżeż tak, moje panienki? Wypuszczam z opieki pogrzebaczkę i wchodzę

w Walentego. Zobaczycie państwo, co się stanie. Dobrze powiedział Rozum, że lepszy łót szczęścia aniżeli funt rozumu. Ale to głupstwo, bo i rozum tj. oświata, jest do szczęścia potrzebny. Teraz jednakże nie ma funtów i łótów, tylko kilogramy i gramy, co mi nieraz sprawia trudności, bo ja się uczyłam rachunków, kiedy jeszcze panowały funty i centnary. Ale ten kanclerz to zażarta sztuka! Ho! ho! wiem ja wszystko, zachciało mu się królewnej. To czysty fujara. Ale gadu gadu, a chłopcy na śliwkach. Dalejże bronić Walentego. (*Odchodzi, kanclerz się zjawia*).

*Król.* Cóż mi powiesz, mój kanclerzu, czy już Walenty stracony?

*Kanclerz.* Jeszcze nie. Powracam w sprawie owego berła. Najuczeńszy nasz historyk, Szperalski, przesyła żądane sprawozdanie o żelaznem berle Ćwieczka, a że to rzecz niesłychanego znaczenia, przeto własnoręcznie przynoszę owo pismo.

*Król.* Odczytaj, kanclerzu.

*Kanclerz (czyta).* Rozprawa o mniemanem berle mniemanego Ćwieczka I.

*Król.* A to zuchwałość! Ów mniemany uczony zaprzecza, jakoby owo berło nie było berłem mych przodków, a nawet nie chce uznać króla Ćwieczka! Jest to straszne przestępstwo. Czytaj dalej, kanclerzu.

*Kanclerz.* Powszechnie uważają Lecha za pierwszego rządcę naszego kraju. Miał on panować w Gnieźnie. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa Lech nigdy nie istniał. Tym mniej mógł istnieć Ćwieczek I, o którym nie ma w żadnej kronice najmniejszej wzmianki.

*Król.* Widzę, że to bardzo długie pismo. Przeczytam to sobie później. Odczytaj, kanclerzu, ostatni ustęp o berle.

*Kanclerz (czyta).* Zatem co do mniemanego berła Ćwieczkowego oświadczam stanowczo, że to zwyczajna pogrzebaczka do mieszania węgli, nic więcej.

*Król.* To obelga królewskiego majestatu. Kanclerzu, niech mi przyniosą owo berło. (*Kanclerz wychodzi*). Przypatrzę mu się jeszcze raz uważnie, a potem drżycie, zuchwalcy.



*Kancelarz (wchodzi z pogrzebaczką).* Otóż przynoszę żelazne berło. Zdaje mi się, że Szperalski ma istotnie trochę słuszności. (*Wchodzi królowna i Szczęście*)

*Król.* Co widzę? Zwyczajna pogrzebaczka! Któż śmiał twierdzić, że to berło Cwiczka I.

*Szczęście.* Wracam z miejsca tracenia. Walenty ocalony. Pogrzebaczka jest znowu pogrzebaczką, bo już przestałam się nią opiekować. (*Wychodzi*).

*Królowna.* Ojczy mój i panie! Ty sam powiedziałeś, że to jest żelazne berło, puścizna po naszych przodkach. Jest to jednakże tylko zwyczajna pogrzebaczka, którą ukuł nasz kowal nadworny przed dwoma laty.

*Król.* A tak, przypominam sobie. Nie wiem, zkaąd mi to przyszło, aby prostą pogrzebaczkę nazwać berłem. Jakieś dziwne przywidzenie. Uczty nie będzie, wołom dać pokój.

*Kancelarz.* Biegnie marszałek. Dowiem się zaraz, jaką wieść przynosi? (*Odchodzi*).

*Królowna.* Królu mój i Panie! Stała się wielka niesprawiedliwość. Ów Walenty, który sprawił, że rozmawiam, nie powiedział nic złego. Wszakżeż słowo królewskie powinno być świętem, a więc należy go dotrzymać. Coż sobie pomyślą twoi poddani, ukochany ojczy, gdy niewinnemu człowiekowi, który wyświadczył wielkie dobrodziejstwo królewskiej córce, odbiera się życie. Takąż to wdzięczność za przysługę?

*Król.* Ależ moje dziecko najukochańsze, zważ, że Walenty jest chłopem.

*Królowna.* A co to szkodzi? Oby wszyscy książęta i wszyscy urzędnicy byli tak mądrymi, jak Walenty! A czyż nie jest w twojej mocy, aby Walentego uczynić księciem?

*Król.* Masz słuszność. Walenty niech będzie wolny od wszelkiej kary. Mianuję go księciem góry Lechowej. Jeżeli chcesz, niech będzie twoim małżonkiem!

*Królowna.* Ogłoszono wyraźnie, że kto mi mowę wróci, będzie mym małżonkiem. Rada nierada spełniam królewskie przyrzeczenie.

*Król.* Oj ty filutko! Wiem, co się dzieje w twem serduszk. Podoba ci się Walenty. Nie dziwię się temu,

bo to chłop okazały, silny i urodny. Zresztą to już nie chłop, ale ksiązę na Lechowej Górze.

*Królewna.* Składam ci dzięki serdeczne, ojciec mój i panie!

*Król.* Za to przypłaci kanclerz życiem. Dopuszczał on się różnych bezpraw. Słyszę, że w kraju panuje przeciwko niemu oburzenie. (*Wchodzi kanclerz*).

*Kanclerz.* Najjaśniejszy Panie! Dzieją się dziwne rzeczy za miastem. Katowi pękł miecz u rękojeści, jakoby go kto przełamał. Posłano po inny miecz, ale nie można było nigdzie innego znaleźć. Lud się burzy i grozi powstaniem. Co czynić?

*Król.* Już ułaskawiłem Walentego, a przytem oddaję mu córkę w małżeństwo. Aby zaś zatrzeć różnicę stanu, mianowałem go księciem na Lechowej Górze.

*Kanclerz.* Ależ to nie podobna. Walenty, choć z tytułem księcia, jest nieokrzesanym chłopem. Dla córki Waszej Królewskiej Mości byłby najstósowniejszym jaki wysoki urzędnik.

*Król.* Powiadają, że ty chcesz być moim zięciem.

*Kanclerz.* Gdyby Wasza Królewska Mość i dostojna królewna się na to zgodzili, prosiłbym o uwzględnienie mej proźby.

*Królewna.* Taki stary dziad miałby być moim małżonkiem! Wolę rutę siać, albo iść do klasztoru, aniżeli świat sobie zawiązać. Zresztą twój charakter, kanclerzu, jest mściwy, brudny i podstępny. Za twoją sprawą wydał ojciec mój i król niesprawiedliwy wyrok na Walentego.

*Król.* Kanclerzu, dopuściłeś się licznych wykroczeń przeciw prawu. Lud w całym kraju na ciebie narzeka. Lechici nad jeziorem Gopłem skarżą się, że ich chcesz wytepić. Skarb pusty, gdyż zabierasz dla siebie pieniądze. Panowanie twoje się skończyło. Głowa twoja padnie pod toporem kata.

*Kanclerz.* Jestem niesłusznie oskarżony. Byłem zawsze najwierniejszym sługą Waszej Królewskiej Mości. Z zarzutów łatwo się oczyszcze. (*Pada na kolana*). Najjaśniejszy Panie, bądź dla mnie sprawiedliwym sędzią i miłosiernym ojcem.

*Król.* Będziesz oddany pod sąd, a przede wszystkim każe cię osadzić w więzieniu. Hej pachołcy, bywajcie. (*Wchodzi dwóch pachołków*). Osadzić kanclerza w ścisłym więzieniu. Niech w tej chwili leci poseł na plac tracenias z oznajmieniem, że Walenty, mianowany księciem na Lechowej Górze, przywrócony jest do łaski królewskiej. Niech jak najprędzej stawi się przed moje oblicze.

*Kanclerz.* Łaski, miłosierdzia!

*Król.* Pachołcy, czyńcie waszą powinność. (*Pachołcy wyprowadzają kanclerza*).

*Szczęście (wchodzi).* A co — jaki obrót wzięła sprawa? Kanclerz nadużył urzędu i względów. Pomagałam mu, ale on piał się coraz wyżej, popełniał zbrodnie, a nakoniec zachciało mu się córki królewskiej i tronu. Najwięcej mi się nie podoba, że gnębił bardzo Lechitów nad Gopłem, którzy zasługują raczej na współczucie, aniżeli na prześladowanie. Oj, ci Lechici! Czyniłam wiele dla nich, ale cóż! brakło im rozumu, a mianowicie politycznego. Niepotrzebnie rwali się do broni. Trzeba pomówić z Rozumem, aby tych biedaków ocalić. Ja im sprzyjam, gdyż bądź co bądź Lechici nie są złym narodem. (*Wychodzi*).

*Król.* Czy tu nie był kto w pokoju? Zdawało mi się, jakoby ktoś po cichu rozawiał.

*Królowna.* Nic nie widziałam i nie słyszałam. Słysząc okrzyki ludu na ulicy. Zapewne wraca Walenty.

*Król.* O włos byłaby się stała niesprawiedliwość.

*Królowna (spogląda oknem)* Istotnie Walenty, książę na Lechowej Górze, wchodzi w podwoje.

*Król.* Tak, tak, jest on teraz księciem. Dekret na księstwo każe wkrótce wygotować. (*Wchodzi Walenty*).

*Król.* Przebac mi, Walenty, moją porywczosć. Nie jesteś chłopem, gdyż mianowałem cię księciem na Lechowej Górze. Kanclerz zawinił, za to siedzi w kozie. Pobudzał on mnie do różnych nieprawości. Wytoczony mu będzie proces. Przypłaci niezawodnie swe nieczne sprawki życiem. Ty książę Walenty zajmiesz jego miejsce, gdyż zdaje mi się, że posiadasz odwagę i wielki rozum, a moja córka będzie twoją żoną.



*Walenty.* Składam dzięki za łaskę królewską. Nie zapomnę nigdy, że urodziłem się pod słomianą strzechą. Starać się będę zawsze o dobro ludu wiejskiego, rzemieślników i robotników. Lud to przyszła nadzieja naszej ojczyzny.

*Królowna.* I ja kocham lud pocziwy, to też dopomagać ci będę w tej szlachetnej pracy. A teraz, księżę Walenty, pójdźmy do ojca, aby nam pobłogosławił. (*Klękają przed królem*).

*Król.* Dzieci moje, błogosławię wam, bądźcie szczęśliwi. (*Młodzi wstają. Król klaska w ręce*). Niech tu przyjdzie marszałek dworu. Zobaczycie, co się stanie. (*Wchodzi marszałek*). Słuchaj, mój marszałku! odbędzie się pojutrze wielka zabawa dla ludu. Każę upiec nie 2. ale 20 wołów, i to tłustych, wielkich wołów i kilkadziesiąt wieprzy. Ustawione będą dwie wodnice, tj. fontanny; jedna będzie wyrzucała biały a druga miód czerwony. Jednakże zakazuję wyraźnie, że nie ma być pijaństwa. Ktoby był w tym dniu pijanym, dostanie 10 batów i będzie osadzony w ciupie. Piekarze upieką kilkadziesiąt olbrzymich placków. Każdy z nich ma być 10 łokci długi, dwa szeroki, a pół łokcia gruby. Będą też różne widowiska, bezpłatne teatralne przedstawienia, muzyka, śpiewy i tańce. Na tę piękną zabawę zapraszam także wszystkich tu obecnych. Najecie się państwo, napijecie i zabawicie wybornie. Do widzenia!

*Walenty.* Niech żyje Najjaśniejszy Pan, dobroczyńca ludu! (*Odchodzą*).

#### SCENA IV.

Szczęście, Rozum.

*Szczęście.* No i jakże, panie Rozumie? Gdyby nie ja, byłby Walenty pożegnał się z życiem. A byłoby go szkoda, bo to pocziwy i rozumny człowiek. Teraz dostanie córkę królewską za żonę, a później zasiądzie na tronie. Przrzekł, że będzie się opiekował ludem.

*Rozum.* Oj, panno Fortuno, co ty za figle wyprawiasz! Raz już przecież się popraw i obdarzaj swemi względami tylko zasłużonych.

*Szczęście.* Szczęście, szczęście — i cóż to jest szczęście? Dla skąpca największem szczęściem wór pieniędzy, a gdy ma jeden, zachciewa mu się drugiego, później trzeciego itd. Kochanek uważa za największe szczęście, jeśli stanie na ślubnym kobiercu z bogdanką. A po ślubie co? Mąż wysiaduje w knajpie, hula po całych nocach, gra w karty i ugania się za innymi kobietami. Gdy potem nastąpi upadek, wtedy narzeka się na brak szczęścia. Rodzice wychowują źle dzieci, nie karzą ich w pierwszej młodości, a później użalają się, gdy ich dorosłe dzieci nie szanują. Któż temu winien? Mówicie, że bogactwa stanowią szczęście ludzi. Zapytajcie się bogaczy, czy są szczęśliwymi?

*Rozum.* Wykształcenia, nauki potrzeba, ale nauka powinna być wykładana w ojczystym języku. Rzadko umie korzystać z bogactw człowiek niewykształcony.

*Szczęście.* Wiesz co, mój kochany Rozumie, zgadzam się na twoje wywody, dla tego odtąd pragnę tylko tych uszczęśliwiać, którzy się będą garnęli do oświaty. Można się i później uczyć, gdy się już wyszło ze szkoły. Wypełnianie obowiązków, praca, nauka, oszczędność a mianowicie przestawanie na małym, zadowolenie z tego, co się ma — oto główne podwaliny szczęścia. Nie będzie nigdy ten szczęśliwym, kto przede wszystkim w kartach i w kieliszku szuka pociechy.

*Rozum.* Święte to słowa. Polacy wydają co rok na wódkę, wino, piwo i karty około 300 milionów marek, a większa część tych pieniędzy bogaci obcych.

*Szczęście.* Proszę cię, mój kochany panie Rozumie, czyby nie można przyjść w pomoc biednym Lechitom?

*Rozum.* Zawisło to przede wszystkim od nich samych. Niech się oświecają, niech pracują i niech będą oszczędnymi. W tem spoczywa ich szczęśliwsza przyszłość.

*Szczęście.* Dopomóżmy im, gdyż jest to bardzo nieszczęśliwy naród. Obchódźmy polskie sioła i miasta, zachęcajmy nie tylko do oświaty, pracy i oszczędności, ale także do zgody, jedności, poświęcenia, popierania się

wzajemnego, a myślę, że wkrótce będzie lepiej w polskim kraju. (*Zasłona spada*).

**Uwaga.** Osoba, przedstawiająca Rozum, może mieć pióro za uchem i książkę w ręku. Osoba żeńska w roli Szczęścia powinna być ubrana fantastycznie w migocącym stroju. Sztuka ta, dobrze odegrana, nie tylko zabawi słuchaczy, ale także pouczy.

## 46. KRZYŻYK NA DROGĘ.

Komedyjka w jednym akcie. — Napisał Felicyan.

### OSOBY:

Kalasanty, sędziwy obywatel.

Kunegunda, jego żona.

Scholastyka.

Rózia, wnuczka Kalasantego.

Józef, młody aptekarz.

Rzecz dzieje się w Warszawie, scena przedstawia pokój bawialny.

### SCENA I.

Kalasanty. — Rózia.

*Kalasanty.* Moja Rózienku, idź już do magazynu.

*Rózia.* Ośma blisko. Mój dziadusiu — jeszcze chwileczkę. Dziaduś wie, że pan Józef dziś wyjeżdża?

*Kalasanty.* Wiem o tem.

*Rózia.* Do Lublina.

*Kalasanty.* Tak, tak.

*Rózia.* Zupełnie — ze wszystkim.

*Kalasanty.* A więc — cóż z tego?

*Rózia.* Na długo — może na zawsze. —

*Kalasanty.* Ach ty nic dobrego — już ja widzę, że on ci się spodobał. Nie bój się — nie w ciemę ja bity. Coś bardzo lubisz podlewać kwiatki w oknie. Kaktusy to już chyba całkiem pogniją.

*Rózia.* Mój dziadusiu, mój serdeczny — pan Józef mnie kocha.



*Kalasanty.* Ee — zaś!

*Rózia.* Wczoraj mi to powiedział.

*Kalasanty.* A pfe! Co ty mówisz?

*Rózia.* Cóż z tego. Czy to dziadzio nie kochał babci?

*Kalasanty.* A pewnie, wszakżeż się z nią ożeniłem.

*Rózia.* To też i pan Józef nie inaczej myśli.

*Kalasanty.* A czemuż się nie oświadczy? —

*Rózia.* Kiedy się ogromnie babci boi.

*Kalasanty.* A! tak — no — tego — (*bierze w szczyptę tabaki*).

*Rózia.* Ale ty, dziaduniu złocisty, żebyś tylko chciał, toby cała rzecz jak z płątka poszła.

*Kalasanty.* Co mam uczynić?

*Rózia.* Oto niechby dziadus sam o wszystkim babci powiedział.

*Kalasanty.* A jak się rozgniewa?

*Rózia.* Jak się rozgniewa?

*Kalasanty.* Otóż to właśnie.

*Rózia.* Wtedy niech się dziadus także ostro stawi.

*Kalasanty.* A! ostro — ostro — hu — ostro. —

*Rózia.* Nie tak ostro, żeby się aż pokłócić — ale...

*Kalasanty.* Ale żeby koniecznie postawić na swoim — wszakżeż tak?

*Rózia.* Mój dziadusiu — mój dziadusiu — panna Scholastyka powiada, że to jest chłopiec jak perła.

*Kalasanty.* A ty temu nie przecyzysz.

*Rózia.* Tylko co zdał egzamin na prowizora.

*Kalasanty.* Hm — niezły kawałek chleba. Można zostać aptekarzem.

*Rózia.* O! i wyjść na pana. Ja nie taka, żebym nie myślała o przyszłości.

*Kalasanty.* Wcale niezły chleba kawałek. Prowizor, panie dobrodzieju, często się żeni z wdową po swoim pryncypale i bierze aptekę.

*Rózia.* Ach mój Boże! z wdową po pryncypale? co też dziadzio mówi! Pan Józef mi przysiągł, że jak się ze mną nie ożeni, zostanie księdzem.

*Kalasanty.* To także niezgorszy kawałek chleba.

*Rózia.* Ach! jak babcię Kocham! — dziadzio sobie żartuje.

*Kalasanty.* Ale poczekajże. Kiedy ty tak prędko gadasz, że ja się nawet z sobą połapać nie umiem. Jakże? Kocha cię, powiadasz, a do Lublina wyjeżdża?

*Rózia.* To też ja nie chcę, żeby pojechał.

*Kalasanty.* Czy mu można zabronić?

*Rózia.* Ale niech wie, że mnie dostanie, to wróci choćby za rok, za dwa, — będę czekała — a tak, to sobie pojedzie na zawsze.

*Kalasanty.* Hm — ostro się stawić — powiadasz?

*Rózia.* Babcia zawsze mówi: że ja tylko wtedy wyjdę za męża, skoro jej się spodoba.

*Kalasanty.* O! zaś!

*Rózia.* I myśli, że pójdę za męża za tego utrapionego pana Ildefonsa, co to sobie włosy z karku na łysinę nagarnia.

*Kalasanty.* Ja zawsze powiadam, że mógłby sobie sprawić perukę.

*Rózia.* Brzydki, stary, nieznośny!

*Kalasanty.* I to takiemu płacą. słyszę, pięć tysięcy złotych pensyi.

*Rózia.* Ale ja za niego nie pójdę! *(coraz głośniej)* ja go nie cierpię! ja go nienawidzę! ja go nawet kiedy tak uszczypnę...

*Kalasanty.* Cicho Róziu — cicho na miłość Boską — babcia może nadejść.

*Rózia (jeszcze głośniej).* Jabym miała iść za niego — nie, raczej życie utracę.

*Kalasanty.* Aj! co ty mówisz?

*Rózia (z płaczem).* Albo też, jeżeli nie pójdę za pana Józefa, wstąpię do klasztoru.

*Kalasanty.* Co ty wygadujesz? Rozpłakało mi się dziecko. Już dobrze — już dobrze — zrobię wszystko co tylko chcesz — tylko nie płacz. Proszę cię, jak mnie kochasz, idź już do magazynu. Panna od czepeczków znowu cię wyłaje.

*Rózia.* Co? ta śmierć angielska? Wydam ją za pana Ildefonsa, to się przeprosi.

*Kalasanty.* Ta, ta, ta, ta — tur, tur, tur, tur, — czysty kołowrotek. U ciebie w jednej torbie śmiech z płaczem. Idź-że już raz, ty pokuso.

*Rózia* (rzucając mu się na szyję). Dziadusiu, dziadusiu — dziadzio musi koniecznie tańczyć na mojem weselu. Idę czempnąć do składu. Przechodząc, szepnę babci, że dziadzio ma jej coś do powiedzenia. (*Wybiega*).

## SCENA II.

Kalasanty sam.

*Kalasanty* (wołając za *Rózią*). Czeka! Może lepiej nie mów! — Już poleciała. Jak skra dziewczyna. Toć ja już z kwadrans dobry trzymam w palcach tę szczyptę tabaki i nie miałem nawet czasu zażyć (*zażywa tabakę*). Ten pan Józef niczego chłopiec — byłaby para. Ale moja żona... od czego tu zacząć — co dalej mówić — i na czym się to skończy? Myślę, że chyba nie potrafię. Żeby tak w Saskim ogrodzie, napiwszy się wody. (*Patrzy na zegarek*). Już od dawna pora. Nie, niełatwo to kojarzyć małżeństwa. Moja żona sama mi się oświadczyła — inaczej nigdybym się nie odważył. Żeby się tak można wymknąć gładko. W ogrodzie pan Jacenty już na ławie czeka. (*Szuka laski i czapki, wtem wchodzi Kunegunda*).

## SCENA III.

Kalasanty. — Kunegunda.

*Kunegunda*. Czego jegomość chcesz? tylko prędko — bo nie mam czasu.

*Kalasanty*. Ja? jija nic nie chcę, Kunusiu. Zaraz — o czymże to miałem mówić? —

*Kunegunda*. A cóż *Rózia* gadała?...

*Kalasanty*. A! *Rózia*. To widzisz serce — ten pan Józef z sąsiedztwa...

*Kunegunda*. Bardzo on się coś do naszej *Rózi* przysuwa. Ale nic z tego. Dziewczyna nie dla takich.

*Kalasanty*. To też on wyjeżdża.

*Kunegunda*. Niech jedzie z Panem Bogiem.

*Kalasanty*. Na długo — może na zawsze — do Lublina — ze wszystkim — het.



*Kunegunda.* Krzyżyk na drogę.

*Kalasanty.* I ty tak mówisz jakby nic nigdy?

*Kunegunda.* A jakże mam mówić?

*Kalasanty.* Moja duszko — toby warto rozpatrzyć...

*Kunegunda.* Czy nie ma przeszkód do wyjazdu?  
a mnie co do tego — to jegomości rzecz — nie zwracaj  
mi asan głowy (*chce odejść*).

*Kalasanty.* Ale czekaj że jegomość, panie dobro-  
dzieju. Ja powiadam, z temi kobietami...

*Kunegunda.* A więc słucham — słucham — słucham.

*Kalasanty.* Co to ja miałem powiedzieć? A! ten  
pan Józef, to chłopiec jak perła — tego. Wyobraź sobie,  
Kunusiu — zdał już egzamin, słyszę, na prowizora.

*Kunegunda.* No to cóż?

*Kalasanty.* Może zostać aptekarzem.

*Kunegunda.* Ee! wielka mi rzecz!

*Kalasanty.* Co ty chcesz kochanie? Aptekarz —  
to pan całą gębą — tego — panie dobrodzieju. Albo  
to on niedośpi, uziębnie, zmoknie — jak doktor nie  
przymierzając? Lekarz to tylko aptekarski wyrobnik —  
nic więcej. Ani dla niego święta, ani nocy, ani nie-  
pogody — aptekarz co? Siedzi jak u Pana Boga za  
piecem i worek sobie napycha. Im się doktor więcej  
umitreży, tem aptekarz grubiej tyje.

*Kunegunda.* No tak. Ale na to trzeba mieć  
własną aptekę — a ten pan Józef jej nie ma.

*Kalasanty.* Ale może się ożenić z wdową po  
swoim pryncypale. At! co ja też gadam! Jakże się ma  
ożenić, kiedy kocha Rózię.

*Kunegunda.* A jegomość zkąd to wiesz?

*Kalasanty.* Ja — jja nie wiem — ale tak mi  
się zdaje. To jest raczej Rózia go kocha.

*Kunegunda.* Co waspan gadasz, panie Kalasanty?

*Kalasanty (do siebie).* Doprawdy, sam nie wiem  
co gadam — język mi się płacze (*głośno*). Moja Ku-  
nusiu, ty się zaraz gniewasz. Ja tego — ja chciałem  
tylko powiedzieć... Bo to panna Scholastyka...

*Kunegunda.* Panna Scholastyka niech mi się nie  
wtrąca do tego, co do niej nie należy — bo jej powiem  
takie słowa prawdy...

*Kalasanty.* Ale kiedy —

*Kunegunda.* Że popamięta — a dziewczynie wybiję z głowy...

*Kalasanty.* Moja Kunusiu —

*Kunegunda.* Te jej amory — a dla jej kawalera wielkie szczęście, że ztąd na złamanie karku wyjeżdża —

*Kalasanty.* Na złamanie karku! fe, wstydz się — bliźni — tego...

*Kunegunda.* Rózię już przyrzekłam komu innemu.

*Kalasanty.* Ee — pana Idelfonsa możnaby ożenić z panną od czepeczków i byłoby.

*Kunegunda.* A waspanu zkąd się wzięło kojarzyć małżeństwa?

*Kalasanty.* To prawda. A myślałem, że nie potrafię.

*Kunegunda.* Chcesz może Rózię wydać jak jej matkę, nieboszczkę Anusię?

*Kalasanty.* Za zegarmistrza? ja tego nie mówię.

*Kunegunda.* Który całe życie robił tylko jakieś werbum nobile.

*Kalasanty* (zażywając tabakę). Perpetuum mobile, Kunusiu.

*Kunegunda.* Aż powoli zniszczeli, zmarnieli i dziecko napowrót nam do domu wróciło.

*Kalasanty.* Ale aptekarz —

*Kunegunda.* Nie mieszam się do niczego — nie wtrącam się do niczego — umyvam ręce — chcesz być panem w domu, to sobie bądź.

*Kalasanty.* Ale ja wcale... (*Kunegunda odchodzi i spotyka się w progu z Rózią*).

#### S C E N A IV.

Ciż sami i Rózia.

*Rózia.* Babciu — babciu — pan Józef już wyjeżdża.

*Kunegunda* (z gniewem). To daj mu krzyżyk na drogę i ruszaj mi zaraz jak najprędzej do składu (*wychodzi*).

#### S C E N A V.

*Kalasanty.* — Rózia.

*Kalasanty* (wołając za *Kunegundą*). Żebym chciał, tobym mógł nawet ostro — tego (*zażywa tabakę*).

*Rózia (rzucając mu się na szyję).* Mój dziadusiu, mój serdeczny, — jaka to babcia pocziwa! (*wybiega*).

## SCENA VI.

Kalasanty sam.

*Kalasanty (wołając za Rózią).* Ale słuchajże dziecko! Już znikła. A to kamfora, nie dziewczyna. I z czego się ona tak ucieszyła? Nic nie rozumiem. Kunusia wyszła zła, jak nie wiem co, a ta mówi, że ona pocziwa? Z temi kobietami, — powiadam (*patrzy na zegarek*). Doprawdy już po ósmej — co sobie pan Jacenty pomyśli? (*bierze laskę i kładzie czapkę*). Żeby tak jeszcze chwilę — byłbym się stawił ostro, panie dobrodzieju. Może lepiej parasol -- a nuż się zachmurzy? (*bierze parasol pod pachę*). No, ale powiedziała, że ja panem w domu. — Nie, — lepiej kapelusz wezmę słomiany i laskę. A! laskę już trzymam — tfu — do licha! i czapkę mam na głowie -- czy mi się klepki pomięszały? (*wchodzi Scholastyka*).

## SCENA VII.

Kalasanty. — Scholastyka.

*Scholastyka.* A co? nie powiedziałam? wyszło na moje —

*Kalasanty.* Co takiego? Wszelki duch...

*Scholastyka.* Oto pan Józef musi mieć w Lublinie kogoś takiego, do którego jedzie — gdyż pocoby jechał?

*Kalasanty.* A prawda.

*Scholastyka.* Wuja, stryja, lub coś podobnego.

*Kalasanty.* A no — zdarza się to, zdarza.

*Scholastyka.* Ten stryj może bogaty, co?

*Kalasanty.* Czy ja wiem — tego.

*Scholastyka.* I pewnie bezdzietny.

*Kalasanty.* Ten stryj niby?

*Scholastyka.* A jak mu zechce oddać aptekę?

*Kalasanty.* To on także aptekarz? A no, patrzcie asanstwo, jest już nawet apteka (*wołając*). Kunusiu!



*Scholastyka.* Cicho, cicho, ja tego nie wiem z pewnością. Ale musi być bardzo bogaty. Bo aptekarze drogo pigułki sprzedają.

*Kalasanty.* O, o, i jak!

*Scholastyka.* I potem —

*Kalasanty.* A nawet —

*Scholastyka.* A co? nie mówiłam?

*Kalasanty.* Hm — tego — panie dobrodzieju  
(*wchodzi Kunegunda*).

## SCENA VIII.

Ciż i Kunegunda.

*Kunegunda.* Czyś jegomość oszalał? W czapce na głowie — z kapeluszem w jednym ręku — z laską w drugim — a jeszcze parasol pod pachą.

*Kalasanty.* Miałem wyjść.

*Kunegunda.* Żeby cię ludzie palcami pokazywali.

*Kalasanty.* Cóżem ci chciał powiedzieć? Wyobraż sobie Kunusiu — on się już nie ożeni z wdową po pryncypale.

*Kunegunda.* Kto? co? jak?

*Kalasanty.* No, powiadam ci. Ten pan Józef, to pan całą gębą — słyszę.

*Scholastyka.* Pan Kalasanty powiada, że to aptekarz.

*Kalasanty.* Ja to powiadam?

*Scholastyka.* A ja mówię, że stryj. To jest, domyślam się.

*Kalasanty.* Ale ja nie wiem, czy to stryj!

*Scholastyka.* Tylko znowu bezdzietny — stary kawaler. — Anużby się ożenił?

*Kalasanty.* W Lublinie? A więc on jedzie do Lublina. To też ja sobie miarkuję...

*Kunegunda.* A niechże was ciężkie lichy! co? co gadacie? Nic nie rozumiem.

*Scholastyka.* Oto pan Józef może być ogromnie bogaty — już ja to powiadam.

*Kalasanty.* Ma stryja, który...

*Kunegunda.* O nieszczęśliwa moja godzina! On się już teraz nie zechce z Rózią ożenić!

*Kalasanty.* Widzisz, Kunusiu, coś ty narobiła!

*Scholastyka.* A co? nie wyszło na moje? 

*Kalasanty.* Ale uspokój się. Rózia myśli, że jeszcze rzecz nie zerwana.

*Kunegunda.* Ona to myśli? Otóż zerwana — zerwana. Ja nie taka, żebym się komu wpraszała. Za wysokie progi na moje nogi.

*Scholastyka.* No, to ja za niego pójde.

*Kunegunda.* Co? — co? --

*Scholastyka.* O! żeby mnie tylko chciał!

*Kunegunda.* O tem wątpię mocno.

*Scholastyka.* Moja pani Kalasantowa — podobne gadanie...

*Kunegunda.* Jużciż, pozwolisz wać panna, że moja Rózia...

*Kalasanty.* O! przecież nasza Rózia...

*Scholastyka.* Rózia ma już przecież pana Ildefonsa.

*Kunegunda.* To właśnie jakby stworzony dla wać panny kawaler.

*Scholastyka.* O! proszę mi nie uchybiać.

*Kalasanty.* Panno Scholastyko, nie uchybiaj aścka mojej żonie — tego.

*Kunegunda.* Pan Józef? Jeszcze czego? Taki ładny, młody chłopiec — dobrze wychowany —

*Scholastyka.* A cóż to? — czy mam iść koniecznie za starego, brzydkiego i gbura?

*Kunegunda.* Wolno i wcale nie iść, jeżeli się tak podoba.

*Kalasanty.* A no — i to się zdarzało.

*Scholastyka.* Ja mam moich własnych trzydzieści tysięcy, i nikt mi nie zabroni...

*Kunegunda.* Zwłaszcza w tak dojrzałym wieku.

*Kalasanty.* Kunusiu, dajże pokój.

*Scholastyka.* A! kiedy tak, to bywajcie państwo zdrowi. O! to mi się spodobało! Kłaniam uniżenie. Żeby zaś kogo do tego stopnia rozgniewać! tego, to trzeba ja powiadam... A jak przyjdzie wytłomaczyć sen, albo pożyczyć formy do kołnierzyka, albo szlarki, dopiero wtedy zobaczymy. Przyjdiesz pani prze — ten, a ja drzwi za — tego na klucz — i taka będzie historia. *(Wychodzi mocno zagniewana).*

## S C E N A IX.

Kalasanty. — Kunegunda.

*Kalasanty.* Kunusiu, Kunusiu, jakaś ty popędliwa —

*Kunegunda.* Widzisz jegomość coś narobił. Jakeś się uwziął być panem w domu...

*Kalasanty.* Ale to nie ja.

*Kunegunda.* Jak zacząłeś rządzić, rozszerzać, rozpościerać, jak ta nie przymierzając szara gęś, co już nie powiem — tak i podziękować teraz dobrodziejowi. Wstydź się waspan. Nie było to pójść sobie ślicznie, pięknie do swojego tam ogrodu...

*Kalasanty.* Ja też chciałem —

*Kunegunda.* A nie wtrącać się do tego co do ciebie nie należy.

*Kalasanty.* Moja Kunusiu —

*Kunegunda.* Rózia byłaby panią, oto —

*Kalasanty.* O! i jak!

*Kunegunda.* A my na stare lata mielibyśmy się gdzie przytulić...

*Kalasanty.* Mamy przecież kamienicę — panie dobrodziej —

*Kunegunda.* A moja wnuczka kochana jeździłaby karetą.

*Kalasanty.* A jakby nie trzymali koni?

*Kunegunda.* Albo i ta Scholastyka — ta szpetna gadzina — ta utrapiona jęcza. To ona powiadam wszystko zepsuła.

*Kalasanty.* Bo i prawda. Gotów teraz zostać księdzem.

*Kunegunda.* Kto taki?

*Kalasanty.* Czy tam umrzeć — nie pamiętam już dobrze, jak to było. A! nie. To Rózia miała umrzeć — a on —

*Kunegunda.* Rózia jest sobie gaska, Boże odpuść. Żeby była co pocziwego, toby się starała podobać.

*Kalasanty.* Ona mu się bardzo spodobała.

*Kunegunda.* A czemu się o nią nie oświadczył?

*Kalasanty.* Kiedy — tego oto — z przeproszeniem, obawia się ciebie, Kunusiu.



*Kunegunda.* Obawia się? Czy ja mam rogi na głowie? Czy ja postrzelona? zapowietrzona? zakazana? Obawia się! patrzcie go! Ten chłystek!

*Kalasanty.* A mówiłaś przecież, że jest młody i przystojny — tego

*Kunegunda.* Cóż to przeszkadza?

*Kalasanty.* I że dobrze wychowany.

*Kunegunda.* I — nie zwracaj mi waspan głowy. Co powiedziałam, tego nie odwołam i koniec. Boi się mnie — słyszane rzeczy! Jeszcze też tego nie bywało. Milczałbyś oto jegomość — co mi tam! Boi się! no, proszę. To jest ja powiadam, półgłówek — to jest, jeśli wasan chcesz wiedzieć, bałwan sromotny — to jest nawet ciężki osieł ten twój pan Jó... (*wchodzi Józef*).

## SCENA X.

Ciż i Józef.

*Józef.* Uprzejmie przepraszam, że państwu zaprzątam czas drogi.

*Kunegunda.* Ale owszem. Nadzwyczajnie nam przyjemnie —

*Kalasanty.* O! bardzo nam — tego — panie dobrodzieju.

*Józef.* Tylko chciałbym, zanim z boleścią bezpowrotnie ztąd wyjadę...

*Kunegunda.* Bezpowrotnie? A to czemu?

*Kalasanty.* Aj! z boleściami? Cóż tak pilnego?

*Józef.* Bo mi powiedziała panna Scholastyka...

*Kalasanty.* Nieżeń się z nią panie Józefie — posłuchaj dobrej rady. To jest gadzina.

*Kunegunda.* Co? co ona powiedziała? A to dopiero! Czy ja zjadam ludzi, czy co? Przecież sam pan widzisz, że ze mną można mówić przyzwoicie, ślicznie, pięknie, po ludzku — że nikomu do oczu nie skaczę, że jestem osoba bywała, i wcale nie taka, żeby zaś...

*Kalasanty.* I, daj też pokój panie Józefie — co się tobie żenić z takim szpargałem. Jesteś młody, przystojny, dobrze wychowany.

*Józef.* Ani mi przez myśl nie przeszło żenić się z panną Scholastyką.

*Kalasanty.* Żeń się lepiej z Rózią.

*Józef.* Ależ ja pannę Rozalię ubóstwiam.

*Kunegunda.* Tylko, że stryj ci się żenić nie pozwala — co?

*Józef.* Jaki stryj?

*Kalasanty.* Bogaty — stary kawaler. Wiemy wszystko.

*Józef.* Przysięgam państwu, że —

*Kalasanty.* No, no, nie ma się co wypierać. W Lublinie przecie — i aptekę podobno ci oddaje — ha — ha — tego — (*wchodzi Scholastyka*).

## SCENA XI.

Ciż i Scholastyka.

*Kunegunda.* A waspanna czego sobie życzysz? Przepraszam bardzo, ale mamy do pomówienia.

*Józef.* Owszem — niech panna Scholastyka zostanie. Widzę, że tu po trosze i o nią idzie, choć nic a nic nie rozumiem. Jak powiedziałem — pannę Rozalię kocham nad życie, i nawet mam niejako prawo sądzić, że mi jest życzliwą. Skoro jednak państwo nie pozwalają, to...

*Kunegunda.* Ale wcale nie. Któż to powiedział?

*Kalasanty.* Ale gdzie zaś — panie dobrodzieju.

*Scholastyka.* Ktoś chyba plotek narobił (*wchodzi Rózia*).

## SCENA XII.

Ciż i Rózia.

*Kunegunda.* Jak to? Waspanna jeszcze nie w magazynie?

*Rózia.* Właśnie szłam, kiedym spotkała pana Ildefonsa, który mi powiedział, że się tu dziś wybiera w oświadczyzny.

*Kunegunda.* Niech się nie trudzi niepotrzebnie.

*Kalasanty.* Obędzie się cygańskie wesele bez marcepanów — hi — hi —

*Scholastyka.* A co? nie powiedziałam?

*Rózia* (*rzucając się na szyję Kunegundzie*). Moja babciu, jakaś ty kochana — jaka serdeczna — jaka

złocista — (*rzuca się na szyję Kalasantemu*). Mój dziadziu, mój dziadusiu — więc pan Józef już wszystko powiedział?

*Józef*. Przeciwnie, nie miałem jeszcze ani chwili czasu. Jest tu jakieś nieporozumienie, z którego sobie sprawy zdać nie umiem...

*Scholastyka*. Ktoś nagadał dziwnych rzeczy.

*Józef*. Krewnych żadnych ani bogatych, ani nawet ubogich nie mam. Jestem sierota i zawszem sobie sam wystarczył. Do Lublina zaś jadę, bo się tam zdarza miejsce prowizora w aptece, którą wprowadzie bardzo korzystnie wzięłoby można w dzierżawę — ale ja na to nie mam ani grosza. Z tego powodu jakkolwiek pannę Rozalię kocham nad życie — mniemałem jednak... Ale skoro się to nie sprzeciwia państwa życzeniom...

*Kunegunda*. Jak to nie sprzeciwia? A wasanu kto to powiedział?

*Scholastyka*. Jużci nie ja.

*Kunegunda*. Nie do waspanny mowa — to dopiero! Więc ów stryj i ta apteka to tylko gruszki na wierzbie? Nigdy nie pozwolę, żeby moja Rózia miała wyjść za takiego hołysza? — Patrzcie go! Gadał mi wasan zaraz — jakim prawem śmiałeś się oświadczyć o Rózię?

*Kalasanty*. Kunusiu — on tego nie zrobił. Przypomnijże sobie, że się ciebie ogromnie obawia.

*Kunegunda*. Nie wtrącaj się jegomość w nieswoje rzeczy — bo jak mi Bóg miły...

*Rózia (z płaczem)*. Babciu — babciu — ja tego nigdy a nigdy nie przeżyję!

*Kunegunda*. Waspanna ruszaj mi natychmiast do magazynu — a waspan do Lublina — wolna droga — kłaniamy.

*Józef*. Ha! w takim razie nie mogę zatrzymywać dłużej podarku, który mi panna Rozalia na odjeździe w zakład wierności oddała. (*Wyjmuje z zanadru krzyżyk złoty*).

*Kunegunda*. W Imię Ojca i Syna! a to co znowu? Ten sam krzyżyk, który ci matka umierając, włożyła na szyję?

*Rózia*. Ten sam, babciu.



*Kunegunda.* Z wyraźnem zaleceniem, że go tylko narzeczonemu podarujesz?

*Rózia.* Wszakżeż to mój narzeczony.

*Kunegunda.* Narzeczony? narzeczony? A ja ci powiadam, że jesteś dzieciak. Na twój ślub z Józefem nie pozwolę. Jakaś śmiała oddać mu ten krzyżyk?

*Rózia.* Przecież babcia sama kazała.

*Kunegunda.* Ja? i ty mi się ważysz w oczy to powiedzieć?

*Kalasanty.* Kunusiu — hi — hi doprawdy — sam słyszałem. Powiedziałaś jej: — daj mu krzyżyk na drogę i ruszaj do magazynu — hi — hi —

*Kunegunda (ostłupiała).* Krzyżyk na drogę? A! co wy sobie ze mną poczynacie! O! poczekaj moja ty panno przedwcześnie mądra!

*Józef.* Wstrzymaj się pani — odchodzę. Bogiem się świadcę, że nie zasłużył na to co mnie spotyka. O wartości pamiątki, którą mi dano, dowiaduję się po raz pierwszy w życiu. Również z mojej strony, ani chcący ani nawet mimowolnie, nigdy nie wprowadzałem w błąd nikogo. Panno Scholastyko, pani najlepiej poświadczyć to możesz. Żegnaj mi na zawsze, panno Rozalio — bądź szczęśliwą — (*chce odejść*).

*Scholastyka.* Panie Józefie — panie Józefie — a ile też potrzeba na tę dzierżawę?

*Józef.* Na początek wystarczyłoby cztery tysiące.

*Scholastyka.* To ja daję dziesięć — niech wystarczy na dłużej. Zaraz przyniosę (*chce wyjść*).

*Józef (usiłuje ją zatrzymać).* Ale proszę pani —

*Scholastyka.* Niewielka paczka. Dziesięć listów zastawnych, litera C.

*Józef.* Ale kiedy — ale jakże — ale — ale ja tego przyjąć nie mogę.

*Scholastyka.* To też ja nie panu przeznaczam, tylko Rózi —

*Kalasanty.* Rózia także nie potrzebuje. Mamy jeszcze chwalić Pana Boga, dosyć swego —

*Kunegunda.* Poszedłbyś już raz do swego ogrodu, nieżnośny gaduło.

*Scholastyka.* To jak sobie państwo chcecie. Ale panie Józefie — doprawdy pan możesz przyjąć ode mnie — i przyjmiesz. Mogłabym być twoją matką — nikt mnie tu przecież o nic nie posądzi. A do tego, jestem jak ty sierota — komu ja mienie moje zostawię? Mam jeszcze dla siebie dwadzieścia tysięcy — aż nadto, dopóki żyję — a i ta reszta twoja, jak umrę. Gdy się dorobisz, oddasz biedniejszemu — niech to będzie pożyczka. Wszakże zgoda?

*Józef.* Panno Scholastyko — doprawdy, obawiałbym się skrzywdzić serce pani dłuższem wahaniem. Nie wątpię, że Bóg pobłogosławi mojej pracy, abym ci się stokrotnie mógł wywdzięczyć. Panno Rozalio — wspomnij czasem o mnie... (*całuje w rękę Scholastykę; oboje zabierają się do odejścia*).

*Różia (z płaczem).* Ja — jak babcię kocham — jak babcię kocham. E -- doprawdy...

*Kunegunda.* Niepotrzebnie się państwo tak bardzo spieszycie. Dla czego od nas uciekać panie — jakże tam? panie Józefie? Czy ja noszę rogi na głowie, albo co? Że też człowiek każdy musi mieć nieprzyjaciół, którzy go zaraz obgadają. Ja — tego — ja przecież, nie to żeby przez jaką chciwość — ale sami powiedzcie — bo wy młodzi, wam się zdaje, że można rosą żyć — a to przecie... No — ale wreszcie — kiedy się szczerze kochacie — (*Kalasanty zabiera się do wyjścia*). A waspan gdzie się wybierasz?

*Kalasanty.* A gdzieżby, jeżeli nie do ogrodu. Przecież mi kazałaś.

*Kunegunda.* Do ogrodu — do ogrodu — wyjeżdżasz zawsze z ogrodem. Ciekawa jestem co tak pilnego? Pan Jacenty pewnie. Śliczna mi lala! Tylko jeszcze potrzeba pana Ildefonsa do kompanii! Milczałbyś oto jegomość. Cóżem to chciała powiedzieć (*Różia zabiera się do odejścia*). A waspanna dokąd?

*Różia.* Do magazynu. Przecież babcia kazała.

*Kunegunda.* Jakaś ty posłuszna, no proszę. Oddałabyś oto krzyżyk panu Józefowi.

*Różia.* Nie mogę, bo go wcale nie odebrałam.

*Kunegunda.* Oddaj zaraz krzyżyk panu Józefowi — czy rozumiesz?

*Rózia.* Ha! kiedy babcia każe koniecznie —  
(*całuje w rękę Kunegundę*). Panie Józefie, pocałujże  
pan w drugą rękę. Babcia już pozwala.

*Scholastyka.* A co? nie powiedziałam?

*Rózia.* Dziadziu — dziadusiu — a cóż dziaduś na to?

*Kunegunda.* Mówże jegomość.

*Kalasanty (udając nadąsanie).* Nie mieszam się  
do niczego — nie wtrącam się do niczego — umyłam  
ręce. Jejmość jesteś pełnoletnia — na umyśle zdrowa  
— chcesz być panią w domu, to sobie bądź.

*Rózia (do publiczności zanosząc się od śmiechu).*  
Ha! ha! ha! Dobranoc państwu. Dajcież i nam także  
krzyżyk na drogę. (*Zasłona spada*).

## 47. Litość i Zazdrość.

Powiaстка ludowa

przerobiona na scenę dla polskich pańienek.

OSOBY:

Królowa.

Sława, jej córka.

Litość }  
Zazdrość } siostry.

Aniół.

Rzecz dzieje się pod lipą w lesie.

SCENA I.

Litość. — Zazdrość.

*Zazdrość.* Po śmierci naszej matki nastąpił po-  
dział jej majątku. Mnie się zdaje, że ty dostałaś za  
wiele. Uważam się za pokrzywdzoną.

*Litość.* Przecież wzięłaś wszelkie kosztowności,  
a mianowicie pieniądze, drogie klejnoty, pierścionki, kol-  
czyki i naramienniki, także wieś zabrałaś z lasem  
i jeszcze ci mało?



*Zazdrość.* A wszakżeż masz ubiór, sukienkę, chusteczkę, trzewiki, koszulkę.

*Litość.* Przecież nago nie mogę chodzić. Pamiętaj, że masz dziesięć sukienek i tuzin pięknych koszul, oraz wiele innych szat prześlicznych, a mnie zostawiłaś tylko lichą sukienkę i wogóle to, co mam na sobie.

*Zazdrość.* Jakaś ty chytra, ale mnie trudno szukać. A czy nie masz pierścionka na palcu po matce?

*Litość.* Nie gniewaj się, kochana siostrzyczko, ale powiem ci po prostu, że jesteś nienasycona i zazdrosna. Przecież ta ślubna obrączka mojej matki zawiera bardzo mało złota, ale dla mnie ma wartość, że to trwała pamiątka po mojej kochanej matuchnie. Wszakżeż ty masz dziesięć grubych pierścieni złotych z brylantami, a ja ci ich wcale nie zazdroszczę.

*Zazdrość.* Co ty mi wciąż zazdrość przypominasz? Z twojej to zapewne przyczyny nazwano mnie Zazdrością, chociaż nie jestem zazdrosną. Tę obrączkę ślubną oddaj przecież, bo ją muszę mieć koniecznie.

*Litość.* Siostruniu kochana, błagam cię na pamięć naszej matki, zostaw mi tę jedyną po niej pamiątkę.

*Zazdrość (z gniewem).* Śmiesz mi się sprzeciwiać, niegodnico? Mniejsza o to, nie chcesz dać dobrowolnie, wezmę ci przemocą.

*Litość (zdejmuje z palca pierścione).* Masz obrączkę, jeżeli ci to potrzebnem do szczęścia.

*Zazdrość.* Śmiesz jeszcze ze mnie szydzić i czynić mi wymówki, za to będziesz srogo ukarana. (*Wydobywa nóż*). Tym ostrym nożem wyłupię ci oczy. Pożegnaj się ze światem. Popatrz raz ostatni na słońce, na drzewa, na wody i na niebo, gdyż za chwilę ciemna noc otoczy cię na zawsze.

*Litość.* Żartujesz zapewne, droga siostro. Czyż podobna, abyś mnie chciała oślepić? Nie czyn tego, bo to grzech ciężki; czyż się godzi postępować tak z jedyną siostrą?

*Zazdrość.* Schowaj dla siebie te rady. Myśl o tem raczej, czem się żywić będziesz, gdy wzrok utracisz.

*Litość.* Siostro najdroższa, na miłość Boga cię proszę, nie odbieraj mi wzroku. Wszakżeż to moje wszystko.

*Zazdrość.* Dosyć tego piszczenia. Jestem nieubłagana. Nie przepuszczam nawet rodzonej siostrze. Tu za tem drzewem wyłupię ci oczy. (*Chwyta ją za rękę*). Chodź niegodna dziewczyno, abyś była ukarana za twoje zuchwalstwo, że śmiałaś mi odmówić obrączki.

*Litość.* Wszakżeż ci ją daję. Siostró, siostró, nie popełniaj zbrodni. (*Zazdrość wyciąga ją za drzewo, po małej chwili słychać głos*).

*Litość (za sceną).* Ach, moje oczy, moje oczy! jak mnie boli, krew się leje, o Boże, Boże! zlituj się nad sierotą! O moje oczy, moje niebieskie oczy! Kto mi je wróci? Siostró, co ty zrobiłaś? Niech ci Bóg nie pamięta mojej krzywdy!

*Zazdrość (wybiega z obrączką).* Siostró, co ty zrobiłaś? Co ja zrobiłam? Okropna rzecz, okropna zbrodnia. Myślałam, że mnie ta obrączka ucieszy, ale patrzeć na nią nie mogę — nic nie warta, rzucam ją daleko. Siostrę moją otacza ciemność, ale Bóg ją kocha, mnie zaś otacza ciemność piekła. Co pocznę? Wiem, co uczynię. Będę chodziła po świecie i będę namawiała ludzi do zazdrości, aby ubodzy zazdrościli bogatym dostatków; niech się mordują ludziska. Szczególnie zwrócę oko na dzieci. Niech brat zazdrości bratu zabawki, jabłka i wszystkiego. Niech się dziewczynka gniewa, jeżeli jej siostra dostanie ładną sukienkę, albo pochwałę. O tak, tak, w świat, w świat, gdyż jestem przekonana, że u złych dzieci i u złych ludzi znajdę chętne przyjęcie.

## SCENA II.

*Litość (z przepaską na oczach).* A więc nic nie widzę. Naokół mnie ciemno, tak strasznie ciemno, noc ponura, czarna, posepna mnie otacza. O, ta Zazdrość! Ale ja się na nią nie gniewam, nie życzę jej zemsty, ani nic złego. Ubolewam, że jest taka zaślepiona. Modlić się będę za nią, aby się poprawiła. Boże, Boże, zapewne ciężko zgrzeszyłam, skoro mnie taka sroga spotkała kara. Nie obraziłam ja czasem Zazdrości? Ale nie, nie mogę sobie przypomnieć, boć tę ślubną obrączkę chciałam jej przecież darować. Co się ze mną

stanie? Zapewne umrę z głodu. Co ja mówię, przecież Bóg pamięta o najmniejszym robaczku, a miałżeby o mnie zapomnieć? Bóg jest Ojcem naszym, On też ma staranie o swych dzieciach i nie odmawia im opieki, jeżeli wołają o pomoc. Nieodgadnione są wyroki Opatrzności Boskiej. Może i to kalectwo będzie miało dobre skutki. Trzeba zawsze w dziwnych zdarzeniach życia uznawać wyroki mądrości przedwiecznej i nigdy nie szemrać przeciw Stwórcy. Pomodłę się trochę pod tem drzewem, bo słyhać głos dzwonu na Anioł Pański (*odzywa się zdala głos dzwonu*) a potem położę się pod tem drzewem, aby odpocząć po tym strasznym wypadku i zapomnieć choć na chwilę o mojej niedoli. (*Kłęka pod drzewem i modli się, potem zasypia*).

### S C E N A III.

*Anioł.* Śpij spokojnie, dziewczeczko. Modlitwa twoja zanesiona jest przed tron Najwyższego, a że jesteś pokorna i przebaczyłaś tej, która cię pozbawiła światła dziennego, znalazłaś łaskę w niebie. My anieli cieszymy się niewymownie, gdy na kuli ziemskiej spostrzeżemy takie niewinne dziecko, jak śpiącą tu Litość. Oby wszystkie dzieci, a mianowicie dzieci polskie, podobne były do Litości. Któż to nadchodzi? (*Wchodzi Zazdrość*).

*Zazdrość* (*nie widząc anioła*). Muszę wrócić w to miejsce, aby zobaczyć co się stało ze siostrą. Ach, jak mi ciężko na duszy, na sercu. Czemuż to uczyniłam? (*Spostrzega anioła*). Co to za postać świetlana?

*Anioł.* Toś ty wyłupiła oczy najlepszej swej siostrze.

*Zazdrość.* Przebacz, aniele niebieski, zapewne duch ciemności mnie skusił, abym podniosła rękę na Litość. Ach, jakie ponoszę katusze, tego nie umiem opisać!

*Anioł.* Moje przebaczenie nie przyda ci się na nic, błagaj Boga o darowanie winy. Bóg największych grzeszników przyjmuje do łaski, jeżeli czynią szczerą pokutę.

*Zazdrość.* Poddaję się każdej pokucie, aby uzyskać odpuszczenie ciężkiego grzechu.

*Anioł.* Idź do ziemi nad Wisłą i wykorzeniaj zazdrość oraz inne grzechy z serc dziatwy polskiej,



a skoro się zupełnie poprawisz i to uczynisz, co przepisuje katechizm, zbrodnia twoja będzie odpuszczoną. Idź czempredzej do tej nieszczęśliwej krainy i pracuj wytrwale.

*Zazdrość.* Idę, idę — dziękuję ci, aniele, za twą łagodność, za twą dobroć. Trudno to będzie, ale za pomocą Bożą zmażę niezawodnie wielką moją zbrodnię. (*Odchodzi*).

*Anioł.* Miłosierdzie Boże jest nieprzebrane, czemużby i Zazdrość nie miała się nawrócić? Jutro Zielone Świątki, będą się ludzie modlili w domu i kościołach; popłynę nad Wisłę, aby zanieść przed tron Stwórcy westchnienia ludu polskiego. (*Odchodzi*).

#### SCENA IV.

*Litość (budzi się).* Gdzież jestem? Ciemno naokół, chociaż jest rano, bo słyszę, że ptaszyny śpiewają na cześć Boga. Dziś Zielone Świątki, a ja bez wzroku. Pomodłę się najprzód. (*Kłeka i modli się*). Ale dziwne sny dziś miałam. Najprzód widziałam pięknego anioła. Potem przyszła moja siostra. Dobry anioł kazał jej iść do kraju nad Wisłą, aby tam z serc dzieci polskich wykorzeniała zazdrość. Jeżeli szczerze będzie pokutowała, uzyska przebaczenie. Śniło mi się także, iż pod tem drzewem zebrały się leśne zwierzęta celem narady. Był niedźwiedź, wilk, lis, zając, wiewiórka, orzeł, bocian, wrona, jastrząb, gołąb, gady, owady i różne inne zwierzęta. Wielki wąż przejmował mnie bojaźnią. Niedźwiedź rzekł: „Zbieramy się tu co rok w noc Zielonych Świątek. Dziś pod tą lipą spoczywa Litość, której niedobra Zazdrość wyłupiła oczy“. Na to odezwał się lis: „Gdyby potarła oczne doły rosą z tej lipy, pod którą siedzimy, byłby jej przywrócony wzrok i to daleko lepszy, aniżeli go miała dawniej“. Wąż dodał: „Pilnuję pod lipą skarbów, które tak są wielkie, że możnaby dopomóc wszystkim biednym w kraju, gdyby chcieli pracować i oszczędzać“. Potem nie słyszałam już nic więcej. Czy te zwierzęta mówiły prawdę? Aleć można spróbować. Poszukam rosy. Jest, jest rosa (*szuka na drzewie*)

trzeba pocierać oczy — ach jak mi<sup>ś</sup> bło<sup>g</sup>o, ból ustępuje (*wychodzi za scenę*), kto wie, czy nie odzyskam wzroku? Boże, Boże, zaczynam już widzieć, niby we mgle wszystko. (*Wybiega na scenę bez opaski*). Widzę, widzę! Nie mogę opisać wzruszenia mego serca. O jak dobrym i miłosiernym jest Bóg. Pójdę się pomodlić i podziękować za łaskę, na którą nie zasłużyłam. (*Odzywają się dzwony*).

## SCENA V.

Królowa i jej córka Sława.

*Królowa.* Zabrzmiały dzwony, idźmy więc, córko, do kościoła. Jakżeż ci jest, moje dziecko?

*Sława.* Jakaś nieokreślona radość, jakaś miła nadzieja zagościła w mem sercu. Mnie się zdaje, że mnie dzisiaj spotka wielkie szczęście.

*Królowa.* Straciłam wszelką nadzieję. Niech Bóg nie pamięta tym trzem zbrojcom, którzy cię pozbawili wzroku. Porzucili cię w lesie, dokonawszy zbrodni. Żołnierze moi cię znaleźli, ale rozbójnicy uciekli. Zbrodnia niepomszczona.

*Sława.* Matko kochana, daruj winowajcom, wszakżeż mówiny co dzień w pacierzu: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“.

*Królowa.* Ciężko to przebaczyć, jeżeli się dozna takiej krzywdy. Ale niechże się stanie twoje życzenie — pierwszy raz po kilku latach wymawiam słowa: „Przebacz im, Boże!“

*Sława.* Dziękuję ci, matko. Bóg cię za to pocieszy. (*Wchodzi Litość*).

*Litość (na stronie).* Któż to przebacza? Co ja widzę? Królewska dziewczica z koroną na głowie niewidoma? Przecież mogę jej pomóc. (*Głośno*). Królowo, pozdrawiam cię i błogą ci wieść zwiastuję: oto córka twoja będzie uleczona.

*Królowa.* Co mówisz, dziecko drogie, czyż to podobna?

*Litość (podając rękę Sławie).* Chodź, królewno pod tę lipę. Zbieraj rosę i pocieraj te miejsca, gdzie były oczy. I ja ci trzecią będę. Pójdźmy na drugą stronę, gdzie jest więcej rosy. (*Odchodzi*).

*Królowa.* Co to za rozkoszne dziecko? Sam jej widok sprawia nieokreśloną radość. Miałoby to dziewczę istotnie wzrok mej córce przywrócić? Prawda, przypominam sobie, że o tej lipie dziwne chodzą wieści. Podobno za dawnych czasów pod nią Słowianie modlili się na cześć swych bogów. Raz w roku podczas nocy przed Zielonemi Świątkami rosa z tej lipy wzrok ma niewidomym przywracać. Uważałam to zawsze za bajkę. I skarby wielkie mają znajdować się w ziemi obok drzewa.

*Sława (bez opaski na oczach).* Matko, królowo, widzę! (*Pada jej w objęcia*).

*Królowa.* O córko moja, najukochańsza Sławo. Dzięki Ci, Boże, za tę wielką łaskę. Czy widzisz na prawdę?

*Sława.* Widzę, widzę. Matko, jakam ja szczęśliwa! Chwała Bogu na wysokości, że wspomniał na mnie niegodną. Pójdź w moje objęcia uzdrowicielko, lekarko, niech ci podziękuję za przywrócenie mi wzroku. (*Ścisła Litość*).

*Królowa.* Jakżeż ci imię?

*Litość.* Litość.

*Królowa.* Litość — to niezwykle imię, ale jakże trafne. Chodź, drogie dziecko, niechże ci podziękuję uszczęśliwiona matka. (*Ścisła ją i całuje w czoło*).

*Litość.* Ja także tu niedawno wzrok odzyskałam. Posłuchaj, Najjaśniejsza Pani, co ci powiem. Oto tu pod tą lipą jest tyle skarbów, że możnaby dopomódz wszystkim biednym w tym kraju, gdyby chcieli szczerze pracować i oszczędzać.

*Królowa.* A więc podanie, które słyszałam, jest prawdziwe. Wydobędziemy te kosztowności a ty, dzieweczko, ponieważ się nazywasz Litością, będziesz rozdalała te skarby pomiędzy sieroty, wdowy, kaleki, nieszczęśliwych i ubogich.

*Litość.* Dziękuję ci, królowo. Z największą chęcią spełnię ten miły obowiązek. Jakże to miło ocierać łzy nieszczęśliwym! (*Słychać głos dzwonu*).

*Królowa.* Teraz pójdziemy do kościoła, bo wkrótce msza święta się rozpocznie, aby podziękować Bogu za te niesłychane dobrodziejstwa, jakimi nas obsypał.



*Litość.* Dzieci kochane, proszę was serdecznie i czule, niech zazdrość nie ma przystępu do waszych serduszek. Nie zazdroście niczego waszym braciszkom, siostrzyczkom i innym dzieciom. Wszakżeż przekonaliście się, że zazdrość prowadzi nawet do zbrodni. Gdy żadne dziecko polskie nie będzie zazdrosnem, a przytem będziecie posłuszne rodzicom i spełnicie Boże przykazania, wtedy moja biedna siostra będzie wybawioną, a już nie będzie się zwała więcej Zazdrością, bo wtedy jej imie będzie: Miłość. Niech wam Bóg błogosławi, drogie polskie dzieci! (*Zastona spada*).

## 48. Wór pieniędzy w lesie.

Dyalog w 4 scenach.

OSOBY:

Pustelnik,                      Drugi rozbójnik  
Pierwszy rozbójnik,      Posłaniec.  
Rzecz dzieje się w lesie.

### SCENA I.

*Pustelnik (wchodzi śpiewając pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze“ lub podobną).* Co ja widzę? Jakiś wór leży na drodze. (*Chce dźwignąć*). Oj ciężki. Aleć tu widać napis: 1000 dukatów. Tysiąc dukatów — jest to olbrzymia kwota pieniędzy. Na mnie przecież nie wywiera ten skarb żadnego uroku, żadnego wpływu. Pieniądze życie — pieniądze śmierć. Mnie się zdaje, że w tym worze śmierć ukryta. Gdybym wziął ów wór do mojej chatki, utraciłbym spokojność, swobodę i czyste sumienie. Skoro by się dowiedzieli źli ludzie, że w mej celi znajduje się wór pieniędzy, wnetby mnie napadli a niezawodnie i zabili. Wszakżeż bardzo dawnymi czasy w lesie kaźmierskim zabito świętych pustelników, gdyż rozeszła się wieść, że Bolesław Wielki, nasz król polski, darował im bryłę złota. Co począć jednakże z tym skarbem? Czy pozostawić go tu w lesie? Czy gdzie przechować? Zapewne ktoś zgubił. Uderzę w ów wór kilka razy kijem, aby śmierć wypędzić. (*Wali kijem*).

## SCENA II.

Pustelnik, dwaj rozbójnicy.

*Pierwszy rozbójnik.* Hej! hej! pustelniku, dlaczego tak walicie kijem?

*Drugi rozbójnik.* On wali kijem w wór, może są w nim pieniądze.

*Pustelnik.* Zgadłeś, że pieniądze, dlatego też walę kijem, bo w tym worze śmierć siedzi.

*Pierwszy rozbójnik.* Nie rozumiem, zkądby się tam śmierć wzięła; za pieniądze można przecież żyć wesoło.

*Pustelnik.* A ja mówię, że tu śmierć ukryta. Pieniądze są jak nóż, którym można sobie chleba ukrajać albo też przetrząść gardło.

*Drugi rozbójnik (z uśmiechem).* Już my tym nożem gardła sobie nie przetrzniemy.

*Pierwszy rozbójnik.* Co widzę? W tym worze znajduje się 1000 dukatów. Moglibyśmy lata rozbijać, zanimby się nam zdarzyła taka gratka.

*Pustelnik.* Czy wy macie zamiar zabrać sobie te pieniądze?

*Pierwszy rozbójnik.* A nie inaczej, Przecież nie ma właściciela. Wasze zapewne nie są, bobyście nie prali ich kijem.

*Pustelnik.* Broń mnie Boże. Wór nie należy do mnie, ale może te pieniądze ktoś zgubił. Trzebaby je zwrócić prawemu właścicielowi. Ten co zgubił, popadnie w wielkie nieszczęście, a może nawet z tego powodu życie utracić.

*Pierwszy rozbójnik.* Ktoby zważał na takie przypuszczenia. Pieniądze są nasze i kwita. Ponieważ naprowadziłeś nas na ślad skarbu, przeto damy ci 100 dukatów, wszakże się na to zgadzasz, kolego?

*Drugi rozbójnik.* Z największą chęcią.

*Pustelnik.* Nie chcę, nie pragnę, nie wezmę nawet jednego dukata, gdyż powiadam, że w tym worze jest śmierć zamknięta.

*Pierwszy rozbójnik.* Dać i prosić się to grzech, zatem zgoda, nie damy nic.

*Drugi rozbójnik.* Coś podobnego rzadko się zdarza.

*Pustelnik.* Tylko zapracowane pieniądze przynoszą błogosławieństwo, a niesprawiedliwie nabyte stają się zgubą dla właścicieli. Zobaczycie, że wam te dukaty nie przyniosą szczęścia. Nie zabierajcie skarbu, proszę was, gdyż będziecie żałowali, ale po niewczasie.

*Pierwszy rozbójnik.* Mówisz takie rzeczy do zbójców. My sobie nic nie robimy z podobnych skrupułów.

*Drugi rozbójnik.* Daj nam pokój; teraz nastąpi podział.

*Pustelnik.* Odchodzę, bo czuję szum skrzydeł zbliżającego się anioła śmierci. (*Wychodzi*).

### SCENA III.

*Drugi rozbójnik.* Dziwna rzecz, że słowa pustelnika przeszły moje serce, niby miecz obosieczny. Prawdę ma, że tylko zapracowany grosz może się do szczęścia przyczynić.

*Pierwszy rozbójnik.* Babskie gadanie i nic więcej. Pieniądz podstawą wszystkiego. Niedarmo śpiewamy:

Pieniądze lubie pieniądze,  
Wy nasze spełniacie żądze,  
Z wami żyć, umierać miło.

*Drugi rozbójnik.* Nawet w tej piosnce znajduje się wzmianka o śmierci. Przechodzi mnie coś, jakoby dreszcz konania.

*Pierwszy rozbójnik.* Widać, że jesteś tchórzem podszyty. Co tam będziemy zważali na jakieś przeczucia i dreszcze. (*Rozwiązuje wór*). Patrz, jak się mile uśmiecha do nas złoto, srebro, a nawet liche miedziaki. Dalej co żywo, sypmy na jedną kupę złoto, na drugą srebro, a na trzecią miedź. (*Idą w krzaki, z kąd raz po raz dochodzi brzęk pieniędzy*). Oczywiście rzecz, że ja wezmę 100 dukatów więcej.

*Drugi rozbójnik.* Jakiem prawem?

*Pierwszy rozbójnik.* Jam pierwszy zobaczył, a potem pustelnik rzekł się nagrody, zresztą jestem starszy i mocniejszy. Siła przed prawem — rozumiesz.

*Drugi rozbójnik.* Niby rozumiem i nie rozumiem. Ale pamiętaj, że kij ma dwa końce. Ty mnie chcesz skrzywdzić, ale ja bezkarnie skrzywdzić się nie dam.



*Pierwszy rozbójnik.* Będiesz ty mi się odgrażał, ja cię wnet nauczę po kościele gwizdać.

*Drugi rozbójnik.* Sto dukatów nie fraszka.

*Pierwszy rozbójnik.* A więc jeżeli tak, zabieram sobie 200 dukatów i basta.

*Drugi rozbójnik.* Chyba żartujesz?

*Pierwszy rozbójnik.* Nie, nie żartuję, a jak się nie zgodzisz na ten podział, wezmę ci jeszcze więcej.

*Drugi rozbójnik.* Otóż ja oświadczam, że chcę mieć połowę pieniędzy, a jeżeli nie dasz dobrowolnie, bić się będę do upadłego.

*Pierwszy rozbójnik.* Spróbuj! Pokonywałem ja innych śmiałków.

*Drugi rozbójnik.* Pytam się raz ostatni: dasz połowę, czy nie?

*Pierwszy rozbójnik.* Ani mi przez sen nie przyszła myśl podobna.

*Drugi rozbójnik.* Ha, jeżeli tak, giń zdrajco! *(Rzuca się nań z dobytym sztyletem i rani, pierwszy rozbójnik strzela doń z pistoletu).* Już po mnie. *(Padają obydwaj na ziemię).*

*Pierwszy rozbójnik.* Czuję, że już się więcej nie dźwignę z ziemi, rana śmiertelna.

*Drugi rozbójnik.* I ze mną tak samo. Nie omyliły mnie moje złowrogie przeczucia. Czemu nie usłuchałem dobrej rady pustelnika? Ach jak mi straszno, śmierć mnie chwyta w objęcia. Mamże umierać tak młodo, bez Sakramentów świętych, bez pojednania się z Bogiem?

*Pierwszy rozbójnik.* Przekłete po tysiąc razy pieniądze. Teraz mam zginać, gdy taki skarb wpadł mi w ręce, to okropność... krew mnie ubiega...

*Drugi rozbójnik.* Boże! Boże! zmiłuj się nade mną i daruj mi ciężkie grzechy. Najświętsza Maryo Panno, wstaw się za mną! Święty Antoni mój Patronie, uproś dla mnie zmiłowanie Boże. Kolego, przebaczmy sobie wzajem zabójstwo.

*Pierwszy rozbójnik.* Ja ci nie mam co przebaczyć, gdyż z mojej winy się to stało. Chciwość moja do pieniędzy zgubiła mnie i ciebie. Przebaczam ci, jeżeliś zawinił, przebacz i ty... o już mi trudno mówić, wkrótce przeniesie się dusza moja do piekła... Już nic nie

widzę, ciemno, straszno, pełno diabłów lata naokół. Biada, biada, biada!

*Drugi rozbójnik.* Przebaczam ci, kolego, bo i ja zawiniłem, gdyż powinienem był ci oddać cały wór dukatów. Mdło mi, nie mogę się ruszyć. Księdza, księdza!

#### SCENA IV.

Ciż i pustelnik, później posłaniec.

*Pustelnik.* Usłyszawszy wystrzał, pędziłem co siły, bo mówiło mi przeczucie, że już tu gości anioł śmierci. Co widzę — dwa trupy. (*Idzie do pierwszego rozbójnika*). Ten już pożegnał się z życiem. (*Spo-gląda na drugiego*). Ów drugi zdaje się, że jeszcze oddycha. Może go ocalimy. Trzeba najprzód krew zatamować. (*Kłęka obok i zawięzuje ranę*).

*Drugi rozbójnik (słabym głosem).* Święty Antoni, przybądź mi na pomoc!

*Pustelnik.* Masz wielkiego Przyczynę, on ci z pewnością przyniesie pomoc. Ale co ja pocznę z tym nieszczęśliwym? Sam go nie przeniosę do mojej chatki, a tu wszystko zależy na szybkości. (*Wchodzi posłaniec*).

*Posłaniec.* Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. A tu co, zabici ludzie?

*Pustelnik.* Na wieki wieków. Amen. Pewnie cię tu przysłał sam święty Antoni.

*Posłaniec.* Szukam pieniędzy, które zgubiłem. Jeżeli ich nie znajdę, życiem przypłacę.

*Pustelnik.* Ile zgubiłeś i w czym były przechowane?

*Posłaniec.* Było 1000 dukatów w szarym worze, a na nim napis: 1000 dukatów.

*Pustelnik.* Pociesz się, pieniądze tu się znajdują. Ci dwaj z powodu tego skarbu stoczyli walkę śmiertelną. Jeden już nie żyje, a drugi ciężko ranny. Pomóż mi go przenieść do mojej chatki, która się wznosi o kilka kroków. (*Biorą obydwaj rozbójnika i wynoszą, po małej chwili wracają*).

*Pustelnik.* Tu są za krzakiem pieniądze — podzielone na trzy kupki. Ci dwaj przy podziale się pokłócili, poczem jeden uderzył sztyletem, a drugi strzelił z pistoletu. Teraz pójde do rannego. (*Wychodzi*).

*Posłaniec (zbiera w wór pieniądze).* Dziwna to rzecz; owe pieniądze mają służyć za wykup mego pana, ojca rodziny, trzymanego w kajdanach. Jeżeli dziś nie złożyłbym 1000 dukatów, mój pan utraciłby życie, a żona i dzieci zostałyby osierocone. Wtedy i mnie już nie żyć. *(Pada na kolana).* Dzięki Ci, Boże, że się znalazła zguba. Niech Twoje Imię będzie błogosławione po wszystkie wieki wieków! *(Wchodzi pustelnik).*

*Pustelnik.* Ty dziękujesz Bogu, żeś znalazł pieniądze, a ja dziękuję, że Bóg się zlitował nad rozbójnikiem. Zapewne sprawiła to pomoc św. Antoniego. Rana nie jest śmiertelną. Mam mocną nadzieję, że nie-szczęśliwy przyjdzie do zdrowia, aby mógł czynić pokutę za zbrodnię, której się dopuścił. Bóg karze ciężko zakamieniałych grzeszników, ale odpuszcza winy szczerze żałującym. Bóg jest sprawiedliwym, ale także miłosierdnym sędzią. Chwała Bogu na wysokości a pokój ludziom dobrej woli! *(Zasłona spada).*

## 49. Na ten weksel płacę.

Igra w dwóch odsłonach.

### OSOBY:

Kubanek, gospodarz w Bukownicy.

Agnieszka, jego żona.

Sędzia.

Pawłowski, sekretarz sądowy.

Izak Wolfsohn, zwany Wilkiem.

Rzecz dzieje się za czasów dawnej ordynacyi sądowej, kiedy w sądach pruskich był język polski uwzględniony.

Jawnica czyli scena w mieszkaniu Kubanka.

### SCENA I.

Agnieszka, później Kubanek.

*Agnieszka.* Oddał przed chwilą listowy pismo ze sądu. Pewnie to będzie skarga żyda Izaka. Słusznie



nazwano go Wilkiem, gdyż połyka gospodarzy, tj. nasze gospodarstwa, jak wilk barany. Pożycza na wysoki procent, poi wódką, dopisuje, a gospodarze jeden po drugim tracą ojcowiznę i idą w świat z torbami. Boże kochany, czyż i nam podobny los zgotowany? Prosiłam mojego, aby się nie wdawał z żydem, ale słowa moje były grochem, rzucanym na ścianę. Pożyczał od żyda i pił w karczmie, a teraz proces. Biedna nasza dola! Za psie pieniądze stracić piękne gospodarstwo. Ale to tak bywa, jeżeli chłop przesiaduje w szynku żydowskim. (*Wchodzi Szymon*).

*Szymon*. Czy tu był listowy?

*Agnieszka*. A był i przyniósł pismo ze sądu. Pewnie skarży nas żyd Wilk.

*Szymon (przegląda)*. Szelma żyd skarży nas o 600 talarów.

*Agnieszka*. Jezus, Marya, Józefie Święty — z kąd się wzięło 600 talarów? Toć to oszukaństwo! Czyś ty tyle pożyczył od niego i czyś tyle winien za przekłątą gorzałę?

*Szymon*. Ale gdzież tam. Wystawiłem mu co prawda weksel na 200 talarów.

*Agnieszka*. A więc za wódkę, piwo i różne drobiazgi tyle urosło, boć co się tyczy pieniędzy, co pożyczał, brał zbożem.

*Szymon*. Po pijanemu człowiek nie uważał, ile się wypilo i kogo się częstowało. Żyd pisał co chciał. Potem procenta i tak zebrało się 200 talarów. Na mój rachunek najwyżej należy mu się rzetelnie 80 talarów.

*Agnieszka*. Otóż masz skutki pijaństwa. Czy było potrzeba, abyś przesiadywał w karczmie żydowskiej i poił pijaków? Toć, jeżeli koniecznie chciało ci się wódki, mogłeś być pić w domu.

*Szymon*. Kiedy to najlepiej wódka smakuje, gdy się pije z kolegami. A potem mam to głupie przyzwyczajenie, że jak sobie podpisę, zaraz wszystkich częstuję. Każę dawać kolejki, ale ja sam tylko daję, a inni piją.

*Agnieszka*. Lecz z kąd się wzięło 600 talarów? Wystawiłeś weksel na 200 talarów, a za coś winien jeszcze 400 talarów?

*Szymon.* Z mojej winy jest dług 200 talarów, a tyś przyczyną, że nas żyd skarży o 400 talarów.

*Agnieszka.* Chłopie, co ty wygadujesz? Czy ja pożyczyłam 400 talarów? Pierwsze słyszę o tym długu.

*Szymon.* Wiesz, że nasz wymiernik czy tam wykuźnik Komasa podług ugody jada z nami. Tyś mu dokuczała, dawałaś liche jedzenie, robiłaś twarz kwaśną, jakbyś wypila kwartę octu, a jak się nieborak użalił, pytlowałaś językiem bez litości. Przestrzegałem cię nieraz, abys się z Komasa dobrze obchodziła, ale czy chciałaś słuchać? I mnie się nieraz dostało, to też zacisnąłem czapkę na uszy i poszedłem do karczmy, aby nie słyszeć twego trajkotania. Komasa się rozgniewał, a gdy się poradził Izaka, ten kupił od niego pretensyą, którą sobie liczy na 400 talarów, zapłacił mu zaś może 200, a najwyżej 250 talarów.

*Agnieszka.* Źle zrobiliśmy obydwójce. Żebyś ty był więcej w domu siedział, byłoby z Komasa inaczej. On myślał, że ty jesz co innego, lepszego, i o to się rozgniewał. Przyznaję, że nieraz powiedziała chlebownikowi przykre słowo, aleć on też miał gębę od ucha do ucha. Jednakże to przyznasz, mój Szymonie, że nie przepiłam, nie przejadłam i nie przestroiliłam tych 600 talarów.

*Szymon.* Rzetelna prawda, ale co to wszystko teraz pomoże. Żyd wygra proces i poda nasze gospodarstwo na subhastę.

*Agnieszka.* O Matko Boska Częstochowska, o cudowny Święty Idzi Mikorzyński, przyczynicie się za nami!

*Szymon.* Co tu począć? Trzeba szukać jakiej rady, ale gdzie i jak?

*Agnieszka.* A możebyś się poradził Ochsenfleischa? On już wygrał niejeden proces.

*Szymon.* Kochana żono, Ochsenfleisch pijak, na prawie się nie zna. Gdyby nie on, byłby Pisarek posiadał jeszcze gospodarstwo.

*Agnieszka.* Ręk bezczynnie zakładać nie można, trzeba koniecznie szukać jakiej rady. (*Wchodzi Pawłowski*).

## S C E N A II.

Ciż i Pawłowski.

*Pawłowski.* Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!*Szymon i Agnieszka.* Na wieki wieków. Amen.

Witamy pana sekretarza.

*Pawłowski.* Bóg zapłać. Coście tacy zatrwożeni? A już wiem, zaskarżył was żyd Izak Wilk. POCOŚCIE SIĘ TEŻ Z TYM ŻYDEM WDALI?*Agnieszka.* Nieraz ja to mówiłam Szymonowi.*Szymon.* Co prawda głupstwo zrobiłem, że się wdałem z żydem.*Pawłowski.* Wódka, wódka, narobiła wam tego bigosu. Wódka i żydzi, to największa plaga ludu polskiego. Ale pomówimy o tem później. Przyszedłem tu dzisiaj z polecenia pana sędziego, czybyśmy za kilka dni nie mogli w waszem mieszkaniu odbyć posiedzenia sądowego, gdyż co rok cztery razy zjeżdża tu sądowa komisya. Dotychczas odbywały się zawsze posiedzenia w karczmie, ale że oskarżeni i świadkowie byli zwykle pijani, przeto pan sędzia nie chce więcej odbywać sądów w karczmie.*Szymon.* Z największą chęcią oddamy naszą izbę.*Agnieszka.* Izba będzie wymyta i oczyszczona; niepotrzebne rzeczy powynosimy.*Pawłowski.* Oczywiście, że sąd zapłaci przyzwoitą cenę. Powiedzcie mi, co chcecie zrobić ze żydem?*Szymon.* Jeszcze nic nie postanowiliśmy. Żona mówi, żeby się poradzić Ochsenfleischa.*Pawłowski.* Bójcie się biedy, nie zadawajcie się z tym człowiekiem. Jest to przepita kozera. Będzie od was wciąż wyciągał grosze, a nic nie robi.*Szymon.* Ja też zaraz żonie powiedziałem, że nie chcę z tym pokątnym doradcą nic mieć do czynienia.*Pawłowski.* Dobrze zrobiliście. Najlepiej się poradzić adwokata. Weźcie pana Grabowskiego w Ostrzeszowie. Jest to biegły prawnik; pomógł już niejednemu.*Agnieszka.* Kiedy adwokaci bardzo drodzy.*Pawłowski.* Lepsza szkódka niż szkoda. Zapłacicie adwokatowi kilka talarów, a on wam ocali gospodarstwo, jeżeli wogóle jest do ocalenia.



*Agnieszka.* Toć weźmy, Szymonie, pana Grabowskiego, przecież pan sekretarz dobrze nam życzy.

*Szymon.* Zaraz dziś pojedę do Ostrzeszowa.

*Pawłowski.* Bądźcie przekonani, że bronię waszego dobra. Pokażcie tylko zapozew sądowy.

*Agnieszka.* Proszę pana sekretarza (*podaje pismo*).

*Pawłowski* (*czyta a potem zaczyna się śmiać*).  
Wiecie co, moi kochani, o te 200 talarów chwilowo nie ma kłopotu, gdyż weksel nie jest ważny.

*Szymon.* Weksel nie jest ważny?

*Agnieszka.* Bogu chwała, że aby jedno zejdzie nam z karku.

*Pawłowski.* Tu jest dosłowny odpis weksła. Otóż jedna litera narobiła głupstwa i unieważniła weksel. Stoi na nim: „Na ten weksel płacę“ a powinno być: „Na ten weksel płacę“. Głoska „z“ jest zbyteczna. Jednakże potrzeba, aby adwokat zobaczył w aktach, czy istotnie na wekslu znajduje się wyraz: „płacę“.

*Agnieszka.* A więc nie potrzeba zapłacić owych 200 talarów.

*Pawłowski.* Tego nie twierdzę. Skoro weksel byłby wyskarżony, wtedy może żyd podać waszą posiadłość na subhastę, a gdy weksel będzie uznany za nieważny, wtedy musi dochodzić należytości przez nowy proces, a to może długo potrwać.

*Szymon.* Żebym miał z dwa miesiące czasu, możebym uzyskał pożyczkę.

*Pawłowski.* Najlepiej zaciągnąć dług w Spółce pożyczkowej, bo zapłacicie mały procent i możecie odpłacać ratami. Ale wy, Szymonie, pewnie nie należycie do Towarzystwa Pożyczkowego w Mikstacie lub Ostrzeszowie?

*Szymon.* Co prawda, że nie, bo to człowiek nie wie, gdzie się udać, a potem jest też i obawa co do ręczenia całym majątkiem.

*Pawłowski.* Najmniejszy kłopot, gdzie się zgłosić. Oto do binra kasy w Rynku pod 65 Nr., które jest co dzień otwarte rano od 9-tej do 1-szej godziny w południe. Skoro przyjdziecie do biura i powiecie, że chcecie być członkiem, powiedzą wam co macie zrobić.

*Szymon.* Jak pojedę do adwokata, zgłózę się zarazem na członka.

*Pawłowski.* Co do ręczenia majątkiem jest rzecz taka, że wszyscy członkowie, a jest ich przeszło 300, ręczą swoim majątkiem, aby ludzie składali do kasy oszczędzone pieniądze, zwane depozytami. Towarzystwo wypożycza pieniądze na pewne weksle, ma przytem fundusz zapewniony, tj. pieniądze, przeznaczone na pokrycie nieprzewidzianej szkody. Tylko wtenczas mogliby członkowie dopłacać, gdyby w zarządzie zasiadali oszuści, którzyby myśleli tylko o swych kieszeniach. Śmiało więc możecie, mój Szymonie, przystąpić na członka Towarzystwa Pożyczkowego, bo i ja już dawno jestem członkiem.

*Szymon.* Dziękuję za pouczenie.

*Agnieszka.* Pan sekretarz zdjął nam kamień ze serca. Zaczynam wierzyć, że nie stracimy gospodarstwa.

*Pawłowski.* Ta sprawa z wymiernikiem jest mi niejasna, ale adwokat zapewne dobrze poradzi. Jednakże przestrzegam cię, mój Szymonie, abys porzucił pijatykę i żydów. Jeżeli chcesz wypić koniecznie kieliszek wódki, lub szklanekę piwa, idź do chrześcijańskiego składu. Ale wy, pani Szymonowo, też nie jesteście lepszą. Widziałem niedawno, jakieś pani kupowała w żydowskich składach, a przecież mamy handle rodaków. Cóż się stanie z naszymi kupcami, jeżeli mianowicie wy, gospodarze i gospodynie, wciąż do żydów wasz grosz zanosić będziecie?

*Agnieszka.* Czyni to człowiek z przyzwyczajenia, ale odtąd będę wszystko kupowała tylko w chrześcijańskich składach.

*Pawłowski.* Bardzo mnie to cieszy. Teraz was pożegnam, gdyż poczta niedługo odchodzi. Do widzenia zatem we wtorek. Zostańcie z Bogiem.

*Agnieszka.* Niech pan jedzie z Bogiem.

*Szymon.* Życzymy szczęśliwej podróży.

### SCENA III.

Ciż i Izak.

*Izak.* Tu był u was Pawłowski? Co on od was chceć, zapewne izbę wydzierzał dla komisji sądowej,

bo do mnie napisali, że nie będą się u mnie odbywały sądowe komisye, przez co mam wielką szkodę.

*Agnieszka.* Ale ludzie będą mieli dobrze, bo nie będą przychodzili pijani przed sędzięgo.

*Izak.* Jaka pani mądra? A z czego ja mam żyć, z czego podatki płacić, jeżeli nie z pijaństwa? Gdyby Polaki u nas żydów nie piły, tobyśmy musieli zrobić bankrut. Tak ja wam radzę, abyście waszego izby dla sądu nie najmowali. Jak nie będą mieli dobrego izbę, muszą przyjść do mnie.

*Szymon.* Dobrze zarobić na ostatku parę groszy. Wszakżeż niedługo nam weźmiesz gospodarstwo, boś nas zaskarżył o 600 talarów.

*Izak.* Z tej skargi sobie nic nie róbcie, bo my się możemy pogodzić. Winnicie mi 600 talarów.

*Agnieszka.* Gdzie zaś 600 talarów. Te 200 talarów, na które Szymon weksel wystawił, powstały głównie z dopisywania procentów. Wyście Izak bodaj za 80 talarów dali trunków.

*Izak.* Co tam o tem mówić, kiedy weksel jest wekslem.

*Szymon.* A Komasę to też, Izaku, namówiłeś. Pił u ciebie, a gdy nie miał za co, poradziłeś mu, aby sprzedał swój wymiar za psie pieniądze.

*Izak.* Co się tam będziemy sprzecza! Ja wam powiedzieć mądre słowo. Wy mnie oddajcie dobrowolnie gospodarstwo, a ja wam jeszcze dopłacę 200 talarów i te dwa długie będą umorzone. Jak nie chcecie zgody, nic nie dostaniecie.

*Agnieszka.* A bodaześ pękł, żydzie przeklęty, kiedy chcesz nas haniebnie skrzywdzić. Za gospodarstwo może dać brat bratu 1500 talarów, a ty chcesz kupić od nas za psie pieniądze.

*Izak.* Co wy pani Agnieszka wygadujecie? Ja żyd poczciwy, każdemu chcę pomódz, a wy mnie każecie pęknąć. Niech ci pękają, co mają wielkie brzuchy i ludzi oszukują. Ja wam podaję rękę do zgody, a jak nie chcecie i tak dobrze, ale pamiętajcie, że będziecie płakali.

*Agnieszka.* Ja już dziś na ciebie płaczę, niepo-cziwy Izaku.



*Izak.* Was heisst niepocziwy? Każdy skrzeczy o swoje rzeczy. Wasz mąż pił u mnie wódkę, piwo, palił cygara, a potem kazał dawać kolejki, a czy ja mu kazał? a czy ja go przymuszać? Na co piją polscy ludzie?

*Agnieszka.* Pewno na to, aby was żydów bogacić?

*Szymon.* Prawdę masz, Izaku, że nie powinienem był przesiadywać w twojej karczmie, aby topić w kieliszku zdrowie, rozum i pieniądze. Powinienem był brać przykład z ciebie, bo ty wódki nie pijesz.

*Izak.* Żeby mi żydzi tak pili, jak wy Polacy, już bylibyśmy dawno poszli w gałgany. Ale mniejsza o to, mówcie, jak będzie z naszą sprawą.

*Szymon.* Jak ma być? Wezmę adwokata.

*Izak.* Weźcie Ochsenfleischa, on się bardzo zna na prawie.

*Agnieszka.* Oj dobry to doradzca, gdy go Izak poleca.

*Izak.* Moja pani gospodyni, wy się na tem nie znacie. Ostatnie słowo, chcecie ze mną zgody, czy nie?

*Szymon.* Kiedy ma iść przez sąd, niechże idzie.

*Izak.* Widzę jakiś ganef wam nagadał, ale wy zobaczycie, co to będzie? No, namyślcie się, bo już odchodzę.

*Agnieszka.* A idź na złamanie karku.

*Izak.* Będziecie wy mieli złamanie karku. Sami kark złamiecie. (*Odchodzi*).

*Szymon.* Otóż to takie skutki wynikają, jeżeli człowiek się zapija i wdaje się z żydami. (*Zastona spada*).

#### SCENA IV.

Sędzia. — Pawłowski.

*Sędzia.* Brakną jeszcze dwie minuty do dziewiątej. Która dziś sprawa pierwsza?

*Pawłowski.* A czyjażby, jeżeli nie Izaka Wolfsohna, zwanego Wilkiem. Zaskarżył Kubanka o 600 talarów. Wystawił mu weksel na 200 talarów, a wybrał trunkami i cygarami może najwyżej 80 talarów.

*Sędzia.* W taki sposób niszczy się lud polski, a sądy muszą żydom pomagać w wywłaszczaniu. Prawo

pozwała brać wysoki nieograniczony procent, \*) zatem żydzi korzystają z tego i bogacą się z krzywdą chrześcian.

*Pawłowski.* Dziwi mnie, że rząd zatwierdził to prawo.

*Sędzia.* W sejmie liberałowie, popierający żydów, mają większość, zatem prawo przeszło, a rząd potwierdził, gdyż nie przewidywał skutków. Zdaje mi się jednakże, iż nastąpi zmiana, gdyż oficerowie pruskiej armii płacą niesłychane procenta żydom za długi, a gdy nie mogą oddać pożyczek, kończą życie samobójstwem. Wiadomo, że w sprawach wojskowych rząd jest bardzo drażliwym. \*\*)

*Pawłowski.* Ograniczenie lichwy byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla polskiego ludu.

*Sędzia.* Czy Kubanek ma adwokata?

*Pawłowski.* Wziął Grabowskiego, ale adwokat nie mógł dziś przybyć, bo ma pilną sprawę w sądzie ostrzeszowskim, napisał jednakże odpowiedź na skargę i do akt dołączył.

*Sędzia.* Jest dziewiąta godzina — zatem rozpoczynamy posiedzenie. (*Dzwoni.*)

## SCENA V.

Ciż. — Kubanek. — Agnieszka. — Izak.

*Sędzia.* Pierwsza sprawa tyczy się weksla, który wystawił gospodarz Kubanek handlarzowi Izakowi. Panie sekretarzu, proszę odczytać skargę.

*Pawłowski.* Prześwietny sądzie: Gospodarz Kubanek wystawił mi przed dwoma miesiącami weksel, płatny dnia 15. Maja. Gospodarz weksla nie zapłacił, chociaż mu był przedstawiony, zatem proszę skazać go na zapłacenie weksla, który do skargi się dołącza. Podpisano: Izak Wolfsohn.

*Sędzia.* Gospodarzu Kubanku! Czyście podpisali weksel, o którym mowa?

*Kubanek.* Podpisałem, ale stawiam wniosek o odrzucenie skargi, gdyż ów weksel nie jest ważnym.

\*) Przypominamy, że to się działo przed wydaniem prawa o lichwie.

\*\*) Istotnie głównie z powodu oficerów rząd postarał się, aby przeszło prawo przeciw lichwie.

*Sędzia.* Z jakiego powodu?

*Kubanek.* Na wekslu stoi: „Na ten weksel płacę“. Zkąd ja do tego przychodzę, aby płakać na weksel.

*Sędzia.* Panie Pawłowski, proszę przeczytać co napisano na wekslu i przełożyć na niemieckie.

*Pawłowski.* Na ten weksel płacę. Po niemiecku znaczy to: „Auf diesen Wechsel weine ich“.

*Sędzia.* Panie Izak, co pan na to powiesz?

*Izak.* Prześwietny sędzie, to jest omyłka, jedna litera zawiele. Przecież rzecz widoczna, że płacę jest zamiast „płacę“.

*Sędzia.* Przepisy prawne są w tym względzie nieubłagane. Kazałem umyślnie przetłumaczyć to zdanie na niemieckie. „Auf diesen Wechsel weine ich“ jest co innego, aniżeli „Auf diesen Wechsel zahle ich“.

*Izak.* Proszę wielmożnego pana sędziego, aby uznał, że ten weksel jest ważny, bo jabym miał wielką szkodę.

*Sędzia.* W takie rzeczy nie mogę się wdawać. Skarga pana Izaka Wolfsohna jest odrzucona.

*Agnieszka.* Niech Bóg panu sędziemu stokrotnie wynagrodzi.

*Sędzia.* Pani Kubanek nie ma głosu. Teraz następuje druga sprawa. Panie Pawłowski, proszę odczytać zaskarżenie.

*Pawłowski (czyta).* Prześwietny sędzie! Wymiernik Komasa ma zapisany wymiar na gospodarstwie Kubanka i jego żony Agnieszki z Laskowskich. Komasa sprzedał mi za 400 talarów swój wymiar. Stawiam wniosek, abym ja był zapisany w hipotece na numerze Komasy. Podpisano: Izak Wolfsohn.

*Sędzia.* Oskarżeni małżeństwo Kubankowie, co na to mówicie?

*Kubanek.* Zaprzeczamy, aby Komasa miał na hipotece 400 talarów. Podług prawnej ugody, ma u mnie zapewnione mieszkanie i jedzenie, tj. ma jeść z nami z jednej miski. Oprócz tego służy prawo Komasi, że mu sprawiam ubiór, ale wolno mi dać przenoszone rzeczy. Niech Izak Wolfsohn sprowadzi się do mnie, a może u mnie mieszkać i jeść ze mną z jednej miski. Także zobowiązuję się mu dostarczyć potrzebnego ubioru.



Wymiernik jest też obowiązany pomagać trochę w gospodarstwie.

*Agnieszka.* Zgadzam się zupełnie na wywody mego męża.

*Sędzia.* Izak Wolfsohn, co pan na to?

*Izak.* Prześwietny sędzie, przecież ja nie mogę mieszkać i jadać u Kubanka, jak Komasa. Stawiam wniosek, aby moja pretensya w ilości 400 talarów była w hipotece zapisana.

*Sędzia.* Wniosek pański nie może być uwzględnionym, gdyż sprzeciwia się prawu. Komasa nie ma prawa żądania wypłaty 400 talarów, tylko ma prawo do mieszkania, jedzenia i do odzieży. Gospodarz Kubanek chce chętnie dać Izakowi Wolfsohnowi to samo, co Komasi, zatem sąd nie ma prawa znosić układu. Skarga powoda Izaka Wolfsohna jest zatem odrzucona. Koszta sądowe ponosi tenże Wolfsohn.

*Izak.* Prześwietny sędzie, ja bardzo wiele tracę przez ten wyrok.

*Sędzia.* Sąd takich spraw nie może uwzględnić, zresztą służy panu prawo apelacyi. Odraczam na kilka minut posiedzenie, gdyż muszę iść do drugiej izby przynieść potrzebne akta. (*Wychodzi*).

## SCENA VI.

*Izak.* Wyrok jest niesprawiedliwy.

*Pawłowski.* Panie Izak, pohamuj się, bo możesz się narazić na wielką karę.

*Izak.* Panie Kubanek, może się ugodzimy?

*Agnieszka.* Nie potrzebujemy żadnej ugody. Niech Izak przyjdzie, mieszka u nas i je z nami z jednej miski.

*Izak (odchodząc).* Schwarze jures, ganef, goym, ja biedny żyd skrzywdzony, stracę gruby pieniądz.

*Szymon.* Nie stało się żadne nieszczęście.

*Pawłowski.* Wszakże panu dobrze pan Grabowski poradził?

*Szymon.* A niechże mu Pan Bóg da niebo. Rozmówił się ze mną bardzo uprzejmie i napisał mi, co mam powiedzieć, mianowicie co do wymiaru. Radzę

z duszy i serca, aby kto ma sprawę w sądzie, poradził się adwokata rodaka, a strzegł się pokątnych doradców.

*Pawłowski.* Ja dodaję na zakończenie: Strzeż się, polski ludu, pijaństwa i nie wdawaj się z żydami.

*Agnieszka.* Panie sekretarzu! Pojechałam z mężem do Ostrzeszowa, ale nie byłam w żadnym żydowskim składzie. Także i w przyszłości tak samo będę czyniła. Radzę wam. Polki i Polacy. abyście mój przykład naśladowali. Bierzmy sobie za wzór Niemców i żydów. Swój niech swego popiera, a będzie nam Bóg błogosławił.

*(Zastona spada).*

*Uwaga.* Wypadek, opisany w niniejszej komedyjce, jest prawdziwy. Stało się to we wsi Bukownicy, w powiecie ostrzeszowskim, mniej więcej przed 30-tu laty. Dla objaśnienia dodajemy, że komisye sądowe zjeżdżają do małych miast i większych wsi, aby sądzić mniej ważne sprawy. Dawniej, jeżeli powodowie i oskarżeni nie umieli po niemiecku, odbywały się obrady po polsku.

## 50. JARMARK.

Komedyjka w jednym akcie dla dziewcząt.

Z pism Schmidta przerobił Franciszek Rogala.

### OSOBY:

Pani Kwiecińska, bogata wdowa.

Pani Majewska, wdowa.

Rozalia, jej córka.

Anusia.

Basia.

Elżbietka.

Małgosia.

Marysia.

Stasia.

Wanda.

Dziewczyny od 8 - 12 lat.

Teatr przedstawia pokój pani Majewskiej, niebardzo wspaniały, ale porządny i wygodny.

### SCENA I.

*Pani Majewska (siedzi przy stoliku w okularach pracując pilnie. Na ulicy słychać katarynkę z początku z daleka, po chwili bliżej.)* Oto znak, że dziś jarmark! *(zegar bije dziesiątą godzinę)* Już dziesiąta! Pani Kwiecińska wkrótce przybędzie. *(ktoś puka do drzwi.)* Proszę!

*Pani Kwiecińska (w ubiorze podróżnym.)* Dzień dobry! Pani zdrowa?

*Pani Majewska (wstaje i zdejmuje okulary.)* Upadam do nóg! Pani rychło wybrałaś się w drogę. Kwiatkowo dwie mile ztąd odległe, a Pani na minutę stanęłaś. Ta punktualność przewyższa wszelkie wyobrażenie!

*Kwiecińska.* Jestem przekonana, że pani moje rozkazy także sumiennie wykonałaś.

*Majewska.* Staralam się, ile możliwości. Pani chesz za córkę przyjąć ubogą, pojętną i pocziwą dziewczynę. To rzecz piękna, chwalebna i stokrotnie ją Bóg pani wynagrodzi. Pani sobie życzyłaś, abym z ubogich dziewcząt najlepszą wybrała. Ja zaś nie chcąc ani dzieciom, ani rodzicom krzywdy czynić, postanowiłam przedstawić pani 7 dziewcząt, które znam jako najporządniejsze i zostawić wybór pani samej. Są to dzieci ubogich rodziców, których pani już tylekroć razy hojnie darami obsypałaś.

*Kwiecińska (wyjmując pugilares).* Pani przysłałaś mi spis dzieci tych, w którym mi opisujesz ich zdolności, pilność i postęp w naukach. Wszystko to bardzo dobrze. Byłam sama przytomną popisowi publicznemu; tak nauczycielki jako i uczennice wypełniają swe powinności. Dzieci się czegoś nauczyły. Jestem z nich zadowolniona. Przecież wiedza sama nie wystarcza, chcę się zatem przekonać, czy podług udzielanej im nauki umieją zastosować swe życie. Chcę poznać, jaki ich jest sposób myślenia, jakie uczucia; poznać, do czego największą okazują skłonność, bo to ich usposobienie jest rzeczą ważną, od niego zależy cała przyszłość.

*Majewska.* Ale jakże się przekonać, czy serce ich dobre lub złe? Wszakże to bardzo trudno. — Chociaż bowiem żadnego dzieciom występkowi zarzucić nie mogę, waham się jednakże zareczyć, że są dobre; bo może wystrzegają się złego, a czynią dobrze tylko dla oka, dla pozorów, a pozór często łudzi.

*Kwiecińska.* A pomimo to myślę, że się o tem przekonamy. Gdy przejeżdżałam około kramików, porostawianych w rynku, przyszło mi na myśl, że — — — ale o tem później powiem. Najprzód bądź pani łaskawa przedstawić mi dzieci.



*Majewska.* Są w pokoju mej córki, Rozalia natychmiast je przyprowadzi. *(Dzwoni).* Proszę, siadaj pani. *(Odbiera płaszczyk od p. Kwiecińskiej).*

## SCENA II.

*Rozalia.* Ah! pani już przybyłaś? Czekałam, rychło powóz zajedzie; bo jakże mogłam myśleć, że pani pieszo przyjdiesz!

*Kwiecińska.* Dzień dobry! kochana Róziu. Proszę, przyprowadź dzieci.

*Rozalia.* Do usług Pani Dobrodziejki *(kłania się i odchodzi).*

*Kwiecińska.* Jestem ciekawa je zobaczyć.

*Majewska.* A ja także widzieć, które z nich będzie szczęśliwe nazywać panię na przyszłość swą matką.

*Rozalia* *(wprowadza 7 dziewcząt, które przy drzwiach rzędem stoją. Jedna z nich podaje pani Kwiecińskiej wieniec; wszystkie śpiewają).*

Za tak wielkie, hojne dary,  
Które nam dajesz bez miary,  
Cóż ci w zamian przyniesiemy,  
Czemże ci się wywdzięczymy?

Ach, racz przyjąć, co ci szczerze  
Składamy dzisiaj w ofierze:  
Ten tu wianek, com go wily,  
Prosimy, by Ci był miły.

A Ten, co panuje w niebie,  
Niech łaskawie spojrzy na ciebie,  
Da ci zdrowie, długie lata  
I wszelkie dobroci świata.

Gdy twe ciało legnie w grobie,  
Oby dusza o tej dobie  
Wprost do nieba się dostała  
I tam wiecznie królowała. \*)

*Kwiecińska.* Ślicznie, bardzo ślicznie! Dziękuję za miłe i serdeczne przywitanie i za złożone mi życzenia. Wywdzięczając się za nie, daję każdej z was *(wyjmuje z kieszeni pakieciki w biały papier zawinięte)* mały po-

\*) Można śpiewać na nutę: „Kiedy ranne wstają zorze“.

darunek. Słuchajcie! Każda odbiera w równym zawinątku pewną ilość pieniędzy; za co niech sobie każda to kupi, co jej zdaje się być najlepszem i najpotrzebniejszym. Ale zakazuję surowo, żeby żadna nie odważyła się najprzód do domu iść i pytać się matki, co ma kupić. Wybierzcie według własnego upodobania, a kupiwszy przyjdźcie i pokażcie mi.

*Majewska.* Przepraszam panią, — ale zdaje mi się być niebezpieczną rzeczą dzieci z pieniędzmi posyłać na jarmark; bo dziecię a głupca każdy oszuka.

*Kwiecińska.* Masz pani słuszość; właśnie myślę, jak temu zapobiedz. Oto sądzę najlepiej w ten sposób. Słuchajcie dzieci! Nie kupujcie od obcych, tylko od miejscowych kupców i powiedzcie, że ode mnie macie pieniądze, przytem kupione rzeczy mnie okazać jesteście obowiązane.

*Majewska.* Ach tak! to rozsądniej! to myśl wyborna! ponieważ kupcy tutejsi tak wiele mają od pani dochodu, dadzą z pewnością dzieciom tani i dobry towar, aby nie utracić jej łaski i względów.

*Kwiecińska.* A teraz, kochane dzieci, z kolei was wywołam (*bierze spis*) i wręcę pieniądze.

Anna Górską! oto masz!

*Anna (kłania się).* Upadam do nóg i dziękuję pokornie.

*Kwiecińska.* Idź, nie targuj się, abym zbyt długo na ciebie nie czekała, bo mam dużo innych spraw do załatwienia. Także wszystkim innym nakazuję pospiech.

Barbara Karpińska! zbliż się! masz!

*Barbara (otwiera papier).* Jest dużo pieniędzy! to ślicznie! Do widzenia!

*Kwiecińska.* Elżbieta Dobrzyńska! bierz!

*Elżbieta.* Mama kłania się wielmożnej pani! Mama zezwala, aby mnie pani za córkę przyjęła.

*Kwiecińska.* Małgorzata Pysznicka!

*Małgorzata.* Całuję rączki — kupię z pewnością coś dobrego. (*Oddala się spiesźnie*).

*Kwiecińska.* Marya Gwizdałowska!

*Mary.* Już wiem, co najpiękniejsze — dziękuję ślicznie!

*Kwiecińska.* Stanisława Brzezińska!

*Stanisława.* Wielmożna pani mnie uszczęśliwia, wien., co dla mnie najlepszego, dziękuję tymczasowo. —

*Kwiecińska.* Wanda Prawdzińska!

*Wanda.* Bóg zapłać! —

### SCENA III.

*Majewska.* Jestem ciekawą, co te dzieci kupią. —

*Kwiecińska.* Mam jakieś przeczucie i myślę, że się sprawdzi. Gdyby tylko dzieci długo się nie bawiły.

*Rozalia.* Sądzę, że wkrótce powrócą. Gdy wczoraj wyszłam na miasto, zabrałam je z sobą i widziałam, jak przed tym lub przed owym kramikiem stanawszy, pilnie towarom się przypatrywały. Każda coś sobie życzyła kupić, ubolewając, że nie miały pieniędzy. Skoro więc już wczoraj, co każdej zdawało się być najlepszem i najpotrzebniejszym sobie wybrały, toć dziś, mając pieniądze, wnet kupią. —

Oto pierwsza już przychodzi!

### SCENA IV.

*Anna (w skromnym ubiorze wiejskim, na głowie modny drogi kapelus — wchodzi poważnie).*

*Kwiecińska.* Co to? Wszakże ten kapelus nie-stósowny do twego ubioru. Głupi ten, kto się nad swój stan wynosi.

*Anusia.* Ponieważ bynajmniej nie wątpię, że wielmożna pani raczysz mnie przyjąć za córkę, a wten-czas będę panią, więc stósowny do swego przyszłego stanu wybrałam sobie kapelus; rzeczy jeszcze potrzebne pani będziesz łaskawa później mi kupić.

*Kwiecińska.* O tem, potem. Idź tam, gdzie przed-tem stałaś.

*Basia (trzymając woreczek z pieniędzmi i potrzą-sając nim).* Kupiłam woreczek a resztę pieniędzy do niego włożyłam.

*Kwiecińska.* Oszczędzać tj. zachowywać pieniądze, aby na przyszłość ich lepiej użyć — jest rzeczą nader



rozsądną i chwalebna. Ale wcale pieniędzy nie używać, jest także niedobrze. Skąpcowi pieniądze nie są pożyteczne, leżą u niego bez wszelkiej wartości; jest on ubogim, mając beczki pieniędzy. Idź do Anusi!

*Elżbietka (wchodzi, trzymając na ramieniu wieniec; w jednym ręku dużą tytkę papierową; w drugim placek, od którego kawałek odłamuje).* Kupiłam trzy rzeczy — oto wieniec, w tym tu papierku karmelki i placek — wszystko dobre, bo słodkie.

*Kwiecińska.* Rozsądnie byłąbyś zrobiła, gdybyś zamiast pieniądze na łakotki wydać, była sobie kupiła coś potrzebnego i pożytecznego. Miałabyś z tego pożytek i pociechę na przyszłość; smaczniemi łakociami zaspokajasz wprawdzie swą pożydlivość, ale to też cała korzyść.

*Małgosia (trzymając szal w ręku).* Kupiłam sobie szal, patrz pani jaki piękny! Ileż to na nim różnych pięknych rzeczy wyobrażonych!

*Kwiecińska.* Przecież to nie szal, tylko pokrycie na stolik do kawy. Wprawdzie różne tu widać rzeczy: oto chłopiec pilnujący owcy, dziewczyna pasąca kozę, parobek wsparty na ośle, chłop poganiający parę wołów, ale po co to? Tej chustki nie możesz nosić, boby się wszyscy z ciebie śmiali. Idź do drugich! —

*Marysia (trzyma lalkę, mając na głowie kapelusz modny, piękny szalik na szyi i długą suknię).*

*Rozalia (śmieje się).* Ach, to dziecinnie! (dzieci śmieją się).

*Marysia (z gniewem).* Proszę, przecież to nie dziecinnie — na tej lalce będę się uczyła paryzkich mód.

*Kwiecińska.* Czy to godne takiej, jak ty, dziewczyny przedsięwzięcie? Oby Bóg ciebie i wszystkie dziewczęta od czegoś podobnego zachował! Precz mi z oczu!

*Stanisława (wchodzi trzymając lustro).* Wybrałam niezawodnie rzecz najlepszą. Czyż nie jest moje lustro z złotemi ramami piękne?

*Kwiecińska.* Nawet za piękne, i dziwię się, że za te pieniądze ci je sprzedano.

*Stanisława.* Ponieważ jest tak pięknem, przeto będę go ochraniała, zawieszę je na ścianie i tylko co niedzielię się w niem przejrzę, aby się nie popsuło.

*Kwiecińska.* Nic nad to lepszego uczynić nie możesz, bo choćby przez częste przeglądanie się lustro się nie popsuło, przecież podziwiając swe wdzięki, łatwo popadłabyś może w pychę. (*Oglądając lustro*). Nie jest też szczere złoto w ramach — nie wszystko złoto, co się świeci!

*Wanda* (*w jednej ręce trzymając przęślicę, na której cokolwiek lnu przywiązanego czerwonym sznureczkiem, w drugiej książkę do modlitwy*). Oto moje kupno!

*Kwiecińska.* Tyś, moje dziecko, ze wszystkich najlepiej wybrała. Towarzyszeki twoje marzą tylko o strojach, łąkotkach, zabawie, ty jedynie pracy i modlitwie chcesz się poświęcić. Dobry to wybór „bo tylko praca i modlitwa uszczęśliwia, i jedna łaskę przed Bogiem i przed ludźmi“.

Teraz oddalcie się i czekajcie, aż was każe zawołać. (*Wychodzą, jedne się kłaniają, drugie nie*).

## S C E N A V.

*Kwiecińska.* Siadaj Rozalio! Powiedźcie mi teraz otwarcie, której z dziewcząt pierwszeństwo przyznajecie?

*Rozalia.* Nad tem nie trzeba się zastanawiać, bez wątpienia najmłodszej z nich, Wandzie.

*Majewska.* Istotnie ona najrozsądniej wybrała, ona jest najlepszą.

*Kwiecińska.* Moje zdanie zgadza się zupełnie z waszem. Rozalio! zawołaj to dziecko, a drugie niech idą do domu. (*Rozalia odchodzi*). — Dziwna to rzecz, że dzieci, w jednej kształcące się szkole pod czułym dozorem dbających o ich dobro nauczycielek, tak różny okazują sposób myślenia.

*Majewska.* Przyczyny tego szukać należy poza szkołą, w domu rodzicielskim. Dzieci naśladują przykład dany im przez rodziców; co się nauczą dobrego w szkole, to zapominają, gdy, przyszedłszy do domu, przypatrują się złym uczynom i gdy słyszą złorzeczenia, przekleństwa ojca lub matki. Podobnych zgorzeń nie zna młodziuchna Wanda, bo jej matka jest najcnotliwszą z niewiast. Chociaż jest wdową i ma sześcioro dzieci, jednak

wszystkie dobrze są wychowane. Modlitwa i praca — oto wszystko, co znają i to ich uczęszliwia. —

*Kwiecińska.* Nie wystarcza więc posyłać dzieci regularnie do szkoły, ale potrzeba jeszcze koniecznie, aby im poza szkołą dobre i naśladowania godne dawano przykłady.

## SCENA VI.

*Rozalia (wchodzi, prowadząc Wandę za rękę).*

*Kwiecińska.* Chodź do mnie, moje lube dziecko i powiedz mi, jak wpadłaś na myśl kupić sobie prześlicę?

*Wanda.* Przędziemy w domu przez cały dzień, a że moja prześlica już stara i ciągle się psuje, życzyłam sobie mieć już dawno taką śliczną i wygodną jak ta oto. Dostawszy teraz od łaskawej pani pieniędzy, kupiłam sobie. Mama nie mogła mi kupić, nie mając za co.

*Kwiecińska (czytając w książce).* Wybrałaś sobie piękną książkę do modlitwy.

*Wanda.* Moja siostra ma tę samą, którą dostała jako nagrodę przy popisie publicznym. Zawiera ta książka śliczne, wzbudzające modlitwy, ale siostra zawsze brała ją z sobą do kościoła a ja nie miałam żadnej. Jak wielka była moja radość, gdy ją tak pięknie oprawioną zobaczyłam i właśnie tyle jeszcze zbywało mi pieniędzy, że mogłam ją kupić.

*Kwiecińska.* Ale powiedz mi, moja Wando, czy też chcesz ze mną iść do Kwiatkowa?

*Wanda.* Ach, z radością, ale ciężko mi będzie rozstać się z mamą (*począyna płakać, wyjmując białą chusteczkę i ociera łzy*). Mama często mawiała: Byłoby dla ciebie wielkiem szczęściem, gdyby pani Kwiecińska raczyła cię wziąć do siebie. Jest to dobra, pobożna pani, byłaby dla ciebie drugą matką.

*Kwiecińska.* Słuchaj, co ci powiem. Przyjmuję cię za córkę. Idź do domu i przybądź za godzinę z matką do oberży „pod złotą koroną”. Tymczasem kupię ci potrzebne rzeczy. Życzę sobie poznać matkę tak dobrej córki.

*Wanda (całując w rękę panią Kwiecińską).* Niech Bóg zapłaci pani za to dobrodziejstwo!



*Majewska.* Oto macie rodzice piękny przykład, jak należy dobrze wychować dzieci, a mianowicie trzeba je uczyć bojaźni Bożej, oraz zachęcać do pracy, oszczędności i pokory. A wy dzieci bądźcie podobne do Wandy. Zachowujecie się tak cnotliwie i grzecznie, żeby rodzice doczekali się z was jak największej pociechy. Niech wam Bóg błogosławi! (*Zasłona spada*).

*Uwaga.* Powyższa komedyjka nadaje się bardzo dla panienek, występujących raz pierwszy w teatrzyku domowym, gdyż niewiele jest do nauczenia się na pamięć. Można też w danym razie jedną lub więcej dziewczynek wypuścić np. Rozalią lub Basię, albo też można przybrać więcej panienek. Oprócz podanej śpiewki w drugiej scenie zaleca się dodanie jednej lub więcej piosnek.

## 51. Rozmowa o bławatkach.

### SCENA III.

W dziełku „Miła zabawa dla dzieci“ na 22 stronie znajduje się dyalog pomiędzy dwiema dziewczynkami o bławatkach. Ów dyalog upowszechnił się w Gnieźnie i w okolicy do tego stopnia, że grano go kilkadziesiąt razy w rodzinnych kółkach. To spowodowało mnie, że dorobiłem trzecią scenę z Bolesiem, o którym mówi Basia, że „uwielbia nasze lasy, pola, góry, łąki, kwiaty, doliny i ten lud, który pracuje na nas w pocie czoła“. „Rozmowa o bławatkach“ z trzecią sceną jest bardzo odpowiednią do odegrania podczas imienin itp. Można ją też odegrać z stósownemi zmianami podczas jakichkolwiek uroczystości domowych. Poleceni są tu różni kupcy i przemysłowcy polscy w Gnieźnie. Oczywiście rzecz, że w innych miastach trzeba wymienić miejscowych kupców, a mianowicie popierających sprawę narodową, gdyż niestety! wielu jest kupców i przemysłowców polskich, którzy żądają poparcia od rodaków, a sami nie chcą nawet słomki na krzyż położyć dla dobra uciśnionego narodu. Mamy takich samolubów także w Gnieźnie.

Przyczynia się wiele do podniesienia gry piękny wieniec z prawdziwych lub sztucznie robionych bławatków, a jeżeli być może, niech dziewczynki i Boles wystąpią w krakowskich ubiorach.

## S C E N A III.

Józia. — Basia. — Boles.

*Józia.* Basiu, Basiu, co to znaczy, że tam z drugiej strony odzywa się także nuta krakowiaka?

*Basia.* Co widzisz? Wszakże to Boles. (*Wchodzi Boles*).

*Boles.* A tak, tak, Boles. Słyszałem wasze śpiewy, to też zanuciłem sobie krakowiaka. Słuchajcie, powtórzę wam raz jeszcze. Ale co prawda ładnie śpiewałyście.

*Józia.* Mniejsza o to; śpiewaj, Bolesiu!

*Boles (śpiewa:)*

Wesół i szczęśliwy  
Krakowiaczek ci ja,  
A mój konik siwy  
Rażno się uwija.  
Uwijaj się rażno bież!  
Kopytami ognia krzesz!

Z czapki pawie pióro  
Barwami się mieni,  
Jak dzionek za chmurą  
Gdy go świt zrumieni.  
Dumnie błyszczy pawi puch,  
I ja dumny, i ja zuch.

Czapeczka czerwona  
Na głowie mi płonie,  
Pokazuje ona,  
Że mi gore w łonie;  
Gore serce, pędzi koń,  
A dziewczyna klaska w dłoni.

Krakowiaczek ci ja,  
Pędzę sobie zwawo,  
Kto mnie nie wymija,  
Plunę w twarz kurzawą;  
Bo ja pan, bo ja król.  
Śród zielonych niw i pól! \*)

*Basia.* Kto ułożył tego pięknego krakowiaka?

*Boles.* Edmund Wasilewski, a muzykę dorobił Moniuszko, który, jak wiecie, skomponował „Halkę“, najpiękniejszą polską operę.

*Józia.* Ty nie przeczuwasz zapewne, że przed chwilą mówiłyśmy o tobie.

*Boles.* I cóż takiego? Bardzom ciekawy.

*Basia.* Nie trzeba być ciekawym.

*Józia.* Powiem ci, braciszku, zwłaszcza że nie jest nic złego. Oto Basia mówiła, aby tą koroną z bławatków i maku uwienńczyć twe czoło, bo jesteś dobrym Polakiem, uwielbiasz wszystko co nasze, co polskie, a co główna, że okazujesz wielką miłość dla ludu polskiego.

*Basia.* Tak, tak, podoba mi się bardzo u Bolesia, że zbiera dzieci polskie, opowiada im o dziejach naszego

\*) Boles może też inną piosnkę zaśpiewać.

narodu, o królach polskich, o sławnych naszych bohaterach, o świętych Patronach naszej ziemi, przytem uczysz ich czytać, a nawet niedawno urządziłeś, Bolesiu, teatrzyk domowy dla dziatwy gnieźnieńskiej.

*Boles.* Czy to co nadzwyczajnego? Wszakżeż i wy będziecie później pielegnować troskliwie świętą iskrę polskiej narodowości, którą sam Bóg tchnął w serca nasze.

*Józia.* Czuję. zem Polką. Ach! gotowam życie poświęcić dla Polski kochanej, jak królowa Wanda w Krakowie.

*Basia.* Jestem tego samego zdania, Basieczko kochana! dumna jestem, że mnie stworzył Bóg Polką. Powiedz, Bolesiu, co my możemy uczynić dla Polski kochanej?

*Boles.* Bardzo wiele. Polska zostaje w poniżeniu, ale należy mieć nadzieję, że nastąpią lepsze czasy. Naród, który wydał Sobieskiego, Staszycę, Kościuszkę, Karola Marcinkowskiego, Mickiewicza, Sienkiewicza i wielu innych sławnych i zasłużonych mężów, nie może zagać. Myśl tę wyraził prześlicznie Mickiewicz w następującym wierszu:

„Jak grzeszna z tronu swego strącona królowa,  
Gdy w zebraczej odzieży, okryta popiołem,  
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,  
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje,  
I większym niżli przedtem blaskiem zajaśnieje.“

Tą królową to Polska, nasza Ojczyzna.

*Józia.* Jaki to piękny wiersz!

*Basia.* Niewymownie się cieszę, że Polska wróci do dawnej chwały.

*Boles.* Do tego i my, dzieci polskie, młodzieńcy i panny, przyczynić się wiele możemy. Wypełniamy przede wszystkim ściśle nasze obowiązki. Jednym z pierwszych obowiązków dzieci jest cześć dla rodziców i dla starszych osób. Czy zawsze jesteście posłuszne rodzicom?

*Basia.* Niestety! niezawsze, martwię nieraz rodziców nieposłuszeństwem.

*Józia.* I ja się poczuwam do tej winy. Czasem nawet odpowiem przykro ojcu i matce. O mamó kochana,



najdroższa, przebacz mi, że tak często ranie two tklive serce nieposłuszeństwem.

*Boles.* I ja nie jestem wolny od tej winy. Poprawmy się od dnia dzisiejszego. Nasi rodzice ciężko na nas pracują, a my ich zasmucamy. Przyrzeczmy poprawę.

*Józia.* Przyrzekam, że starać się będę usilnie o sprawianie rodzicom samych przyjemności.

*Basia.* I ja przyrzekam poprawę.

*Boles.* Po rodzicach trzeba kochać najwięcej nasz naród polski, naszych braci rodaków a mianowicie lud polski, tę nadzieję szczęśliwszej naszej przyszłości. Wyrazem tej miłości powinno być popieranie się wzajemne.

*Józia.* Co to znaczy?

*Boles.* Popieranie się wzajemne zowie się inaczej solidarnością, której trzeba się uczyć od żydów. Należy np. kupować wszystko od Polaków. życzyć swoim zarobku, a nie tuczyć polskim chlebem ludzi obcej wiary i narodowości.

*Józia.* Usilnie się o to staram. Gdybym paliła papierosy albo zażywała tabakę kupowałabym tylko od pana Witalisa Lewandowskiego, albo od pana Langiewicza, Rozpłochowskiego, braci Piotrowskich lub innych Polaków. Gdybym się dała fotografować, to tylko u panny Ludwiki Mąke lub u pana Gdeczyka.

*Basia.* Moja mama kupuje towary łokciowe tylko od panów Kuleszy i Żychlińskiego. a po wstążkę, igłę, tasiemkę, biegnę zawsze do panny Heleny Mąke przy Tumskiej ulicy lub panny Kruczkowskiej przy Warszawskiej ulicy.

*Józia.* Po ciastka i karmelki chodzę tylko do cukierni panów Smętkowskiego i Ludwiga.

*Boles.* Mogę zapewnić, że Józia popierałaby nawet tych panów co dzień, gdyby miała zawsze grosze. Ja znowu gdybym pił likiery, dałbym pierwszeństwo panu Kasprowiczowi. Mogę się odwołać na świadectwo panów drogerzystów Majera, Zwierzyńskiego i Hofmana, że nie jeden grosz u nich zostawię. Papier kupuję w księgarni pani Lange. Zapisałem sobie też „Lecha“, którego redaktorem jest p. Piotr Paliński, wielki przyjaciel dziatwy polskiej.

*Basia.* Co do mnie kupuję papier u panów Wiśniewskiego i Skalskiego; a zabawki u pana Szymczaka.

*Józia.* Twoja wzmianka, Bolesiu, że kupowałabym co dzień karmelki, wcale mi się nie podoba. Cukier, kawę, mąkę itd. kupuję od pani Pèche i od pani Witosławy Czarneckiej. Czasem też wstąpię do pany Zofii Fritz.

*Boleś.* Przepraszam cię, droga siostrzyczko. Młodzi polska, jeżeli chce się dobrze przysłużyć Ojczyźnie, powinna pilnie się uczyć, pracować i oszczędzać. Pracą, nauką i oszczędnością, niech się starają Polacy to odzyskać, co utracili lenistwem, ciemnotą i marnotrawstwem.

*Basia.* Józiu, uwieńczmy Bolesia koroną z bławatków i maku za te piękne rady.

*Boleś.* Nie zasłużyłem na to. Jest tu inna osoba, której wypada hołd złożyć i uwieńczyć ją koroną z najpiękniejszych kwiatów. Domyślcie się, że mam na myśli panią N. N., która daje nam wszystkim piękny wzór pracowitości i oszczędności, a przytem jest dobrą żoną, matką i Polką. Żyj długo i w dobrym zdrowiu, czcigodna Pani! Niech ci wdzięczne dzieci sprawiają pociechę! Doczekaj się tej błogiej chwili, kiedy nasz biały orzeł roztoczy skrzydła nad Gnieznem i nad całą Polską. Wzniesmy wszyscy okrzyk: Solenizantka pani . . . . niech żyje, niech żyje, niech żyje! (*Zaśłona spada*).

*Uwaga.* Nie potrzeba dodawać, że w innych miastach trzeba miejscowych kupców i przemysłowców polecić, ale tylko takich, którzy wypełniają obowiązki narodowe. W Gnieźnie można jeszcze polecić następujące firmy: C. Adamski, Niedźwiedziński, Piskorski, Pałędzki, Maśliński, Nehring, Frankenberg, Jüngst, Godyński, Żychliński (jedyna polska fabryka mydła na całe Księstwo Poznańskie), Żylczyk, Karge itd. Niechby kupcy i przemysłowcy dla własnej korzyści zechcieli urządzać domowe teatrzyki

„Rozmowę o bławatkach“ z dodatkiem trzeciej sceny można odgrywać podczas imienin, wesół, chrzcin itp. uroczystości rodzinnych. Oczywiście zakończenie trzeba zmienić stósownie do potrzeby; można też dodać dla urozmaicenia kilka piosnek.



## 52. Śmierć zdrajcy Ojczyzny.

Dyalog dla kurczycieli ziemi ojczystej,  
i dla tych, którzy nie spełniają obowiązków narodowych.

### OSOBY:

Albin Słomowski, dziedzic Słomowa.

Zosia, jego wnuczka

Postać niewieścia.

Widownia przedstawia pokój u pana Albina.

### SCENA I.

*Albin.* Gospodarstwo — kłopotarstwo. Prawdziwie to przysłowie. Już mi się sprzykrzyło życie na wsi. Lud hardy nie chce słuchać; wszyscy mnie okradają, a co najważniejsza, że tu w sąsiedztwie nie ma nawet z kim w karty zagrać. Ach! te karty! To moja jedyna przyjemność. Koniec końców zawiązałem układy.... przecież tu nikt nie słyszy... otóż zawiązałem układy... w wielkiej tajemnicy z komisją kolonizacyjną. Udało mi się wywieść w pole gazety, gdyż kilka razy stanowczo zaprzeczyłem, że nie sprzedam Słomowa. Głupi redaktorzy uwierzyli. Układy zaszły tak daleko, że skoro podpiszę ten oto dokument, pozbędę się wprawdzie Słomowa, Słomówka i Rudek, ale za to sypną mi gotówką 600,000 marek, z tych 100,000 marek użyję na spłacenie długów, a 500,000 marek schowam do żelaznej szafy. Potem jazda do Paryża i do Monako. Posiadając taką gotówkę, pobiję wszystkich graczy i rozbiję nawet bank w Monte-Karlo. Skoro będę miał z 10 milionów marek, wtedy zacznę kupować dobra ziemskie, utworzę wielki majorat i oddam Zosi...

Ale co będzie, jeżeli gra nie dopisze? O siebie nie mam troski, gdyż, skoro wszystko przegram, palnę sobie w łeb z rewolweru i koniec, ale Zosia? Czy ma zostać żebraczką? Możeby zabezpieczyć jej choć 100,000...

Mniejsza o to. Najprzód podpiszę ów dokument. *(Chwyta za pióro, ale ociąga się z podpisem).* Nie pojmuję, że ręka ciężka jak żelazo, niezdolna dźwignąć



lekkiego pióra. Nie myślałem, że tak ciężko będzie podpisać... Tak, tak, Słomowo to puścizna po mych przodkach... Tu przeżyłem lata dziecięce. I ta włość ojczysta, którą kilka set lat dzierżyli moi przodkowie, ma przejść w obce ręce... Lud polski z przekleństwem na ustach opuści szmat ojczystej ziemi...

Albinie, Albinie, co ty robisz? Precz głupie sentymentalne myśli. Przecież Słomowo moją własnością. Mogę sprzedać komu chcę. Łyknijmy kilka kieliszków wina, a znajdzie się odwaga. (*Chwyta butelkę, nalewa jeden kieliszek po drugim i wypija*). A teraz dalej do podpisu. (*Pisze*). Ręka ciężka, ale przecież podpisałem.

Podpisałem... Zwać mnie będą zdrajcą Ojczyzny. Co mi tam! Przecież mam licznych towarzyszy sromoty. Ale mi jakoś strasznie samemu. Nie śmiałybym teraz spojrzeć w twarz choćby memu włódarkowi. Zawołam Zosi; to niewinne dziecko, moja krew; może mnie trochę rozweseli, bo mi ciężko na sercu. (*Otwiera drzwi i woła:*) Zosiu, Zosiu, przychódź.

## SCENA II.

*Zosia (całując w rękę Albina)*. Jestem, dziadku kochany. Czego sobie dziadzio życzy?

*Albin*. Tak mi tęskno, tak mi duszno. Zaśpiewaj mi, albo zadekklamuj jaki wiersz piękny.

*Zosia*. Nauczyłam się ślicznego wiersza, kiedy go wygłosiłam w Arciszewie, wszyscy płakali.

*Albin*. Wolałbym wiersz wesoły, ale niechże będzie smutny, bo smutno w mej duszy.

*Zosia*. A więc zaczynam: „Śmierć zdrajcy Ojczyzny“.

*Albin*. Co, co? Śmierć zdrajcy Ojczyzny? Kto cię nauczył tego wiersza? (*Śmieje się*). Ha! ha! Tego było potrzeba. (*Na stronie*). Ciekawym, czyja to sprawa?

*Zosia*. Jak dziadzio wygląda? Ach! jaki wzrok dziki i gniewny. (*Całuje go w rękę*). Przepraszam, jeżeli zawiniła. A może ów wiersz to sprawił. Ależ dziadzio nie jest zdrajcą Ojczyzny, jak owi Moszyńscy, co sprzedali Dziewierzewo, Niemczynek, Arkuszewo i Wapno.

*Albin (na stronie).* Słowa tego dziecka ranią me serce niby miecz obosieczny. (*Głośno.*) Jestem trochę chory moje dziecko, ale to przejdzie; deklamuj ów wiersz; umiałem go też kiedyś w młodości, będzie to miłe przypomnienie.

*Zosia.* Zaczynam raz drugi.

### Śmierć zdrajcy Ojczyzny.

Przez Antoniego Goreckiego.

Noc była ciemna, milczenie ponure  
 Lało spokojność na całą naturę —  
 Wtem księżyc zajaśniał mile,  
 Bo już zbliżały się chwile,  
 Kiedy duchy z nieba skrycie  
 Na promykach gwiazdy schodzą,  
 I gorzkie nędzarzów życie  
 Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,  
 Co bystrym biegiem  
 Toczy mętne wały,  
 Błyszczą gmach wspaniały.

Tam zdrajca kraju obrzydły,  
 Leżąc, gdzie łoże złociste,  
 Czekał, by sen swemi skrzydły,  
 Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym promieniu,  
 Po kunsztownych lampach skryty,  
 Pokazywał w nowym cieniu,  
 Dostatek zbrodnią nabyty.

Starannie przez długie lata  
 Zgromadzał tam zbytek złoty,  
 Wszystkie niemal skarby świata —  
 Nie stawało snu i cnoty.

Już czas chyży  
 W twardej spiży  
 Dwanaście razy brzęk zrodził,  
 A sen jeszcze nie przychodził.

On biegał po małych chatkach,  
 I przytulał tych w tej chwili,  
 Co kiedyś żyli w dostatkach,  
 A wszystko za kraj stracili.

Napróżno wyrodek podły  
Wyglądał na jego przyjście —  
Jak jesienne wędną liście,  
Tak smutki serce mu bodły.

Porzuca wyniosłe łoże,  
Otwiera skrzynie zamkami warowne,  
I myśli, że mu pomoże  
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne.

Wtem niebo znak dało grzmotem,  
Pioruny trzasły,  
Ognie zagasły,  
Wicher drzwi wyparł z łoskotem.

Wchodzi najprzód księżyc błądy,  
A za nim w ślady,  
Jakaś poważna osoba —  
Na niej żałoba,  
Smutna postawa,  
Pierś krwawa

*Albin* Doskonale, Zosiu, deklamujesz. Jestem wzruszony. A to dopiero wiersz piękny.

*Zosia*. Może mam przestać, bo dziadzio jakoś dziwnie zmieniony.

*Albin*. Deklamuj dalej. Nic mi nie dolega. Chwilowe rozdrażnienie. Stałaś, gdzie mowa o krwawej piersi. O tak, pierś krwawa, serce krwawe, wszędzie krew, aby się zdrajca kraju mógł napić.

*Zosia*. Co dziadzio mówi? Dokończę prędko deklamacyi.

Na takie widmo straszliwe,  
Drży zdrajcy serce łekliwe;  
Widzi... nie wierzy...  
Włos mu się jeży,  
I krzyczy: „To strachy czyje,  
Stój! bo zabiję!“  
Ale postać błąda,  
Nic nie odpowiada,  
Idzie tylko z cicha,  
I wzdycha.  
Wtenczas ufny w moc siarczystą,  
Porwał zbrodzień broń ognistą,  
Zmierzył... przycisnął,  
Ogień błysnął;  
Kula, krwi pragnąca,  
Z hukiem powietrze roztrąca,  
Środek postaci przeszyła.



Ale ona wolnym krokiem,  
W milczeniu głębokiem,  
Jeszcze bliżej przystąpiła,  
Na zbrodnia ramieniu drżącym  
Wspiera się łokciem oziębiającym,

I odpoczywa.

On mdleje,

Pot leje,

I za drugą broń porywa.

Wtem ona do niego rzecze,

Głosem takim, jakim ciecze

Słodki strumyk, lutnia brzęczy,

Lub po mogiłach wiatr jęczy:

„Stój, mnie kula nie zabije,

Na waszym świecie nie żyję;

Ojczyzna jestem, ta rana,

Ty wiesz od kogo zadana;

Synu, ty w ciemnym zamknąłeś mnie grobie,

A ja przychodzę dać ratunek tobie —

Widzę twą duszę, smutkiem obciążoną —

Chcesz spocząć, pójdziem na wieczności łono

Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem,

Mścić się nad synem“.

Wtem nagle wstrzęsły się gmachy,

Zadrzały dachy,

Jękła noc blada.

Przez okna wpada

Duch czarnej postaci,

I rzecze głosem zagrzemia:

Nie masz, nie masz przebaczenia

Temu co przelał krew braci.

Pan przedwieczny, sprawiedliwy,

Stań przed Jego sąd straszliwy.

Tak zawołał i ponury

Ciało zbrodnia w łóżę cisnął,

Duszę w ciemne porwał chmury —

Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

*Albin (na stronie).* Słuchałem tego wiersza jak zbrodniarz, na śmierć skazany. (*Głośno*). Idź, moje dziecko, do swego pokoju, gdyż chcę się trochę zdrzemnąć. Dziękuję ci za deklamacyą; nie wiedziałem, że umiesz tak pięknie deklamować.

*Zosia (odchodzi).* Żegnaj dziadzie.

## SCENA III.

Albin, później postać niewieścia.

*Albin.* Nie wiem, czy takie męki ponoszą potępienicy w piekle, jak ja słuchając wiersza Góreckiego. Gdyby mi kto inny deklamował, udusiłbym go, zabiłbym... ale jak na złość niewinna Zosia w prostocie serca wygłosiła to przekleństwo na mnie. Oto do czego doprowadziły mnie karty, próżniactwo i butelki. Hej, karciarze, upamiętajcie się zawczasu! Trzeba odpocząć. Może usnę (*Siada w krześle i podpira się na łokciu*). Zdrajca Ojczyzny. Judaszem mnie nazwią. Sprzedałem za srebrniki kawał ojczystej ziemi. Gdzie się udam, wszędzie pluć na mnie będą. Pytanie, czy te judaszowskie pieniądze przyniosą mi szczęście w Monte-Karlo? Biedna moja dola!... Nie do pozazdroszczenia los kolonizatorów, zdrajców! (*Wchodzi postać niewieścia*). Któż tu wchodzi? Krew mi stygnie w żyłach, to jakieś nieziemskie zjawisko! A może jaka maskarada?

*Postać.* Albinie! Albinie! źle sobie postąpiłeś, podpisując akt sprzedaży Słomowa. Zaprzepaściłeś kawał ziemi ojczystej; ziemi, którą twoi ojcowie zlali potem i która żywi kilkadziesiąt polskich rodzin. Straszne męki piekielne będą twoim udziałem. Przeklną cię bracia, Ojczyzna i Bóg. Ale jeszcze jest czas poprawy. Podpisałeś wprowadzić akt sprzedaży, ale możesz się jeszcze cofnąć. Miej litość nad Zosią, aby nie mówiono o niej, że to wnuczka zdrajcy Ojczyzny. Załatwiłam się z tobą, Albinie, ale teraz do was słowo, widzowie i słuchacze. (*Albin zasypia*).

Czy tylko ten zdradza Ojczyznę, kto sprzedaje ziemię ojczystą ludziom innej wiary i narodowości? Kto źle dzieci wychowuje, kto ich nie uczy polskiego czytania, pisania i dziejów ojczystych, ten nie miłuje Ojczyzny. Kto się żeni z osobą innej narodowości i religii popełnia zwykle zdradę narodową. Ileż to złego sprawiają mieszanne małżeństwa, a mianowicie na obczyźnie!

Karciarze i pijacy nie tylko popełniają grzech ciężki, ale są także zdrajcami Ojczyzny. Kto opuszcza lekkim sercem kraj rodzinny, aby szukać urojonego szczęścia

za górami, nie jest dobrym synem narodu. Co mówić o tych, którzy się wstydzą ojczystego języka, przyznając obcemu pierwszeństwo? Szanujcie wasz język i narodowość, gdyż pochodzą one od samego Boga. Kto zatem się targa na język narodowy, ten podnosi bunt przeciw Stwórcy.

Cóż powiedzieć o wyrodnym synach i córkach, którzy dlatęgo wypierają się matki, ponieważ jest ubogą i nieszczęśliwą? To samo rzecz można o tych Polakach i Polkach, którzy nie kochają Ojczyzny i nie pracują dla jej dobra, gdyż jest w poniżeniu. Nie zapominajcie na chwilę, że Bóg was stworzył Polakami i Polkami, a więc nie zapierajcie się języka i narodowości polskiej i wykonujcie ściśle obowiązki narodowe. Teraz was żegnam. (*Odchodzi*).

#### SCENA IV.

Albin, później Zosia.

*Albin (budzi się).* Tu ktoś był? Jakaś niewiasta? Mówiła, że mogę jeszcze cofnąć akt sprzedaży, aby mej kochanej Zosi nie nazywano wnuczką zdrajcy. (*Bierze papier i drze na kawałki*). Słomowo ocalone. Nie sprzedam nigdy i za żadną cenę mej włości. (*Wchodzi Zosia*).

*Zosia.* Dziadziu, dziadziu, jestem niespokojna o ciebie. Czyś ty chory?

*Albin.* Byłem w istocie trochę cierpiący, ale to już przeszło. Chodź, Zosiu, niechże cię uściskam. (*Zosia tuli się w objęcia dziadka*.) O dziecie drogie, ty nie wiesz, ile sprawiłaś dobrego wygłoszeniem wiersza: „Śmierć zdrajcy Ojczyzny“. Tak mi błogo, tak mi lekko na sercu. Jeżeli kto z obecnych lub nieobecnych będzie chciał sprzedać wieś lub gospodarstwo kolonizacyi, albo człowiekowi innej wiary i narodowości, niechże przeczyta sobie najprzód rzewny wiersz Góreckiego: „Śmierć zdrajcy Ojczyzny“. (*Zasłona spada*).

*Uwaga.* Postać niewieścia nie jest bliżej określona, dlatego może być rozmaicie ubrana. Jeżeli sobie wystawimy, że to jest Ojczyzna, niech ma koronę na głowie, berło w rękę i płaszcz królewski na barkach. Może też być przedstawiona w postaci anioła, albo tylko w białej sukience, z wieniec i gwiazdą na głowie. Gdy wchodzi i wychodzi, niech światło bengalskie zabłyśnie, albo jeszcze lepiej



elektryczne, jeżeli być może. Skromny ten dyalog wtedy mianowicie sprawi niemałe wrażenie, jeżeli pomiędzy obecnymi znajduje się osoba, która ma ochotę sprzedać komisji kolonizacyjnej kawał ziemi ojczystej. Zosię w braku stosownej dziewczynki niech przedstawi chłopiec, ale w takim razie trzeba zaprowadzić odpowiednie zmiany w dyalogu; także postać niewieścią może odegrać młodzieniec, jeżeli ma głos przyjemny.

## 53. Czytajcie gazety polsko-katolickie!

### D y a l o g.

#### OSOBY:

|           |   |            |
|-----------|---|------------|
| Tomasz    | } | robotnicy. |
| Stanisław |   |            |

#### SCENA I.

*Stanisław (siedzi przy stole i przerzuca gazety).*  
 Przyjemną jest ta chwila, kiedy po całodziennej pracy mogę przeczytać nasze kochane gazety. Mówię „kochane“, bo człowiek z nich dowiaduje się ciekawych rzeczy, oświeca się i spędza czas mile. Nie żał mi półtorej marki, które wydaję ćwierćrocznie na „Lecha“ i „Przewodnik Katolicki“. Mam jeszcze i trzecie pismo, tj. „Katolika“, wychodzącego w Bytomiu; tego pożycza mi mój kumotr Franciszek w zamian za „Lecha“. Trzeba się zabrać do czytania, bo tylko najwyżej mogę godzinę poświęcić czytaniu. Któż idzie ulicą? Ach! to Tomasz, który nie trzyma i nie czyta żadnej gazety, ale za to prawie co dzień odwiedza żydowską karczmę. Zawołam go i pomówię z nim uczciwie po polsku i po katolicku, a może mi się uda skruszyć jego zatwardziałe serce, aby go zniewolić do czytania polskiego pisma. Hej! hej! Tomasz, Tomasz, wstąpcie do mnie na chwilę.

#### SCENA II.

Stanisław. — Tomasz.

*Tomasz.* Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

*Stanisław.* Na wieki wieków. Amen. Gdzie tak spieszysz, mój bracie. Pewnie do Manassego, aby golnąć kielich gorzały.

*Tomasz.* A nie inaczej. Jakoś mi ckliwo na żołądku, przytem ma człowiek różne kłopoty, a więc „na frasunek, dobry trunek“.

*Stanisław.* Ale czemu koniecznie odwiedzasz szynk żydowski, przecież po drodze miałeś destylacyą pana Kasprowicza i inne chrześcijańskie składy?

*Tomasz.* Czyni się to z przyzwyczajenia. Mówią też, że w żydowskich knajpach dają więcej i ostrzejszą wódkę. Potem u żyda jest człowiek swobodniejszy, a choć się spije jak bela, nie wyrzuca mnie za drzwi, jak mi się to wydarzyło niedawno.

*Stanisław.* A czy nie wiesz, przyjacielu, że swoich trzeba popierać? Najlepiej wcale nie pij, a jeżeli już koniecznie się wypije szklanke piwa na przykład, wtedy trzeba iść do chrześcijańskiej restauracyi, a jest ich przecież w Gnieźnie zatrzęsienie, bo niedługo co dom, to będzie knajpa. Powiedz mi, kochany Tomasz, trzymasz ty jaką polską gazetę?

*Tomasz.* Polską gazetę? A na co mi gazeta? Jak sobie kropnę półkwaterek kornusu czyli sieki, jak mówią w Poznaniu, to jest najlepsza gazeta.

*Stanisław.* Widzę, że z ciebie całą gębą niewierny Tomasz. Powiedz ty mi, czy jesteś katolikiem?

*Tomasz.* Rozumie się, że jestem; wszakżeż w niedzielę chodzę do kościoła, zachowuję posty i przystępuję do Sakramentów świętych.

*Stanisław.* A szanujesz Papieża czyli Ojca świętego w Rzymie?

*Tomasz.* To się wie, że szanuję.

*Stanisław.* Otóż słuchaj, co powiedział Ojciec święty Leon XIII 1880 r.: „Ci, którym dobro religii i społeczeństwa jest ważną sprawą, mają według swej możności wspierać pisma katolickie“.

*Tomasz.* Powiedział to istotnie Ojciec święty?

*Stanisław.* Zaręczam ci słowem uczciwego człowieka.

*Tomasz.* Ha! kiedy tak, zacznę czytać gazety polskie. Poznaj, że jestem Tomaszem, ale wiernym. Przyznam ci się, że już dawno chciałem zapisać sobie jaką gazetę, ale jakoś schodziło.

*Stanisław.* Dobrze zrobisz. Przepijasz najmniej co ćwierć roku 6 marek, a więc możesz śmiało poświęcić markę a choćby półtorej na dobrą polską gazetę. Będzie to dopiero uciecha dla twojej żony, gdy w domu posiedzisz, a do karczmy nie pódziesz.

*Tomasz.* Żoneczka już dawno mnie do zapisania gazety zachęcała, bo ona miarkuje, że wtedy mniej pić będę.

*Stanisław.* Cieszę się bardzo, że się dałeś przekonąć. Zwracam się do was, kochani słuchacze. Czytajcie pilnie polskie gazety i nie żałujcie kilku groszy na przedpłatę. Dobra polska gazeta jest nieoszacowanym skarbem. Na zakończenie wznoszę okrzyk: „Niech żyją polskie gazety, niech żyją polscy redaktorowie!“

*(Zasłona spada).*

**Uwaga.** Poleconym jest w tym dyalogu „Lech“, gdyż przypuszcza się, że ta sztuka jest grana w Gnieźnie. W Inowrocławiu oczywiście trzeba wymienić „Dziennik Kujawski“ (kosztuje 1 markę ćwierćrocznie), a w Bydgoszczy „Gazetę Bydgoską“. W Prusach Zachodnich wychodzą: Gazeta Gdańska, Gazeta Grudziądzka, Pielgrzym (w Pelplinie), Przyjaciół i Gazeta Codzienna w Toruniu, w Warmii: Gazeta Olsztyńska. — W Poznaniu oprócz Dziennika Poznańskiego i Kurjera Poznańskiego drukują się: Goniec Wielkopolski, Postęp i Wielkopolanin po 1 m. ćwierćrocznie; Orędownik (2 m.), Głos ludu polskiego (75 fen.), Przyjaciół Ludu (75 fen.); Praca z pięknymi obrazkami za 1 m. ćwierćrocznie i wspomniany już Przewodnik katolicki. W Ostrowie: Gazeta Ostrowska. — W Śląsku: Katolik za 1 m., Dziennik Śląski za 1 m 50 fen. — W Berlinie: Gazeta Berlińska (2 m); w Bochum: Wiarus Polski za 1 m. 50 fen

Stósownie de upodobania można z tych gazet jedną lub więcej polecić, jeżeli się ów dyalog przedstawia. Niech każdy Polak trzyma i czyta polską gazetę, to jest obowiązek narodowy i katolicki.



# S P I S.

---

|                                                                       |          |
|-----------------------------------------------------------------------|----------|
| Przedmowa . . . . .                                                   | Str<br>3 |
| Słówko o urządzaniu domowych teatrów dla ludu i młodzieży . . . . .   | 6        |
| Projekt do ustaw „Sceny Ludowej“ . . . . .                            | 11       |
| Niech to każdy przeczyta, kto chce przedstawiać moje sztuki . . . . . | 12       |
| Prace sceniczne Józefa Chociszewskiego dla ludu i dzieci . . . . .    | 14       |

## I. Prologi, dyalogi i sztuczki treści poważnej, łatwe do odegrania.

|                                                                                                 |    |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Szczęść Boże! Wiersz na rozpoczęcie przedstawienia . . . . .                                    | 17 |
| Prolog, wygłoszony na przedstawieniu amatorskiem w Gnieźnie<br>przez M. Kierską . . . . .       | 18 |
| Prolog przed rozpoczęciem teatru amatorskiego p. X. Kanteckiego . . . . .                       | 19 |
| Chwała Boża i chwała królewska, czyli: Ciekawa historia<br>o królu i o dwóch dziadach . . . . . | 21 |
| Czcijmy Księży! Dyalog dla domowych teatrzyków . . . . .                                        | 28 |
| Złote Ziarnka. Drobnostka sceniczna przez S. Duchinią . . . . .                                 | 34 |
| Młodzieniec i Dziadek. Dyalog przez Kazimierza Brodzińskiego . . . . .                          | 38 |
| Kwiat Życia przez J. Kalinowskiego . . . . .                                                    | 41 |
| Złota i srebrna siekiera . . . . .                                                              | 43 |
| On i ona. Śpiew na nutę krakowiaka przez Narcyzę Zmichowską . . . . .                           | 50 |
| Rzeźnik i Szewc, czyli: Jan Kiliński w Gnieźnie . . . . .                                       | 51 |
| Kowal i młynarz Dyalog wierszem przez A. z K. de Routa . . . . .                                | 57 |
| Pijak w trumnie. Dyalog . . . . .                                                               | 59 |
| Szanuj ubiór ojczysty. Przez Helenę Neyman . . . . .                                            | 64 |
| Po piętnastu latach na rozstajnych drogach. Dyalog . . . . .                                    | 66 |
| Zachwycenie. Przez Teofila Lenartowicza. Rozmowa I. i II. . . . .                               | 74 |

## II. Monologi i krótkie wiersze do wygłaszania podczas przedstawień, wesół itp. uroczystości domowych.

|                                                                 |    |
|-----------------------------------------------------------------|----|
| Hagar na puszczy. Kornel Ujejski . . . . .                      | 77 |
| Nie sprzedam ci ziemi. Marya Konopnicka . . . . .               | 79 |
| Psaln do Świętych Patronów Polski. Narcyza Zmichowska . . . . . | 81 |
| Książd i siereta. Legenda . . . . .                             | 82 |
| Idźmy dalej! Seweryna Duchinią . . . . .                        | 84 |
| Ostatni wiersz Antoniego Odyńca . . . . .                       | 85 |
| Wygnaniec składa życzenia parze weselnej. Monolog . . . . .     | 86 |

|                                                          | Str. |
|----------------------------------------------------------|------|
| Życzenia wygnańca podczas chrzcin. Monolog . . . . .     | 89   |
| Nasz oręż. X. Konstanty Damroth . . . . .                | 90   |
| Polka. Przez A. K. . . . .                               | 92   |
| Żebraczka Jacentowa składa życzenia nowożeńcom . . . . . | 93   |
| Błogosławieni Jan Kasproicz . . . . .                    | 96   |
| Ja Polką jestem! W. S. . . . .                           | 96   |
| Co tu robić? Wiersz żartobliwy. Artur Bartels . . . . .  | 97   |
| Do Kmotka. Józef Chmielewski . . . . .                   | 98   |
| Jestem Polakiem. Józef Chmielewski . . . . .             | 99   |
| Białe Orły. Władysław Belza . . . . .                    | 100  |
| Co małżeństwo z dziewcząt robi. N. . . . .               | 102  |

### III. Łatwe komedyjki i dyalogi treści wesołej z małą liczbą osób.

|                                                                         |     |
|-------------------------------------------------------------------------|-----|
| Żyd przed sądem. Krotchwila . . . . .                                   | 104 |
| Zdrowy ząb wyrwany, czyli: Skuteczne lekarstwo na ból serca . . . . .   | 107 |
| Separacya. Obrazek dramatyczny w jednym akcie r. ski. . . . .           | 112 |
| Nie ma to jak handel wódką . . . . .                                    | 119 |
| Rozmowa pana z Michałem przez Stefana Witwickiego . . . . .             | 125 |
| Flora. Krotchwila do odegrania podczas wesela . . . . .                 | 130 |
| Sposób na gadatliwe kobiety. Wesoła komedyjka . . . . .                 | 139 |
| Pojedynek amerykański. Humoreska sceniczna. Ułożył K. Kosicki . . . . . | 148 |
| Ogolili go bez mydła . . . . .                                          | 159 |

### IV. Igry, dramaciki, komedyjki z większą liczbą osób, oraz różne utwory.

|                                                                   |     |
|-------------------------------------------------------------------|-----|
| Rozum i Szczęście. Powieść ludowa, przerobiona na scenę . . . . . | 165 |
| Krzyżyk na drogę. Komedyjka. Napisał Felicjan . . . . .           | 178 |
| Litość i Zazdrość. Powieść ludowa . . . . .                       | 193 |
| Wór pieniędzy w lesie . . . . .                                   | 200 |
| Na ten weksel płacę . . . . .                                     | 205 |
| Jarmark. Komedyjka dla dziewcząt. Franciszek Rogala . . . . .     | 216 |
| Trzecia scena do „Rozmowy o bławatkach“ . . . . .                 | 224 |
| Śmierć zdrajcy Ojczyzny . . . . .                                 | 229 |
| Czytajcie gazety polsko-katolickie! . . . . .                     | 236 |

„Scena Ludowa“ zawiera 18 wierszy oraz 35 mniejszych i większych sztuczek teatralnych.



BIBLIOTEKA KÓRNICKA

19346